

1763. 1. 12.  
Drogi Janu!

Dziękuję za list & listy. Ciężko mi  
się się daleko wyjechać i wam odwiedzić, że niedo-  
wstać się przyjeżdżać. Długo  
się tylko słonie grzać i widzieć  
w myśli i kształtowanie pracy człowieka  
do nauki bez względu na to, czy jest to  
wiedza.

ISBN 978-83-60368-17-6

# SUPRAŃSKI RAPTULARZ

3

HECZ PRECZ  
STAŁA SIĘ RZECZ

COLLEGIUM  
SUPRASLENSE

Copyright by Wojciech Załęski, 2010  
Copyright by Stowarzyszenie Collegium Suprasliense  
Supraśl 16-030, ul. Dolna 34

projekt okładki: Wojciech Załęski

korekta: Teresa Jabłońska

redakcja techniczna: Ewa Frymus-Dąbrowska

zdjęcia z archiwum Collegium Suprasliense

# HECZ PRECZ STAŁA SIĘ RZECZ

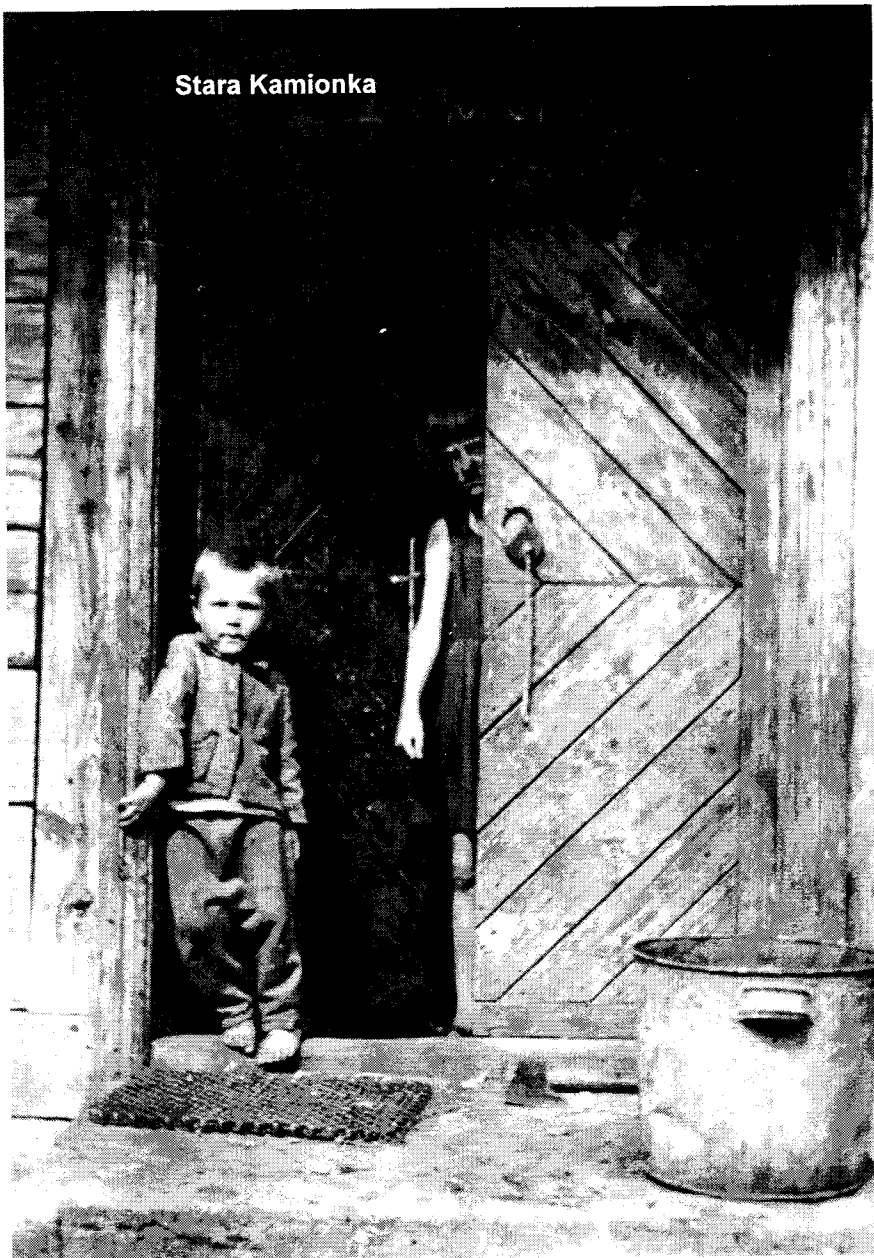
*Wydano dzięki pomocy  
Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku  
Urzędu Miejskiego w Supraślu  
Collegium Suprasliense*

ISBN 978-83-60368-17-6



Mariusz Śliwowski  
Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok. 7  
tel. (85) 869 14 87, 0602 766 304  
www.prymat.biasoft.net, e-mail: prymat@biasoft.net

Stara Kamionka



Wojciech Załęski

# HECZ PRECZ STAŁA SIĘ RZECZ

WYDOBYTE Z KUFRA PAMIĘCI

Opowieści wysłuchał, utrwalił je  
i stylistycznie opracował Wojciech Załęski

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku  
Białystok – Supraśl 2010

## Opowiadali:

- CA** Cecylia Aniśko, Stara Kamionka
- JA** Józef Antonowicz, Sokołda
- SB** Stefan Borowik, Łaźnisko
- AB** Antonina Borowska, Nowinka
- JB** Józef Bułatewicz, Lipowy Most
- MB** Maria Bułatewicz, Lipowy Most
- MC** Marcela Chocha, Topolany
- CC** Czesław F. Ciołko, Kozińce
- AC** Andrzej Cybulko, Sokółka
- ks.** Wacław Dorabiała
- AF** Aleksandra Filonowicz, Łaźnisko
- HG** Helena Górską, Jeziorek
- MH** Maria Himik, Studzianki
- JH** Józef Hołownia, Podłaźnisko
- AK** Anna Kiszkiel, Lipowy Most
- JK** Julia Koronkiewicz, Łaźnisko
- MK** Maria Kraśnicka, Sokołda
- NK** Natalia Kraśnicka, Ciasne
- AK** Aleksander Kraśnicki, Sokołda
- JM** Józef Malewicz, Supraśl
- TM** Tadeusz Malinowski, Supraśl
- AM** Antoni Mielezko, Sokółka
- JP** Janina Piotrowska, Studzianki
- WP** Wiera Prawdzik, Wierzchlesie
- AP** Aleksander Puciłowski, Talkowszczyzna
- JR** Jan Remfeld, Supraśl
- AS** Antoni Sikorski, Brzozowy Mostek
- JS** Julia Sławicka, Złota Wieś
- ŁS** Łukasz Sławicki, Studzianki
- GS** Genowefa Soczko, Międzyrzecze
- AW** Aleksander Wilczyński, Woronicze
- OW** Olga Wildowicz, Łaźnisko
- HZ** Halina Zdrójkowska, Supraśl
- WZ** Wacław Zdrójkowski, Supraśl

## A CZAS WYPRZEDZIŁ CZŁOWIEKA

Czas nie jest niczym szczególnym, natomiast ważne jest, co przynosi, jakich zmian dokonuje w okołoludzkiej przestrzeni i w samym człowieku. Gdy powoli przemieniał pokolenia, ułatwiał akceptację nowego, ale w końcówce XX w. zmiany zaczęły zachodzić tak gwałtownie, że nim zdążyliśmy się fizycznie postarzeć, już byliśmy mentalnymi starcami. Przyjrzyjmy się dzieciom, oczywiście, nie swoim... co widać? Przedwczesną dojrzałość. Małe jeszcze nie doczekało się lalki mówiącej „mama...” a już ma własne.

Wystarczy prześledzić los urządzeń utrwalających dźwięk. Ile potrzeba było czasu, aby woskowe wałki zastąpiły grafitowe płyty gramofonowe? A gramofon, przemieniający się w patefon obsługujący majówki, a płyty winidurowe i trzy prędkości odtwarzania, Radiola, Bambino, magnetofon, kasety, miniaturyzacja. A pocztówki dźwiękowe... z naszymi życzeniami i ulubioną piosenką na dokładkę... Szarotka powiew luksusu. Masowe niszczenie płyt grafitowych pamiętających czasy zaborów, Grundung, odtwarzacze i słuchawki na uszy, płyty analogowe... muzykę wraz z obrazem możesz utwalić i odtwarzać w telefonie. I to wszystko w czas przemijania jednego pokolenia.

Albo chusteczki do nosa... sprzedawane w eleganckich kompletach, szarmancko wystające z męskich butonierek, by w krytycznej chwili otrzeć łzy z kobiecych oczu, skwapliwie zbierały i chroniły w kieszeniach to, co chłop brał w dwa palce i walił o ścianę.

Chwila, moment i marynarkami zawładnęły kobiety, a chusteczki do nosa zawiązane w cztery rogi służy, co najwyżej, do ośniania męskiej tyliny przed słońcem.

Gdy pojawiły się chusteczki papierowe, budziły opory, wręcz odrazę... Jak to tak?... smarować w papier? Ohyda!

Albo wieś, gdy się nagle wyniosła do miasta. Ucichły wieczory, przestała pachnieć maciejka... malwy, smolinosy i piwonie straciły barwy, zastąpione przez iglaki. Chłopcy z dziewczynami nie siedzą po zmierzchu na żerdziach płotów i mgły nie niosą melodyjnych śpiewów z niepokojem w podtekście. Teraz wszystko jest tak oczywiste i niczego nie trzeba ukrywać w dwuznaczności?

Tylko czasem z szybkością, od której kurom pękają serca, przemknie przez wieś zmieszczanią idiota szpanując autem z niemieckiego złomowiska i dyskoteką na cały regulator. W powietrzu zawiruje gęsie pierze, a pośrodku ulicy zostanie podrygujący śmiesznie gęsiaczy trup.

Ile jeszcze bezrobotnych koni pozostało na wsi? Ile krów pachnie łąką i mlekiem? Ile umorusanych dzieci rozpląszcza nosy na szybach wśród

czerwonych pelargonii? Ilu domom zabito deskami oczy? Po ilu chatach, jak kamienne nagrobki, trwają fundamenty?

Kamienie węglowe, których nie odrzucił Pan, kamienne progi, kamienie żarnowe zawarły w sobie to, czego człowiek nie zdążył wypowiedzieć? Zgadnij, ile zasypano studni, ile po puszczy błąka się zdziczałych kotów?

W przywiezionych z Białegostoku wędlinach, mleku, gliniastym chlebie czuć woń wielkiego świata. Wnuki pachną gumą do żucia, a od syna marnotrawnego zalatuje „Jasiem Wędrowniczkiem”. Aparaturą do pędzenia czemergiesu, powiększając muzealną kolekcję, zaopiekuje się dyrektor Lechowski.

Pusta przed chatą w Woroniczu stoi ławeczka dziadka Aleksandra, nie opiera się o szczeble bramki Maria Bułatewicz w Lipowym Moście, nie kładzie na stole pod lipą ciężkich dłoni Jan Kiszkiel. Nikt nie zaprosi do kuchni, nie rozpali pod плитą, nie przyjdą sąsiadki, by wspomóc oporną pamięć, by wyjętą z kredensu przypalanką zmiękczyć struny głosowe i wesprzeć chór starych, płochych podfruwajek.

Dzieci zjawiają się pod koniec kopania ziemniaków... na świniobicie... nazbierają grzybów, wezmą trochę dobra ze świronka i jeśli dziadka strzelba jeszcze schodna, jakies weki z dziczyzną.

Słów szkoda... szkoda gadać... Czas wyprzedził człowieka. Czy kiedyś pozwolił go dogonić, Panie Boże?

### Jakby głowo nie kręcić tyłek i tak będzie z tyłu

Więś nie jest duża, ot, wszystkiego siedem chałup. Żyło w nich pięć bab, trzy chłopcy, psów siedem i dwanaście kotów. Nie licząc myszy, które nie podlegają pod żadną statystykę.

Same wdowy i wdowcy. Jedynie Jundziłły, nikomu nie wadząc od małości, cicho szli przez życie. Może dlatego ciągle byli razem. Ale jako że mieszkali kawalek za wsią, tak po prawdzie nigdy nie było wiadomo, czy przynależą do Talkowszczyzny, czy do ich przysiółka.

Wstawali rano, wychodzili przed chaty i liczyli się, by radośnie stwierdzić: - Minęła jeszcze jedna „sądna noc”.

W końcu nadojadła im ta monotonna matematyka. I tak mieli świadomość, że stoją w kolejce o dwu niewiadomych. Bo gdzie jej początek, gdzie koniec, kto stoi ostatni, kto pierwszy, nie wiedział nikt. Nawet „Łysy” Leon, któremu się zdawało, że wie wszystko, i o którym pięć bab i trzy chłopcy myślały, że wszystko wie, nie wiedział nic.

Zaraz, zaraz... Kiedyś „Łysy” usiłował ustalić kolejność zgonów. Było to po śmierci „Tewiela”. Już trzy godziny śpiewali chałtury nad nieboszczykiem i nic. Wdowa, Franciszka, od trumny nie odchodziła na krok, aż któraś z kobiet przypomniała jej, że wszystkim zaschło w gardle i przydałaby się herbata.

Ocknęła się Franciszka jak ze snu, rozpałała w płycie żeby zagotować wodę na herbatę. Tymczasem wyjęła z kredensu butelkę brunatnej przypalanki. Żałobnikom humory się poprawiły. Wypili, zaśpiewali. Przerwali, wypili, zagryzli kielbasą i wtedy powstał spór: kto będzie następny?

Kolejność ustalać zaczął „Łysy”. Ale nic z tego nie wyszło, bo Jaśko opowiedział, co mu się przydarzyło kilka godzin temu, gdy wchodził do domu zmarłego.

- Zza świronka - mówił - biało chmuro, wypłynęła śmierć. Zatrzymała się przede mną, ściągnęła białego kaptura z głowy... A wiesz, kto to był?

W izbie zrobiło się cicho. - „Łysy”! Z czego da się pojąć, że po „Tewielu” następny będzie Leon - zakończył Jaśko.

„Łysy” zerwał się ze stołka i jak po terpentynie wyleciał z kuchni do sieni i na podwórkę.

- Musi spytać poszed czy to prawda? - zaśmiała się Alesia. - Jaśku, zapomniał? Toż jak z „Królem Herodem” chodzili, „Łysy” zawsze Kostucho był. Toż śmieli się z jego, że ma u Suchej chody i że po jego przyjdzie na końcu. A on odpowiadał: „na końcu... ale świata”.

- Jaż wiem kochanieńka, jaż tylko śmiał się. Starość nie radość, śmierć nie pociecha. Widać po starej znajomości poszed z nio uchwalić: kto z nas będzie następny?

Od tego gadania wszystkim po krzyżach zimowe mrówki przelecieli. Zaraz też wypili hołoblowe i rozeszli się po chałupach, w cichej samotności rachunki sumienia porobić.

Ale od pogrzebu „Tewiela” nikt nie umarł. Z czasem wydarzenie z „Łysym” pokryła mgła niepamięci. Niektórym poprawił się wzrok, słuch. Niepostrzeżenie ustąpiły kłopoty z krążeniem krwi, reumatyzmem, podagrą, przestały grozić zapalenia płuc. Jak przedtem przywykli do chorób, tak teraz od nich powoli odwykali. Franciszce cofnęła się skleroza. Jaśko przestał cierpieć na pęcherz. Nawet Jundziłło, choć z żoną mieszkali za wsią, od tamtej pory zapomniał o chorobie świętego Walentego.

Anioł radości życia bez reszty owładnął starszankami, tak że zapomnieli co to chałtury: już od dawna nie zbierali się i nie śpiewali nad trumną żegnającego na zawsze ich przysiółek.

Nikt nie umierał. Bronce zapodział się gdzieś śpiewnik chemicznym ołówkiem zapisany, od deski do deski, pieśniami żałobnymi.

Ostatnio listonosz coraz częściej zaczął przynosić zawiadomienia o śmierci kogoś z krewnych w Białymstoku, Sokółce, Krynkach, Supraślu, innych miastach Polski i zagranicy, po których los rozsiał pięciu babom i trzem chłopom rodziny. Śmierć, wedle nie wiedzy jakiego prawidła, zaczęła kosić w dalekim i bliskim świecie ich dzieci, wnuki i prawnuki.

Zdarzyły się niespodziewane spadki, darowizny. Musieli dokonywać rozliczeń z Urzędem Podatkowym. Ku ich zaskoczeniu wcale im to nieźle szło. A jeszcze tak niedawno wypełnienie najprostszej ankiety było barierą nie do pokonania.

Któregoś wieczora ciszę przepojoną świerszczami przerwał śpiew Bronki. Od lat nikt we wsi nie śpiewał. A tu nagle, czysty dziewczęcy głos poleciał przez wieś, jak przed laty:

*Oj dawno dawno u mamuli była  
Aże do jej dorożeńka trawo zarosła  
Trawo zarosła, wodo zapłyła  
Czyrwonuju kalinuju ponawisała  
Chłopców poproszu, trawe obkoszu  
Czyrwonuju kalinuju w puczki pawiażu.*

Wychodili przed chaty i jak szczury za fujarką szczołopa szli za głosem Bronki, aż pod próg jej chaty. Tego wieczora śpiewali jak nigdy przedtem, całą duszą. Z pieśni na pieśń szło im coraz lepiej. Pieśń od pieśni wydawała się piękniejsza i każdy w tym chórze miał wrażenie, że jego głos brzmi najczyściej i najpiękniej.

Po latach nieśmiałych oczekiwań, jeden z trzech chłopów, Jaśko, spostrzegł, że policzki Walerii wygładziły się nad podziw, siwiznę przeplatać poczęły pasma kruczonych włosów, a na czoło powróciły jaskółcze skrzydła brwi.

„Łysy”, który zawsze kpił ze wszystkich i ze wszystkiego, skomentował to pieprzonym, tłustym żartem. Na co jagody Walerii zareagowały natychmiast i spłonęły autentycznym, pełnokrwistym, panieńskim rumieńcem. Jaśko zaś stwierdził, że świński dowcip „Łysego” nie jest bezpodstawny. Na widok Walerii jego organizm zaczyna reagować tak jak wtedy gdy miał dziewczętność, a ona szesnaście lat.

Nie dowierzał sobie, ale coraz częściej obraz Walerii, tamtej sprzed lat, niepokoił go w snach i zlewał się na jawie z obrazem wcale jędrnej Walerii dzisiejszej.

Jak wczoraj pamięta ją wychodzącą z tańców przed karczmę w Talkowszczyźnie, w świetle otwartych drzwi buchającą mgłą oddechu i potu. Pamięta, jak przypiera ją do pobielonej ściany i jak ta, nie mogąc tchu złapać, stawiała mu się bezwolną.

Potem było wiele, pełnych zapachu maciejki, szeptanych wieczorów. Aż do czasu gdy wydano ją za bezdzietnego wdowca Stefana, starszego od niej o dwadzieścia pięć lat. Przyjęła wolę rodziców z pokorą. Uczciwie, tak jak przysięgała przed ołtarzem, dochowała męża do końca jego dni.

Dziś, gdy ze swej samotności spoglądała na Jaśka, coraz bardziej wracało wspomnienie z lat, gdy jeszcze od życia oczekiwała wszystkiego.

Nie wiedzieć kiedy zdecydowali się wziąć ślub. Wieś i okolica, mimo że od lat nie oglądała żadnego aktu weselnego, przyjęła ich decyzję przychylnie. Ślub był cichy, ukradkowy, jakiś wstydlivy, choć na weselu balowała cała wioska z okolicą na dokładkę.

Drugiego dnia po weselu do wsi przyjechał „Młodzik”. Licho wie, kto warszawiakowi tę wioskę polecił jako „koniec świata” i „diabelską dobra-

noc”. Przyjechał czy uciekł? Nieważne. Był i wszyscy ten fakt akceptowali z niego zadowoleni. To znaczy z faktu i z „Młodziaka”.

Zamieszkał w największej chacie, u „Łysego” Leona. A że człowiek w nowym miejscu szybko wyrabia w sobie nowe przyzwyczajenia, po trzech dniach wszyscy we wsi wiedzieli, że „Młodzik” wieczorem lubi przesiadywać za stodołą na kieracie i wpatrywać w odbijające się w Słójce zachodzące słońce. Owady w sadach i na łąkach hałasowały milionami tykań, szmerów i szelestów. Pachniała weselna jeszcze maciejka. Gnojowicą nie zalaływało, bo jedyna we wsi krowa, „Łatka”, nocowała w oborze Aleksandry na drugim końcu wsi. Od „Łatki” „Młodzik” wypijał dziennie jeden litr mleka. A że Alesia, jak skracając nazywano Aleksandrę, piekła chleb dla całej wioski, normalne, że piekła też dla „Młodziaka”.

To, że „Młodzik”, po jakimś czasie, związał się z Alesią, nikogo nie zaskoczyło ani zdziwiło. Był swój chłop, pomagał wszystkim i chętnie, o co by go poproszono. Dzięki jego złotym rękom we wsi odezwały się wszystkie radia, przejrzały na oczy wszystkie telewizory i zaczęły grać wszystkie żelazka, co zdecydowanie podniosło estetyczny wygląd mieszkańców i prestiż „Młodziaka”.

Wiele jeszcze innych, niezwykle pożytecznych prac wykonał, ale niewiele więcej szacunku zdobył naprawiając zepsutą od dawna pompę, dzięki której z kranów popłynęła najpierw brunatna ciecz, a potem krystaliczna woda.

Dopiero kiedy po roku okazało się, że „Młodzik” jest najstarszym mieszkańcem wioski, a Waleria Jaśkowi powiła maleńkiego Jasia, wśród mieszkańców zapanował niepokój. Stało się jasne i namacalne, że działają tu siły, które z ich życia, nie wiedzieć w jakim celu, uczyniły igraszkę.

Z sąsiednich wsi coraz częściej zaczęli do nich zaglądać dawni koledzy, przyjaciele i z gorszącym zdziwieniem odnajdowali ich odmienionymi, takimi jakimi pamiętali z czasów młodości.

Radość zachodzących zmian zmaćla się im ponownie, gdy syn Jaś osiągnął wiek ojca Jaśka. Po kilku miesiącach przestał go słuchać, a po następnych kilku zaczął wydawać mu polecenia. Zdecydowanie nie podobało się to tak Jaśkowi, jak i pozostałym babom i chłopom.

Miary goryczy dopełnił fakt, że gdy Jaśko nie wykonał polecenia Jasia i nie poszedł na wygon przewiązać „Łatkę”, ten po prostu sprzął ojcu paskiem tyłek. Ich świat prawie runął. Poczuli się sponiewierani, zagubieni i bezradni.

Któregoś dnia listonosz, przywożący z Sokółki staruszkom renty, zbuntował się i nie chciał dzieciakom wypłacić pieniędzy, choć dobrze wszystkich znał i obserwował od lat zachodzące w nich przemiany.

Wobec tego malcy, w których gromadziła się bezsilność, sprali listonosza, a tak się przy tym rozjuszyli, że gdyby nie nadszedł w porę „Młodzik” i nie wybawił go z opresji, poturbowałiby biedaka dotkliwie.

Po roku obaj, „Młodzik” i Jasio, wszystkie dzieciaki zebrali w jednej chacie i wynajęli opiekunkę. Odetchnęli trochę, ale nie na długo. Po miesią-

cu opiekunka spakowała cichcem walizkę i znikła niespodziewanie, zostawiając w chacie rozwrzeszczaną, zasikaną czeredę.

„Młodzik” z Jasiem, zaganiani pomiędzy krowami, kurami, pieluchami, butelkami mleka i podcieraniem tyłków, nie mieli czasu na realną ocenę sytuacji. Jedyнным marzeniem obu było przyłożyć choć na chwilę głowę do poduszki.

Na początku jesieni zanik mowy wśród niemowląt był tak głęboki, że już z żadnym nie dało się porozumieć. Jedyнным jeszcze Leon usiłował coś przekazać gaworząc: ga, ga, gu, gu, gu. Znając złośliwość „Łysego”, domyślali się, co to gu, gu, gu znaczy.

Pod koniec listopada nastąpiło pierwsze zniknięcie, po nim kolejne i kolejne. Z nadejściem wiosny jako ostatni zniknął „Łysy”.

Gdy w opustoszałej wiosce „Młodzik” z Jasiem zostali sami, zjawiła się policja i wszczęto dochodzenie na okoliczność zniknięcia pięciu bab i trzech chłopów, których zgonu nikt nigdzie nie zgłosił i nie potwierdził.

Przed oficerami prowadzącymi sprawę przewinał się korowód świadków, których zeznania były tak nieprawdopodobne, że nadzieję na zamknięcie sprawy władze wiązały dopiero z trzecim, bardzo odpornym psychicznie śledczym.

Pod koniec lipca w sądzie w Białymstoku ogłoszono wyrok. Oczywiście, uniewinniający Jasia i „Młodzika”, bo jak nie ma trupa, nie ma i zbrodni. W czasie odczytywania sentencji wyroku na ścianie ukazał się napis. Jakby ktoś fluorescencyjną farbą w szpraju pisał: „Jeśli w waszej wiosce Łysemu udało się uwstecznic czas, to on i tak zmierza do jakiegoś końca”.

Aha, jeszcze jedno. W czterdzieści dni po zniknięciu „Łysego” nad wsią pojawiło się siedem białych gołębi. Kraźyły czas jakiś, potem przysiadły na wioskowym krzyżu, przy którym zawsze zatrzymywał się kondukt pogrzebowy, gdzie otwierano trumnę na „ostatnie pożegnanie” z ludźmi i ze światem.

Teraz pod krzyżem stało dwóch mężczyzn i jeden do drugiego mówił:

- Przypatrz się Jasiu temu gołębiu w środku. Zupełnie jakby kto jemu łeb oskubał.

- Bo i łysy. Widać takie czasy nadeszli, że gołębiu łysiec też się należy.

## BYŁO TO PRZED POTOPEM

### To Tobie, Boże..., to mnie, Boże

Kiedy ludzie nie znali prawdziwego Boga, to w rozmawite tam rzeczy wierzyli. A takich jak dziś kościołów, kaplic i krzyży po polach i drogach nie było. Nawet modlitwy żadnej nie znali. Ale że jest Bóg wiedzieli i modlili się do jego jak potrafili. Szli do lasu, szukali wywróconego przez piorun drzewa. Przeskakowali je i mówili - to Tobie, Boże - potem skakali nazad i mówili: - a to mnie, Boże.

MH

### Ostatnia zmiana kaszy

Kiedyś ludzie żyli biednie. Jak kończyła się zima i jeszcze nic nie wyrosło, a w komorze, sklepisku i świronku zapasy się skończyły, na przednówku jedli wszystko, co się zjeść dało. Ale gdy w kadłubkach świeciło dno, musieli pozbyć się nadmiaru gąb. Nasamprzód zabijali tych, co robić nie dali rady i tylko się z gębo dokładali.

Wtedy był taki zwyczaj, żeb starych zabijać. We wsi mieli młot z kamienia i tym młotem zabijali.

Jednego staruszka syn bardzo kochał i udał, że jego zabił, a naprawdę skrył na strychu. Karmit, czym mog. Ale jak się zapasy wyczerpali, przyniosł do ojca na strych ostatnio garść kaszy i mówi:

- Tatu, zjedz. To ostatnia zmień kaszy, wienc już nic w chacie do jedzenia nie ma. Musze ciebie zabić.

Stary zjad kasze, obtar wąsy i mówi synu:

- Nic nie musisz i głodować też nie będziem. Kiedy my kryli chate świeżo słomo, śpieszyli się i na dach położyli nie młócone kuli. Zdejmi tera z kryszy kul słomy i młóć.

- A kiedy to było, tatu, i co my namłóćim z jednego kula?

- Bierz, mówie tobie, snopka i młóć... a zobaczy!

Zdjął syn słome z dachu, zanios do stodoły i młóci. A tu ze słomy ziarno się sypie i sypie. Namłócił pare worki i jeszcze sąsiadom dał. Cała wioska młóciła i każdy miał do syta. I uchwalili, że od tych por starych zabijać nie będą.

MH

sklepisko - piwnica murowana z kamienia  
świronek - spichlerzyk  
zmienia - garść



## Wielkoludy

Ziemia kiedyś równa była jak stół i rośli na jej lasy, płyneli rzeki. Nas nie było... znaczy ludzi takich jak my, tylko po lasach żyły ludzie wielkiego rostu, wielkoludy.

I one byli ze wszystkim beztołkowne. Nie umieli nic robić, ani siać, ani orać. Nie mieli świń ni krów, ni nic. Tylko tak narwie malin z krzakami z korzeniami, zrobi takiego kłocza, wsadzi do gęby, pośsie, pośsie i kumia-ka wypłunie.

Albo znajdzie pszczoły w drzewie... to sosne złamie i też pośsie, pośsie i pójdzie. Pszczoły tno po gębie... a dla jego nic. Zwierzyne złapie... też na surowo zeżre. Ale potem nastali czasy, że jedzenia zabrakło... bo ile taki musiał zjeść, żeby się nażreć?

I wtedy nastali takie jak my, małe ludzi. Ale już gospodarne... orali, siali, zbierali, robili mąka, piekli chleb... A te wielkoludy chodzili, podglądali i dziwowali się.

- Musim tak i my - mówi jeden do syna. - Musim tak jak te malcy pracować, bo inaczej zginota. Koniec nam.

Powyrwali chwojki, porobili sochi... wołów takich wielkich nie było... to same ciągałi. A co nawyrabiali to widać po dziś dzień. Narobili dziur, kurhanow, jamow, dołów. O... te góry to ichnie bierzionki. Podglądneli, że ludzie coś do ziemi sypio... no to nanieśli kamieni i narzucali do ziemi. Siądli i czekali, czekali aż do zimy i umarli z głodu.

ŁS

## Kiedyś ludzie czarne i włochate byli

Kiedyś ludzie czarne, włochate byli i bardzo wysokiego rostu. Nie budowali domów, ni nic. Ot tak sobie żyli. Gdzie sie uwalił tam spał. Jak przyjdzie duży mróz, to weźmie i jego zmrozi. Na wiosne lód z jego odejdzie, znów wstanie i idzie. Jak szed przez las, to tak jak my przez krzaki. Głowa takiego wielkoluda wystawała ponad największa sosna. Jak chce patyka, to chwojke z korzeniami wyrwie...

Potem był potop i tych wielkoludów wytracił. Trafiał sie gdzie jeszcze jaki czasem. Po ich nastali my, mniejsze. A po nas jeszcze mniejsze będą. Takie małe, że cały akt weselny w chlebnej pieczce by sie pomieścił.

MB

## Wielkie koście

Raz, jak w Szudziałowie fundamenty pod kościół kopali, to tam kiedyś cmentarz musi był, bo nawyrzucali tych kości... Mówili, że to gnaty wielkoludów, co kiedyś żyli. Wykopali wielka jama i tam zawalili te kości. To udo

było jak cały człowiek... takie długie te gnaty. Potem jeszcze duża głowa wykopali. I ja wystraszyła sie...

- Mamo - mówie - uciekajmo... bo jeszcze sie do nas przyczepi co!

Takie wielkie kości wykopali po wojnie... jak z Sokółki na Szudziałowo wyjeżdżać... po prawej stronie.

AP

## Kamienne łzy

A te kamienie co po wierzchu so... co je z pola na miedze zwalajo, to łzy wielkoludów. Jak poumierali... ich kobiety żyli tam jakiś czas jeszcze i nad imi płakali. Siedziały na tych górach i z oczów im kamienie sypali sie i toczyli po ziemi.

AP

## Wesele w chlebnej pieczce

Raz szed wielkolud i zaszed do chaty. W chacie drzwi nie zaparte, roztwarte jak stodoła. Weszed do środka. Poniszprował po garszczkach i nic do jedzenia nie znaszed. A w brzuchu jemu burczało, jakby to grzmiało stronami. Siąd za stołem, podpar głowe i zaczyna zasynać. A tu muzyke slychać. Spójrzał, do chaty wchodzi cały akt weselny. Przędzi młodzi, družbanci... a wszystkich prowadzi rajko. Ido do piecy, otwierajo sie drzwiczki chlebnej pieczki, w ich stojo rodzice młodej i witajo akt weselny. Wielkolud kułakiem potar oczy. Myślał, że kto dla jego czmuta w oczy puścił. Ale nic nie żnika. Widzi, jak te małe ludziki wchodzo do chlebnej pieczki. Zerwał sie ze strachu na równe nogi i w drzwi, na pole i do lasu.

- Tatu - mówie potem do ojca - tatu wie, co ja widział? Jak do chlebnej pieczki cały akt weselny weszed... jak do karczmy bawić sie.

AS

*czmuta puścić - czar rzucić*

## Od czego naród taki plugawy zrobił sie...

Te wielkoludy to piękne ludzie byli... jeszcze od Adama i Ewy... jak jeszcze Bóg Ojciec stworzył, a że nieposłuszne byli... z rajku ich wygnał. Oni żyli bardzo długo... po tysiąc lat, a może i wienc?... Potem ich potop wygubił. A te co zostali sie, to dożywali swoich dni. Od Noego wyszli już ludzie mniejsze... Syna Bożego... wienc takie obrotne. I na końcu świata będą całkiem małe od Ducha Świętego.

Szed raz wielkolud i zobaczył takiego małego jak my, że leży na drodze i nie rusza sie. Wziął jego w dwa palcy za kapote, podnios, obglądnoł, obwąchał, jakiś dla jego hadki wydał sie. W brudnym łachmanie, łyczanych kapciach i jeszcze do tego woniał gorzałko.... Wielkolud splunął na



jego pahany łeb, rzucił w krzaki i poszed. Od tych por naród taki plugawy jest.

CC

### Czego my tatu głodne chodzim

Orał człowiek wołami. Dwa woły ciągną socha, a chłop trzyma rosochaczy i kieruje, ora pole. A z lasu wyszed wielkolud i paatrzy sie, coś po ziemi łązi. Położył sie na ziemi i z bliska przygląda sie.

- Robak? Nie robak? - myśli - Czego to tam w te i nazad łązi? Może to mrówka? - No nie mog tołku dojść, co to jest? Podłożył rękę przed to mrówko i ona dla jego na dłoń weszła. Zaniós to do ojca i sie spytał.

- Tatu zobacz co to jest. Co to za owad. Ani mucha, ani mrówka...

- Synu - na to ojciec - zanieś to na miejsce skąd wziół, bo to nie mrówka, nie mucha, a rolnik. Widzi, dwa woły ciągną socha, a za imi idzie człowiek i ora. Jak my umrzem i nas nie będzie, to po nas przyjdzie taki czas, że nastano takie małe ludzi. Będó jak robaki toczyć ziemie i z niej żywić sie.

- To czemu my tatu nie toczym ziemi, tylko głodne chodzim?

- Bo trzeba wiedzieć jakie ziarka do ziemi rzucić, kiedy opielić, kiedy ściąć... A my trochu beztołkowne jest.

CC

### Jak siedmiu pod makitro młóciło

Kiedyś nie było takich stodół jak dziś. Stodoły byli okrągłe. Dla wielkoludów zdawało sie, że to so makitry. Bo byli takie podobne. Pletli z gałęzi jak koszyka i oblepiali glino. Raz idzie jeden i z daleka patrzy sie... czegoś garszczki po ziemi wałajo sie zamiast na płocie wisieć? Ale słyszy, a spod jednego garszczka słycać: cup, cup! Cup, cup! Cup, cup!

- Co tam jest? Co tam dzieje sie? - zaglądnął przez otworek, co tam był, a tam siedmiu pod makitro kijami o ziemie cupie.

Poszed do ojca i pyta sie: - Tatku wie, co ja dzisiaj widział? Pod makitro siedmiu kijami ob ziemie cupało.

- A nie ruszał ty tej makitry?

- Nie ruszał.

-To dobrze. Nie można, dziecko, ruszać. Bo to rolnicy zebrali zboże i cupio je na klepisku cepami. Z tego będzie ziarno, z ziarna mąka, z mąki chleb, który oni będą jeść. My za nasze grzechy wymrzem już bez dzieci i tylko sie oni na świecie zostano, bo potrafió pracować. Będó jeść, a my pomrzem głodne.

AS

### Miodu dla nas nie starczy

Szed wielkolud przez las i ledwie, ledwo z głodu nogami ciągał. Zachciało sie dla jego lasko podpierać. Wyciągnął z ziemi sosne z korzeniami, przynios tam gdzie żyli.

Zaczął szukać noża, żeb jo z gałęzi ocierebić. A syn patrzy sie, że coś lezie po sośnie. Coś lezie jak jaki pajak... nie pajak? Licho wie co to? Mucha w pajęczynie?... Podnios pod światło, ogląda i pyta sie ojca:

- Tatu... widział co z lasu przynios? - I pokazuje ojcu - Co to za pajak? Ja ich tyle widział... ale takiego to jeszcze nie. Jakiś taki inny.

- Zostaw, synku. Zaniesiem ta chwojka do lasu... Bo to jest człowiek... bartnik. O widzi, tu w chwojce jest dziupla i tam w tej dziurce so pszczoły i znoszo tam miód... A te sznurki to nie pajęczyna tylko leźwie, na których bartnik sobie siedzi i ich, te pszczoły, kurzy, żeb dla ich miód podebrać. Z miodu robio wino, a z wosku świece... i majo w chacie jasno. A my po ciemku żyjem jak krety, jak latająca mysz. Zimo będó sobie siedzieć w chatach przy ogniu, miód będó sobie jedli z serem... Ale my takie wielkie porośli, że dla nas wszystkiego małowato.

CC



Ostrów Północny

## A BYŁO TO HECZ PRECZ...

### Jak łojmy po lesie chodziły

Łojmy żyły po lasach, łąkach, chodziły do rzeki, do strumyka. A wieczorem przychodziły do ognisk rybaków, smolarzy, węglarzy nagrzać się... To były grube, tłuste, brudne baby. Za ubranie miały posklejane żywicą długie, pełne liści i igliwia włosy. Im się nie udawały dzieci. Rodziły się beztołkowe i one podmieniały swoje niedojdy na ludzkie dzieci.

Zaraz po narodzinach dziecka łojma kręci się koło chaty położnicy, zaglądnie do okna... i niech tylko dziecka nie pilnuje, zaraz podmieni na swoje nieudacznę. Dlatego matka nie może do dziecka kłaść się plecami, a zawsze je musi mieć przed sobą.

Jak się małe kołtunić zaczyna, to matka często mówiła: - Oj, oj, musi nam łojma Jasia podmienić... czy może urzekł kto?

Bywało, że kobiety się pokłóciły i w złości jedna drugą obsobacza:

- Łojma ty... każu! Cholerna nieracha! Ababraniec!

MH

*nieracha - nieporadna  
ababraniec - brudas*

### Jak łojma w rozmaite hadztwo się przemieniła

U Kłónickiego koło Studzianek służył parobek. brzydki jak zaraza... ale i brzydkiemu się chce. Ale żadna, największa razdziawa z im nic nie chciała... no nie lubili jego panienki. Kiedyś w karczmie ponapiwał się i powiedział:

- A żeb mnie jaka łojma albo inna czartoweczka polubiła, to by i ja ją polubił.

Wrócił do chaty i poszedł spać na wyszki. A tu czuje, że ktoś jest, dotyka jego, całuje, kuzyta. Na jutro znowus i znowus jest... i znowus. Chłopak wysechł, czarny zrobił się. Przestał spać w stodole, ale ta jego i w chacie znalazła. A wszystko to było błotem słyhać i jakaś taka zimna była. Ale była...

W końcu przyznał się kolegom, że do jego jedna chodzi. Któryś z chłopaków poradził, żeby do księdza w Szudziałowie poszedł. Ale księdza nie było, tylko kościelny i ten jemu wszystko powiedział. Kościelny dał dla jego staro stule i poradził:

- Jak ona do ciebie na siano przyjdzie i zacznie swoje figle, ty zarzuć stule na ją.

Tak i zrobił. Przychodzi czartoweczka, położyła się koło jego, ale naraz usiadła i pyta się:

- Co tu tak paskudnie śmierdzi?

Wtedy chłopak na ją stule zarzucił. Zawyla strasznym głosem i zaczęły z niej wychodzić węży, żmije, jaszczurki, żaby no, rozmaite hadztwo. Na koniec sama przemieniła się w wielką ropuchę i pokicała w krzaki czarnego bzu, co koło stodoły rośli.

*razdziawa - gapa  
na wyszki albo na ruszta - w stodole na siano*

JK

### Jak łojma studziańskie dziecko podmieniła

Raz studziańskie kobiety żęły sierzpami zboże u Kłónickiego, a jedna nie miała z kim dziecka zostawić, to zabierała je na pole. Zawiesiła w płachcie na polnej gruszce. Jak słyszy, że płacze, coraz pójdzie cyczy da, małe ścichnie i matka wraca żać.

Ale żęncy odeszli dość daleko, w koniec zagonu i dopiero po jakimś czasie matka usłyszała, że dziecko płacze... rzuciła sierp i leci do jego. A jechał bryczko Koroza, ekonom Kłónickiego, i z daleka widział, jak łojma kobiecie dziecko podmieniła. Zatrzymał biegnącą matkę i mówi:

- Stój! Nie leć, to nie twoje dziecko płacze, to łojma jego podmieniła. To podmianek, odmieniec, ty jego nie rusz, zostaw go... niechaj bajstruk płacze. Zaraz łojma przyleci i swojego zabierze.

Dzieciak tak płakał, że nie mogli żać. Za jakiś czas łojma nie wytrzymała, przyleciała i nazad odmieniła.

- To ty taka matka? - krzyczała do kobiety - Ja o twojego miała staranie, a ty mojego nie mogła doglądać?

Łojma choćby nie wiedzieć jak daleko była, choćby spała czy co... to płacz swego dziecka słyszy i zaraz przyleci. Niektóre to nawet tego odmiana podszczytywali, żeby głośniej płakał.

MH

### Jak łojma ojca kochała

Kiedyś kawalierzy chodzili wieczorowo poro do panien i wracali się późno noco. I kiedy nie chcieli, żeby rodzice wiedzieli, kiedy wracają, bo chaty były małe, to spali na sianie. Raz ojciec, kawalerem będąc, wrócił nad ranem i położył się spać. Już, już prawie zasnął, a tu przychodzi do jego taka jedna goła, brudna, gruba i zimna jak ryba... Nawaliła się na jego i dusi. Wsadziła dla jego języka aż do gardła... a on nic zrobić nie da rady, nie poradzi jej z siebie zrzucić. Podusiła, podusiła ile chciała i poszła. Tylko - cha, cha, cha - zaśmiała się - jeszcze ja do ciebie przyjdę! - zawołała i poszła. Od tych por ojciec wienc na sianie nie spał.

MH

## Jak ojciec w Święty Jan łojme przewalił

Paproć kwitnie między Janami. Dziś polski Jan, a za czternaście dni ruski. I Szypluk Michał powiedział tak: - Trzeba mnie dopilnować tego kwiatu, jak on kwitnie i wziąć jego. Bo jak jego zerwać, to będziesz mieć wszystko ze światu, wszystko, co tylko zechcesz.

No położył się on na Komosie w paprociach i pilnuje. Pilnuje, pilnuje, pilnuje. Nic nie kwitnie. Zapalki pali, na zegarek patrzy. Ale coś przychodzi do jego, a on ani ręką, ani nogą ruszyć nie poradzi. Kładnie się koło jego na prawo rękę...

- Święty Janie! Ratuj! - wrzasnął i odraz odpuściło, tylko głos z dala do jego doszedł:

- Ty mój kochanek i ja z tobą i tak będę!

Przyleciał do Supraśla i opowiada kolegom. Malienda dla jego mówi tak:

- Ty, Michał... to kiepska sprawa, to łojma była... czorta żona. Ona dla ciebie teraz nie da żyć. Tobie trzeba tam jeszcze drugi raz iść, położyć się gdzie leżał i prawa ręką odłożyć i jak ona przyjdzie i powali się na rękę... to ty ją przez siebie przewal na lewą stronę. Łojma zawsze jest po lewej stronie człowieka i dlatego nie wolno płuć na prawą stronę, bo z prawej strony chodzi anioł stróż i na jego napaskudzić możesz. Każdy człowiek ma swego anioła i diabła.

Raz w nocy usiadł pisać list, ale coś dla jego szmuka się za plecami. Oglądnoł się raz... nic nie ma. Oglądnoł się znowus... nic. A wszystko tak dla jego przydaje się, że ktoś jego śledzi. Trzeba na Jana - pomyślał - iść po ten kwiat i łojme przewalić, bo nie ma życia dla mnie.

I jak pomyślał to i zrobił. Nadeszedł Jan i Michał poszedł pod Komosę, położył się na plecach w paprociach i czeka. A strach, włosy mu stają, ale leży. A jak, za jakiś czas przychodzi. Nie widzi, ale czuje, że coś na jego prawej ręce jest, bo się to ręką poruszyć nie daje. Ale ta się na jego nawala i do całowania się bierze. Jak on nie wczepi się pazurami w skórę... a to skórę jakaś taka luźna. Wczepił się i ten ciężar przez siebie przewalił. Usłyszał tylko, jak odchodziła, takim smutnym głosem wołała: - Aaaa, aaa, aaa... a ja myślała, że moim mężem będziesz.

Tak Michał na swojej skórze przekonał się, że kwiatu świętojańskiego nie ma, ale łojme przez siebie przewalił.

JM



## BIBLIĄ LESUNÓW

### Do księżycy po różańcu

Kiedys wieczorem, jak pierwszy księżyc wyjdzie, modlili się... ten o, Makarewicz Aleksander. Wiosno, jak oprawi się, a i dziś... tylko co kolacje zje, wyjdzie na podwórek, drzwi zamknie, siądnie na progu, patrzy w ten księżyc, jak świeci. Przeżegna się i mówi pacierzy. Ojciec Nasz... Zdrowaś Marjo albo różaniec odmawia. Siądnie sobie na progu, patrzy się w księżyc i różaniec odmawia.

Bo jak zobaczy się młody księżyc, trzeba zdjąć czapkę i zmówić modlitwa „Anielskie pozdrowienie” i na koniec:

*Widzę ja ciebie  
miesiączku nowego  
więcej dobrego.  
Tobie korona  
dla mnie obrona*

SB

### Grzeszne rodzice

Przódzi Bożko z gliny ulepił Adama. Patrzy się, że choć ten Jego chwali... to wszystko smutny chodzi.

- Co dla ciebie Adamie jest? - pyta się raz. - Co dla ciebie jest, że ty taki smutny chodzisz?

- Smutno mnie, Panie... ani do mnie kto przemówi, ani do kogo gębę otworzyć...

- Coś poradzę - powiedział Pan Bóg na to i żnik.

Nocą, jak Adam zasnął, Pan Bóg dla jego z boka wyjął żebro i zrobił kobietę. Temu kobiety takie żywuszcze jest, że z kości zrobione.

No i żyli sobie Adam z Ewą w raju. I dobrze im w im było, że aj jaj, jaj. Ale kobiecie zawsze wszystkiego mało. A rosta w raju rajska jabłonka i Adam wiedział, że z jej jabłek dla ich kosztować nie można, bo Bożko tego zakazał.

Do tego raju wszystkie hady miały łatwy dostęp i diabeł też. Wziął wlaw we węza co tam na gałęzi był i podmówił Ewę, żeb zerwała jabko.

- Zerwi - kusi diabeł - Nie bój się. Jak zjesz te jabko to będziesz wiedziała tyle co Bożko. Nie wie sama, że najmędrze na świecie to kobiety jest?

Ewa zerwała jabko, ugryzła i dała dla Adama.

- Masz. Jedz śmiało... patrzaj, zjadłam i mnie nic nie jest!

Adam ugryz kawałek i przetykając spojrzął na Ewę. Zobaczył, że ona jest całkiem goła.

- Jak nic tobie nie jest, kiedy ty go... go... go... goła. - Zaykał sie, bo dla jego jabko utknęło w gardle. I ono tam po dziś dzień u każdego chłopca w gardle siedzi. A siedzi tam po to, żeb chłop pamiętał, kto jego skusił i za co ich Bożko z raju na zbity łeb wygnał.

AS

### **A... bo Ewa nie ma tego co ma Adam**

Pan Bóg stworzył niebo i ziemię, a na końcu Adama. I zostawił jego w raju. Ale wszystko coś dla jego nie tak było, coś niewygodnie. To wyjął w nocy żebro i z żebra zrobił dla jego towarzysza, znaczy drugiego Adama. Ale jak wyjmował żebro, to się złamało i kawałek w boku został i... odstawał. Tak wyszła Ewa... co jej nic nie odstaje. Znaczy, nie ma tego co ma Adam.

JA

### **Kogo Pan Bóg zrobił z psiego ogona**

Jak już Pan Bóg ulepił z gliny Adama... Położył jego na desce na słonku żeb obesech. Przyglądał się jemu i myślał: - Każde stworzenie ma jako pare, niechaj i on sie sam po raju nie plioncze... Mus dla jego zrobić kobiete, Ewę.

Ale zafrasował sie Pan Bóg, bo ulepił Adama z ostatniej gliny, jaka u Jego była została i wienc nie miał. A że glina już podsechła, z wielkim kłopotem wykałupał szczyrykiem Adamowi kawałek gliny. Trafilo sie żebro. Położył je na trawie i kombinuje, jak tu z żebra towarzysze życia Adamowi zrobić. Samo nadleciał pies... zobaczył kość... złapał żebro i w nogi. Ledwie Pan Bóg zdążył jego za ogona złapać. Ogon sie urwał i pies z żebrem Adama żnik w krzakach. W ręku Pana Boga zamiast żebra Adama został sie psi chwost. Rad niewola musiał Pan kobiete z psiego ogona zrobić. Temu baba za chłopem jak psi ogon za psem.

MH

### **Kain i Abel**

Jak na księżycu jest plamki i im sie przyglądnać... to mówio, że tam widać, jak Kain brata Abła na widłach powiesił. Bo kiedyś na księżycu ludzie byli i tam żyli. Jedna połowa była zalodzianiela, a druga jeszcze uprawna. I to był Kain i Abel. Kain był zajdrozny, bo ojciec wienc lubił Abła i jak raz roztrząsali gnój, pokłócili sie i Kain Abła uprął widłami i podnios jego w górę. I tak już zostali sie. Jak dobrze przyglądnać sie, to widać te

plamki na księżycu, a jak kto ma dobre oczy, to nawet zobaczy dwóch braci i to jak brat zabił brata.

JA

### **Po potopie**

Gdy Pan Bóg wytracił grzeszne ludzkie pleię i spuścił na ziemie potop, zachował jedynie Noego i jego rodzine jako ostatnich sprawiedliwych. Kazał Noemu zbudować okręt i pomieścić w im po parze wszelkiej żywiołki. Kiedy minęło 40 dni i nocy, przestało padać. Noe wypuścił ptaszke, męża kukutki. Ten polatał, polatał i wrócił sie. Na jutro to samo. Pozajutro wyleciał i już sie nie pokazał. Jedne mówili, że sie dla jego coś przygodziło.

Ale mnie sie widzi, że jego żona to była niekiepska zaraza, i jak ze sobo pobyli 40 dni bez oddechu, to jak tylko wody odeszli, uciek najdalej jak mog. A ona wyleciała za im i do tych por lata i na jego kuka.

Za to Pan Bóg jak na to zatopiono ziemie popatrzył, gdzie nic sie nie rusza, było szaro i smutno, rozwiesił na niebie kolorowa tęcza i powiedział dla Noego:

- Raduj sie Noe, dobry człowieku, bo od tych por już nigdy ludzie nie doświadczu takiego potopu.

Od tego: „raduj sie Noe” - tęcza nazywa sie raduha - znaczy radość. I zawsze po deszczu Pan Bóg jo na pamiętkę swej obiecanki, że wienc potopu nie będzie, na niebie rozwiesza.

AB

### **Ognista koleśnica Eliasza**

Jak pioruny w chmurach bijo, że słyhać tylko jakby kto żełaźniakiem po bruku jechał albo puste beczki po niebie kaczał, to mówili: - Aaaaa, to Eliasz ognisto koleśnico po niebie jeździ i od tego gwiazdy sie zruszajo. Jak noco w niebo spojrzeć... te gwiazdy przelatuj. Każda gwiazda to człowiek i jak przelatuje i gaśnie... to kto tam gdzieś umiera.

SB

### **Diabły sie kryjo, gdzie pioruny bijo**

Jak grzmi i biją pioruny, to wtedy po niebie Eliasza i Enoch pędzo w ognistym wozie po ogniu. Konie kopytami krzeszo iskry i z tego są błyskawice. Jado po obłokach i strzelajo piorunami w diabły. Diabły sie kryjo, gdzie który sie wciśnie. A najwienc ich w starych wierzbach. Temu pioruny bijo w stare wierzby. Diabły sie kryjo, gdy pioruny bijo.

Jak tak po niebie pędzo, to gwiazdy spadajo na niebie noco. Do każdej gwiazdy przyznaczone jest dusza człowiecza i jak gaśnie, to gdzieś człowiek umiera.

CA

## Pokąd nie zagrzmie, lesun się nie przeżegna

Jak błyska i grzmi, trzeba w oknie postawić zapaloną gromnicę, bo Eliasz piorunami celuje w czarta. Gdzie się czerci kryją, tam uderza grom. Bywa, że w wozie Eliasza urwie się koło i toczy bez celu. Wtedy uderza tam gdzie popadnie.

Burza najtwardszy kark przygnie, nawet niedowiarku. Jak zagrzmie, to i on się sfefra i przeżegna. Temu się mówi: póki nie zagrzmie, lesun się nie przeżegna.

AS

*lesun - mieszkający w puszczy (mieszkających za puszczą w polu lesuni nazywają zapolniki)*



Młyn w Talkowszczyźnie

## TOPIELNIK

### Miała być a nie ma

Byli chrcziny w Międzyrzeczu i poszli do rzeki kąpać się. No co? W Międzyrzeczu rzeka za progiem, ale tam zawsze wychodził jakiś topielnik... nic nie mówi, tylko chowa się za drzewo, za studnie. A kiedyś nosili szkaplerzy Matki Boskiej Karmelińskiej... i ktoś poradził, żeby jak on wyjdzie, dla jego szkaplerza na szyje zarzucić.

No kąpio się... a jak, jest... wylaz z wody i chowa się za sitowie. Ale teraz gada.

- Miała być i nie ma. Miała być i nie ma.

Zarzucili na jego szkaplerza. On wylaz na brzeg i mówi:

- Zdejmi ze mnie to.

Ale oni nie zdjęli, tylko jak skończyli kąpiel poszli do chaty. Ido do domu, a on za nimi i wszystko prosi:

- Zdejmi ze mnie to.

Weszli do chaty, on za nimi. Sądli za stołem i pijo, a on siadł w kącie, siedzi patrzy się. Wypili kieliszka, drugiego, trzeciego. Po trzecim zaśmiał się, ale tak przykro... Jak wypili czwartego, zaczął klaskać i cieszyć się.

- Zdejmiem - mówio - tobie szkaplerza, ale powiedz, czego ty klaskał?

- Jak wypijo jednego kieliszka to drugi lepiej pójdzie. Po trzecim zrobi się wesoły. Ale jak wypije czwarty, piąty, to już nasz człowiek. Zacznie bluźnić, zacznie bić się... to już nasz. No, a teraz zdejmno mnie to.

Zdjęli dla jego szkaplerz. Ale spytali się czego mówił - miała być i nie ma?

- Zobaczo za niedługo.

To bali się iść kąpać. Aż jedna z Wierzchlesia... źle jej tam było żyć, przysłała się utopić. Przenocowała u Szuchnickiego i na ranku utopiła się. To już głęboko jesienio było i na wiosnę ją woda wyrzuciła. Jak mówili, topielnik do jej przychodził całe lato i na jesień zawezwał do siebie.

To był taki młody, przystojny... taki chudy, wysoki... włosy u jego białe i na zielono ubrany.

Topielnik jak się kąpio, to za nogi chwyta. Straszy tak. To jest utopiony człowiek, którego nikt z wody nie wyjął. Pokazuje się tym co niedługo umro. Tu w Talkowszczyźnie utopiła się jedna i jej koleżanki szli przez bród. Wszystkie przeszli, ale Helenka nie poradziła, bo ją ta utopiona nie puszczała. I tylko ona ją widziała i w pare dni utopiła się koło młyna.

AF

## DOMOWIK

Jak się komuś dobrze wiedzie, to mówo: on ma domowika i domowik dla jego hroszy nosi. Zawsze z soboty na niedzielę siada na kominie i do chaty pieniądze sypie. Bo kiedyś inne kominy były, przelotne, i gospodarz musiał zatkało z komina wyjąć, bo domowik może pieniądze sypać.

AP

Domowik to taki domowy czort... taki duch. On jest nieduży... jak większy pies i taki jak mgła, jak dym. Widzi jego najczęściej gospodyni. Z wyglądu podobny do gospodarza. Lubi spać pod kuczą albo w kupce śmiecia pod piecem. Dlatego po zmierzchu śmiecia nie należy wynosić, bo się wyniesie domowika i będzie koniec dostatku w chacie.

Jak rodzina przechodzi na nowe miejsce i już wszystko ze starej chaty zabrane, gospodyni na szufelkę zabiera śmiecie i niesie do nowej chaty. Zbierając śmiecie mówi: choć domowik... idziemy do nowej chaty, a tu już nikt się nie zostanie.

Rano jak u kobiety w nocy na ręce zrobi się siniec i mąż ją zapyta:

- A to co?

- A to domowik uszczypnął.

MK

Domowik to taki domowy gospodarz. Dogląda żywiołki, zwłaszcza konie. Jeśli konia nie polubi to on rano zawsze będzie tak zmęczony, jakby nim ktoś jeździł po nocy. Takiego konia trzeba sprzedać i kupić drugiego. A jak polubi, to nawet gdyby gospodarz o niego nie dbał, będzie zadbany. Podobnie krowy, owce. Dlatego w Boże Narodzenie gospodyni przynosi do chlewa miseczkę z kutią i innych potraw po troszku i stawia na słupkach. Gospodyni jak jest sama w kuchni to mówi do domowika, prosi go, żeby się zwierzętami opiekował i nie czynił żadnej krzywdy. Stawia mu też czasem mleko na pokut'.

JK

*kucza - nisza, wnęka pod płytą*

*pokut' - święty kął w chacie z krucyfiksem, św. figurą na półce albo obrazem*



## CO, SKĄD I DLACZEGO

### Czemu kobieta wiecznie nie ma czasu

Szedł przechodzący człowiek z Kamionki do Wierzchlesia. W końcu wioski płynie rzeczka i kobieta, klęcząc na desce, prała pralnikiem bieliznę.

- Pochwalony - powiedział do jej przechodzący - jak iść na Wierzchleś?

Kobieta wstała. Kiecka u jej za pasek zatknięta, w jednej ręce bielizna, w drugiej pralnik... Nie ma jak pokazać. Popatrzyła się i machnęła ного.

- Tam! - uklękała i dalej trzepie pralnikiem.

Ale zaraz po sąsiedzku stary człowiek cepem robi. Tylko się nad im chmuro kurz unosi.

- Pochwalony - pozdrowił jego przechodzący człowiek. Stary przerwał robote. - Pochwalony Jezus Chrystus - odpowiedział.

- Jak mnie iść na Wierzchleś? Z drogi zbił się.

Człowiek powiesił cepa na goździu, wyszedł na droga i pokazał, jak dla jego należy się iść.

A to był sam Pan Bóg i tak zrobił, że kobieta nigdy nie ma czasu. Roboty przed jo zawsze tyle co i za jo. A człowiek, znaczy chłop, robote w pore robi, fajke zakurzy, a i w karczmie posiedzieć może.

AW

*pralnik, kijanka - drewniany bijak do prania bielizny*

### Od czego kobieta taka mądra jest

Idzie Chrystus ze świętym Piotrem i patrzy się, a w Karakulach przed stodołą kobieta na ciernicy trze len.

- O jaka zmyślna - mówi Piotr - wytrze len, obje paździerzy, wyczesze, uprzedzie nicie, narządzi krosna, utka materiał, wybieli na słonku i soroczki poszyje. O widzisz Panie Jezu jaka mądra?

Kobieta usłyszała, co mówił Piotr i odzywa się:

- No i nie durna, we wsi tylko ja taka, a moja siostra druga.

Poszli dalej, a przed Ciasnem człowiek soszko ora, pot dla jego po twarzy cieknie i oczy zalewa... Chrystus popatrzył na jego mękę i mówi:

- Spoglądni Pietrze, jak Ojciec Niebieski dał... człowiek poora, posieje... co jemu wyrośnie zbierze i z głodu nie umro.

Człowiek usłyszał ostatnie słowa, zatrzymał konia, obtar pot i odzywa się:

- Pewno, że nie umrzem, a wyrośnie nam to, co Pan Bóg zechce dać i chwala dla Jego za to. Tak było od początku świata i jest tera.

- Niechaj tak zostanie się.

CA

## Oj, niedobrze Pana Boga poprawiać

Był Adam z Ewą w raju. Ale pierwszy Bóg ulepił z gliny Adama, a dopiero z jego żebra zrobił Ewę. Mieszkali w raju. Pośrodku raju rosła jabłoń, ale dla nich było zakazane z jej jabłka rwać. Ale podkradł się diabeł, uwiesił jako wąż na drzewie i gada, gada Ewie do ucha... aż skusił ją... a ona Adama do tego, że urodziła dziecko... i Bożko z raju wygnał pierwszych rodziców.

- Idźcie... płodźcie się, rodzicie się, jak na bałocie łąza!

Nakazał im cierpieć choroby, ciężko harować, a Ewie za to, że Adama zwiodła, jeszcze dołożył, żeby wywodziła na świat pokolenia w paskudnych męczarniach.

I rodziły kobiety kolejne pokolenia, a „babki” je łapały i sprowadzały na świat. Tymczasem chłop siedział w karczmie, popijał gorzałkę albo na ławce przed domem fajkę kurzył i czekał na pierwszy wrzask swojego potomka.

Rozzłościło to kobiety w Wierchlesiu tak bardzo, że poszły na rozstaje i tak długo w modlitwie prosiły Pana Boga o posłuchanie, że się Pan zlitował nad nimi i zapytał, czego chcą?

- Sprawiedliwości, Panie Boże! Sprawiedliwości! Dlaczego kobieta cierpi rodząc, kiedy chłop, główny tego sprawca, siedzi przed chatą i fajkę kurzy? Spraw, niechaj i on czuje tak samo co kobieta!

- Dobrze - odpowiedział Pan Bóg - od tych por tak będzie i dla ojca dziecka. Chłop ma odczuwać te same bóle co rodząca matka.

Przyszły zadowolone kobiety do wioski, a samo Jańcia Gibów rodzić zaczęła. Z chaty dobiegają krzyki rodzącej, a jej chłop, Giba, siedzi na ławeczce przed domem i jak gdyby nigdy nic spokojnie fajkę kurzy.

- Nie do wiary... - odezwała się jedna - Ot czasy kumo nastali... nawet samemu Panu Bogu wierzyć nie można...

Ale... słyszą po sąsiedztwie z chaty Jakuba dobiegają straszne ryki, jakby kogo czerci ze skóry łupili.

- A coże dla jego stało się? - zdziwiły się kobiety i poszły pod okno patrzeć, czego sąsiad wiszczy. Widzą... w paradnej izbie po podłodze tarza się Jakub i to tak jakby co urodzić zamierzał.

- Niedobrze, kumy. Pan Bóg dotrzymał słowa. A przy okazji wyłazi, kto jest ojcem Gibowego bajstruka. Chodźmy pod krzyż, może tam jeszcze jest Pan Bóg i może nazad zrobi po staremu. Oj, jak to niedobrze poprawiać Pana Boga.

Poszły kobiety pod krzyż, a tam na kamiennym kurhanie siedzi dobrotliwy staruszek i kiwa głową uśmiechając się szeroko.

- Niedobrze wyszło? No widzicie, ja wszystko przewidział.

AF

## Czego Żydzi nie jedzą świńskiego mięsa

To było wtenczas, jak jeszcze Chrystus chodził po ziemi. Żydzi jego nie uważali, bo jak szedł ze swoimi uczniami przez miasteczko czy wieś, to jedne byli za im, a drugie nie wierzyli dla jego. I siedziały kobiety z dziećkami przed chatą.

- Ty weź - mówi jedna - połóż się z dziećkami, a my nakryjem cię kryją i niechaj zgadnie, jak taki mądry, co tam jest?

Nadeszedł Chrystus z uczniami i kobiety jego spytały:

- Nu ty... mówio, że wszystko wiesz... No to zgadni, co pod to kryją jest?

- Świnia z prosiakami - odpowiedział Chrystus i poszli dalej.

Podnoszą kryje... prawda... a tam świnia i warchlaki rochają się. I temu Żydzi nie jedzą świńskiego mięsa.

*krypa - dłubane z półpnia koryto, kopańka*

AS

## Czego koń wlecznie głodny

Wół podje trochę i robi cały dzień do sochwałow... A koń? Koń, a gdzie by nie stanął, zare łype zwiesi i zaczyna żreć. A żarłby i żarł... bez końca... no prosto nienazarty. I czego jego takiego Pan Bóg stworzył?

A było to tak i wtedy, kiedy Materka Boża po świecie chodziła i patrzyła, jak sobie ludzie rade dają. Jednego razu doszła do brodu na Supraślance, co Studziański Gościniec idzie... Woda niegłęboka... ale Ona osoba nie za wysoka, rzec by, mizernego rostu... a i szatki bojała się zmoczyć. Zdjęła chodaczki... i myśli jak by tu wejść do wody. Tycnęła palca we wodę... zimna i jak to na bystraku, pełno na dnie kamienia... strach się skaleczyć.

Posmutniała Materka. Ale patrzy... a tu na łące koń się pasie.

- Przewieź mnie - poprosiła konia - na drugi brzeg. Będę ci bardzo wdzięczna.

Koń nawet głowy nie podniósł, tylko żując trawę powiedział:

- Zare, zare... niechaj poczeka... tylko trochę podjem...

Siadła Materka na wysokim brzegu i czeka. A tu już słonko zaczęło się za las spuszczać. Już niebo poczerwieniało, jakby kto w Wasilkowie ogień zaproszył...

- Długo jeszcze będziesz jadł? - spytała Materka konia.

- Jeszcze trochę i jedziem.

Samo gospodarz przyprowadził woła i puścił na łąkę. Wół orał cały dzień, nogi się dla jego ze zmęczenia gno... Podeszed do rzeki wody się napić... a tu widzi zmartwioną Materkę Bożo... jak siedzi nad rzeką i płacze. Pyta się jej:

- Czego sama taka smutna? Skrzywdził kto?

- Nieee... mnie trzeba na druga strona. Poprosiłam konia. Powiedział, że przewiezie mnie jak sie naje... Ale on okropnie długo je.

- Koń to jest hultaj. Siądaj mnie na plecy..., to cię przewieze.

Tu wół klęknął na przednie nogi, tak żeb Materka mogła sie na jego grzbiet wdrapać. Siądła wygodnie, a wół... noga za ного... przeprawił sie na studziański brzeg. Gdy zsiądła i obróciła do rzeki, zobaczyła, jak koń dalej szczybie trawę.

- Ach ty paskudna, nienasycona abzero... - rozzłościła sie Materka.

- Pokąd świata będziesz zawsze głodny.

I tak już zostało. Dzień i noc koń by tylko żuł i żuł, bez końca.

JB

### Jak Pan Bóg stworzył bociana

Dawno to jeszcze było... tak dawno, pokąd Pan Bóg między ludziami był i pokąd ludzie postuszne byli i dla Jego nie zbrzydli.

Jednemu dał worka, żeb zanos po coś do kowala za lasem, co w zapolu żył, i mówi:

- Idź zanieś tego worka do kowala w zapolu... Tylko niechaj pamięta... żeb mnie do jego nie zaglądał, bo bieda sie napyta.

- A co to za bieda może mnie być?... że spójrzał?

- Nie twój interes co to za bieda i co jest w worku.

Idzie człowiek i niesie na plecach tego worka. Nieciężki tam... ale wszystko dla jego cięższy sie wydaje. Ciekawo wiedzieć, co jest w środku? Postawił na ziemie, siąd na pieńku i nic dla jego do głowy nie przyjdzie tylko wszystko: co takiego Pan Bóg dał kowalu?

- Zagładne trochu - gada sam do siebie - trochu nie zaszkodzi.

I dawaj oborcy w worku rozwiązywać. Tylko trochu popuścić... jak ci nie zawieje wiat, jak ci w worku nie zaświszcze... Nie utrzymał jego w rękach, sznurki rozwiązali sie do końca i zaczęły z jego wylazić żaby, jaszczurki, węży... wszelkie hadztwo jakie na tej ziemie jest. I odraz rozłaziło sie. Komary wylatajo, bąki, ślepaki i wszelkie inne karakany. Ten dawaj łapać i nazad do worka sadzić. Ale co? jednego wsadzi a dziesięć wylazi. Sfrefał sie... no bo co tera bedzie?

A tu jeszcze głos z chmur sie odzywa:

- Bocianie, Bocianie - bo dla jego Bocian było - czego ty mnie nie posłuchał? Teraz będziesz to hadztwo musiał wylapać. Ciekawy ty był co w worku, a ja ciekawy jak ty ich wylapiesz?

- Panie Boże nie uradze... tak sie hadztwo szybko rozłazi.

- A no to żeb ty szybciej łapał niechaj tobie wyrosno skrzydła.

I zamienił Pan Bóg Bociana w ptaszke. A że to człowiek jest, to przy ludziach sie trzyma, na domach swoje gniazda zakłada i wciąż dla jego żal, że sie nie postuchał.

WP

*zapole - teren gdzie się kończy zwarty kompleks puszczy*

### Bohomolec bocianem

Jest taki raz w roku, kiedy w jedno miejsce schodzi sie wszystka gadzina i wszelka inna żywiolka. Mają tam swoje narady... jak sie bronić przed człowiekiem albo jak sie na ludzi skarżyć przed Panem Bogiem... jak to im ludzie dokuczajo i żyć nie dajo.

W ten rok jeszcze na polane nie zdążyli przyjść większe zwierzęta... ani zajęcy, ani kuny, ani myszy. Pierwsze zesłi sie jaszczurki, żaby, węży i wierzajki... no wszelkie hadziuki. I tak na człowieka wyrzekajo, że aż sie trzęso, taka ich lichoratka brała.

A szedł sobie to poro ze światu bohomolec. Idzie i sie modli... ale tak sie modli zażarcie, że nic nie widzi dokoła. Weszed na polane między wrzeszczące hady i te na jego napadli, zaczęli kąsać... a u którego zębów nie było, to pluwał.

Zobaczył Pan Bóg jak to jest naprawde i tego bohomolca, że był taki nabożny, przydał ludziom do obrony... zrobił jego bocianem. Dał dla jego work, żeb je we worka łapał. I on chodzi po całym świecie, łapie i w rzece topi. Temu najwięcej hadztwa siedzi w wodzie.

SB

### Myśliwy zamieniony w bociana

Był u nas taki jeden zajadły myśliwy. Dla jego nie było tam... świątek piątek, za to zwierzyno szed do lasu, tropił. Jednego razu zaszed w takie miejsce w lesie, gdzie stała stara sosna, a na jej wisiał starożytny krzyżyk. Tam, w jedno święto, schodziła sie z lasu cała zwierzyna i on w te miejsce trafł. Samo było ichnie święto i widział, jak sie schodzo sarny, jeleni, dziki, borsuki, lisy i wilki...

Patrzy sie... a tu idzie biały jelen. Na rogach u jego obraz zawieszony jest. I on, szurganiec jeden, do tego białego jelenia strzelił. Jeszcze po lesie huk niosło... jak wszystko żnikło. Pod sosno zostali sie same węży, ropuchi, jaszczurki i dalej na jego napadać. On objoł to sosne i prosi sie Pana Boga, żeb od jego te hadztwo zabrał.

Jak tylko poprosił, odraz przestali hady jego napadać. Pod nogami zobaczył worka i usłyszał głos:

- Że u ciebie nie było świątka ni piątka, to tera idź i to hadztwo łapaj. Jak już wszystkie wylapiesz, zanieziesz do rzeki i wrzucisz, to ja ciebie uwolnie.

- Panie... a kto to potrafi? Ile to trzeba sie za imi nalatać?

- Nalatać? - Zamienił Pan Bóg jego w bociana i powiedział: - No to masz skrzydła, leć i łapaj!

JA

### Skąd sie wziął skowronek

Ora człowiek ziemie w pocie czoła... jak Bóg przykazał. Chodzi za wołem, za rohacze trzyma i ziemie wywraca. Idzie za wołem, a płakać sie chce, tak smutno dla jego.



Samo Pan Bóg wyszedł przejść się trochę przed śniadaniem po świeżym powietrzu. Stońce wychyliło się zza lasa... jeszcze oczów nie razi.

Widzi... człowiek już na polu idzie za wołem... a smutny taki, że i świat w oczach Panu Bogu posmutniał.

- Czego się smuci? - spytał Pan Bóg człowieka - Musi temu, że wstał wcześniej? Niechaj sobie na jutro pośpi dłużej, to poweseleje.

- Panie Boże nie temu ja smutny, że niewyspany a temu, że tu samoram. Ewa obiad gotuje, a mnie tu nie ma do kogo gębę roztworzyć.

Zafrasował się Pan Bóg, bo chce, żeby wszystko co stworzył w niebie i na ziemi było dobre.

- Weź tego kamienia - powiedział do jego - i ciśnij w niebo.

Człowiek podjął kamienia, rzucił w górę i patrzy za nim. Kamień małał, małał, małał aż znik na sinim niebie. A tam gdzie znik rozśpiewała się jakaś ptaszka. Zmrużył oczy i zobaczył nad sobą wiszącą na niebie, śpiewającą kamień.

Temu dziś, gdy człowiek samotny ora pole, nad jego głową wisi skowronek i śpiewa, że w człowieka harowaniu było trochę radości.

AW

### Szczygiełki małego Jezusa

To się przygodziło Jezusowi jak był dziecinkiem... ot takim, że Świętemu Józefu dorastał do pasa. Siedział ze Świętą Mateńką... a ta żeby jego ucieszyć, bo jakiś tego dnia był marudny, z gliny wylepiła dla jego cudeńka. A to wołki, a to osiołki, awieczki. Cieszyło się dziecinko, plaskało w łapki. Ale musiała Mateńka iść piec placki, bo zare Józef z roboty miał wrócić. Dała Małemu bułkę gliny i poszła. A ten co uszczypnie to w jego paluszkach glina się w ptaszke przemienia. Co gliny szczyppnie, nowa ptaszka wychodzi. Nakleił tych ptaszków całe stadko. Aż przychodzi Maryja, patrzy, zachwyca się.

- Takie ładne ptaszki tobie synku wychodzą, żeby jeszcze one latały i szczebiotali...

Dziecinko uniosło rączki do góry i musi coś tam do Ojca Niebieskiego zagadać, bo naraz wszystkie gliniane ptaszki piórami zalecieli. Zerwali się stadkiem i ćwierkając jak szczygły polecili za miasto... jakby ktoś dzwonił mi potrząsał.

MB

### Jak kukułka szukała Jakubka

Kukułka to była dziewczyna i ona miała bajstruka. Znaczą nielegalnego dzieciaka. Ale jego porzuciła u sąsiadów, a sama tylko chodziła po świecie od karczmy do karczmy i swojego chłopca szukała. Zagładnie i wołała:

- Ja - kub - ku! Ja - kub - ku! Bo had miał na imię Jakub.

Jak umarła, Pan Bóg ją zamienił w ptaszke. I ona po dziś dzień lata po świecie, dziecinków swoich nie dogląda, tylko jajka cudzym ptaszkom podrzuca. A sama lata i swojego Jakubka woła - Ja - kub - ku, Ja - kub - ku, kub - ku. Kuku, kuku, kuku!

MH

### Skąd on taki mądry?

Kiedy Chrystus chodził po ziemi i nauczał, to jemu niedowierzali. No ludzie wtenczas takie niedowiarki byli. Jak u nas w Wierchlesiu. Wierchleś z tego był znany. Kiedyś ksiądz w Sokółce kazanie mówił... a na dole pod ambono jakiś chłop co i raz się przeciwi i mówi:

- Aha... prawda była.

Ksiądz wychylił się z ambony i spytał:

- Ej ty tam pod ambono... ty musi z Wierchlesia, że taki mądry?

No i była taka dziewczyna... taki niedowiarek. Sama do siebie mówi:

- A co on wie? - Znaczą Chrystus. - Urodził się u stolarza Józefa. To on taki jak my i taki mądry naraz stał się? - Mówi do koleżanek: - Właśnie na drzewo i będę kukać i wy zapytajcie jego, kto to kuka? Niechaj zgadnie jak taki mądry.

I tak zrobili. Dziewczyna skryła się na gałęzi i woła:

- Kuku, kuku, kuku!

A idzie Chrystus i pyta się jego te koleżanki:

- Taki ty mądry? No to zgadnij, kto tam kuka?

- Kukułka - odpowiedział Chrystus. - Pokąd życia, będzie kukać.

Patrz... prawda... dziewczyna znikła, a na gałęzi siedzi ptaszka i kuka.

WP

### Jak panna młoda ptaszko się została

Jedna szła do ślubu... na imię jej było Kukułka. A matce okropnie się młody nie widział. Ale co mogła?... Ojciec zgodził się, bo go zawsze Kukułka wokół palca obwijala, i zbierali się jechać do ślubu. Koni założone, akt weselny siedzi we furach. Druhny prowadzą młodo i sadzają na dywanie. Matka zamiast ją na drogę przeżegnać powiedziała:

- A zostań ty ptaszko i wieniec tu nie lataj!

Tylko odjechali do krzyża za wioskę... młoda zamieniła się w ptaszke, zatrzepotała skrzydłami i odleciała. Akt weselny zawrócił do wioski, a nad głową młodego leciała ptaszka i wołała: - kuku, kuku... znaczą... to ja, twoja Kukułka.

AW

## Dlaczego wąż nie ma powiek

Gdy już Archanioł Gabriel, ognistym mieczem, słusznie przepędził z raju pierwszych rodziców, Adama i Ewę, zawołał go Pan i spytał:

- Gabriel, czy już wygnałeś z raju te dwie krnąbrne dusze?

- Jak kazaleś, Panie.

- To dobrze, to dobrze. - Po chwili spytał: - Płakali?

- I to jak jeszcze!

- Oj, to niedobrze, to niedobrze. - Zafrasował się. - A gdzie gad? - spytał o węża, który Adama i Ewę oszukał, zwiódł i przyprowadził do zguby.

- Ukrył się przed twoim gniewem, Panie. Całe wojsko niebieskie go szuka. Przejrzeliśmy każdy kąteczek w piekle i nigdzie hada nie ma.

- Szukajcie, szukajcie... Znajdź, kochanieńki, i zaraz do mnie przyprowadź. Nie chcę, żeby się martwił - rzekł Pan w swojej dobroci.

Co się nie naszukali, gdzie nie byli, gdzie nie zagląдали... Kamień w wodę. Aż zasził w najgłębsze i najciemniejsze czeluści, tam gdzie Bóg stracił i uwięził zbuntowane anioły.

Pierwszy, jak zawsze, szedł święty Jerzy i prowadził za uzdę konia o maści tak białej, że się świat cały w niej odbijał jak w lustrze i każdy nań patrzący zdawał sobie sprawę ze swojego prywatnego i indywidualnego brudu.

Za Jerzym kroczył Archanioł Gabriel dzierżąc wysoko miecz ognisty i oświetlał nim drogę. Wszystko co miał truchlało w trwodze i im bardziej było grzeszne tym bardziej kamieniało.

Za Gabrielem dreptali wszyscy drobniejsi święci i aniołowie, którzy w mniejszym zasięgu, ale nie mniej skuteczną dysponowali bronią psychologiczną.

Lucyper siedział na kościanym tronie i w bezsilnej złości kąsał krępujące go łańcuchy. Pod tronem leżał zwinięty w kłębek wąż i tak dygotał ze strachu, że aż na ziemi zrobiła się wichura. Dookoła tronu pelzały maleńkie jak robaczki wężyki, tylko co wyklute dzieci gada.

Archanioł wyciągnął go kosturem i poniósł do Pana. Małe wężyki nie nadązały za ich długimi, pośpieszonymi krokami, więc zamieniły się w wilki i leciały przez świat tabunem. Z przodu Archanioł Gabriel z mieczem ognistym w rękę, za nimi święty Jerzy na koniu z wężem owiniętym wokół kostura, a na końcu stado wilków z okrutnym wyciem. Przypadli do stóp Pana Boga, stoją i dyszą.

- Patrz, coś narobił! - zawołał Pan Bóg ręką odgarniając chmury i pokazując w dół na ziemię. A tam jeden drugim orze, pieniądze kradnie, upity na środku ulicy leży. Całe wioski zaraza dusi. Umiera wszystko co żywe, wojny, podpalenia, zbezczeszczone groby, zmarłych wrzucają do dołów z wapnem.

Wszyscy, jak stali, tak zapłakali, aż na ziemi zrobiła się jesienna ślota i Pan Bóg kazał im przestać, bo jeszcze nie nadszedł czas potopu.

Tylko jeden wąż ciągle dygotał ze strachu, myśląc nie o swojej winie, cierpieniach ludzkich, a o spodziewanej karze. Stąd też pewnie nie miał za wiele czasu na skruchę, bo oczy jego były suche, bez śladu łez.

Pan Bóg ten brak łez szybko zauważył. Przyglądał się chwilę i spytał:

- Jak to się stało, żeś ty mi taki paskudny wyszedł, że ni jednej łzy nad ludzką niedolą nie uronisz? Popatrz, nawet twoje dzieci, co się w wilki przemieniły, płaczą. Jak tyś taki zatwardziały gad, to od tej pory nie będziesz miał powiek, żebyś całe życie oka zmrużyć za karę nie mógł. A dzieci twoje, co prawda po tobie obyczają paskudne mają, ale bez winy są. Za to posłuszne będą świętemu Jurkowi i on będzie ich doglądał.

- Panie! Ale te bestie zeżrą wszystko, co ma łapy i kopyta! - przeraził się Jerzy.

- Przeto ty będziesz patrzył, aby ze stada tylko tyle brali, by głód zalać. Ty będziesz wyznaczać, gdzie mają żyć i jaką zwierzynę łowić.

Bo gdyby Pan Bóg tego nie zrobił, to po dziś dzień na ziemi zostałyby tylko wilki i ludzie.

MC

## Skąd się wzięli wilki

Udali Herodowi, że sie w Betlejemie narodził król żydowski i będzie panem na cały świat. Herod chciał jego zniszczyć, ale nie wiedział, które to dzieciulko... no to łobuz kazał wszystkie niemowlaki wymordować. Posłał swoje katy, ale anioł ostrzegł Józefa i uciekli do Egiptu. I znowus udali, co i jak, i te katy dalej Święto Rodzine ścigać.

Patrzy Józef, że już doganiają, no to wszystkie schowali sie w krzaku pod osiko. Ale osika zaczęła ze strachu strasznie dygać i odkryła mordcom, gdzie sie Józef z Mario i Jezusem skryli.

Matka Boża miała ze sobo garszyczek gotowanej kaszy, rozbiła jego i z krupy zrobili sie zajęcy. Mordercy zajęcy zaczęli łapać i w ten sposób Święta Rodzina ujechała trochu. Ale niedaleko. Dognali ich pod wysoko góro... a tako wysoko, że pod jo nie poradzili wejść. A Herody już tuż, tuż... Na górze pastuszki paśli owce i cała Święta Rodzina skryła sie między imi.

Najeżdżają katy i pytają pastuszków, gdzie sie te uciekiniery skryli? Dla najmniejszego szable położyli na gardle i krzyczą: - Mów, bo zabijem. - I jego ojciec pokazał na owce. Katy weszli między owieczki żeb szukać... ale owcy pozamieniali sie w wilki i wzięli ich gryźć. Ot i stąd sie wilki wzięli.

MH

## Za co wilk nienawidzi psa

Tak jak pies nienawidzi kota, tak psa nie znosi wilk. Przydybał wilk psa na skraju lasu i już, już ma go rozszarpać i zjeść, kiedy pies zawołał...

- Czekaj, wilku... Co ja? Stary, łykowaty, skóra tylko na mnie i kości. Tak się człowiek za moją wierną służbę wypłacił. Więc ja tobie pokażę, jak jedzą ludzie i zaprowadzę, gdzie się najesz do syta. Dziś jest wesele córki. Cały akt weselny pojechał do kościoła, a my się zakradniemy i pojemy tego, co tam na stołach jest.

Polecili do chaty. Drzwi stoją otworem. Weszli i już mieli się rzucić na te mięsiwa, na te kielbasy, kiedy na podwórek zajechał akt weselny. Zsiedli z fur i ruszyli do chaty. Wilk z psem ukryli się pod stołami.

I nie mieli źle, bo coraz pod stół rzucano kości z kawałkami niedojdzonych mięs. Pojadł sobie pies, pojadł sobie wilk. Leżą i czkają od obżarstwa. Ludzie też pojedli, popili i za śpiewanie się wzięli. Rzewnie się w wilczej duszy zrobiło. Jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy.

- Nie wytrzymam i zaśpiewam.

- Siedź cicho - pies do wilka - bo nas wypędzą, a tobie i futro przetrzepią.

Ale tak się wilka serce śpiewaniem uradowało, że nie wytrzymał i na cały głos najpiękniej jak umiał zawył.

- Auuuuuuuu! Auuuuuuuu!

Zerwał się cały akt weselny. Kobiety powłaziły na stół, a mężczyźni złapali co tam kto miał pod ręką i dalej łostożyć wilka. Dostało się i psu, ledwie z duchem uciekli na podwórko. Tu pies zaczął szarpać wilka, aby pokazać ludziom, że spółki między nimi nie było.

Wilk siadł na skraju lasu, podniósł łeb do księżycy i wył - auuuuuuuuu! Ale tylko pies zrozumiał, o czym śpiewał wilk.

- Ty wredny psie, nigdy ci nie daruję, że za żarcie podlizujesz się człowiekowi.

Potem położył się i czując niespotykaną sytość w brzuchu pomyślał...

- A może za takie żarcie warto czasem wziąć na boki?

AW

### Wilk i głupia owca

Kiedyś owczarze znali rozmaite sposoby. Każdy miał laskę wysoką na chłopca. Służyła ona do podpierania się jako trzecia noga, gdy własne szwankować zaczynały, pomocna była przy zaganianiu owiec i do obrony przed cudzymi psami, których całe zgłodniałe watahy wałęsały się wokół wiosek. Laska pasterska służyła też do czarów. „Znający sposoby” owczarz wbijał na łące laskę w murawę i szedł spać albo zajmował się swoimi sprawami. Owce w tym czasie chodziły wokół laski jak na łańcuchu, żadna nie odbiegła, tym bardziej że pies każdą niesforną zaraz zaganiał na powrót do stada.

Wilk czekał odpowiedniej chwili, aż pies i pasterz położą się na trawie i usną. Wtedy, po przeciwnej stronie, porywał owcę i uciekał. Ale nieść daleko nie dał rady. Wtedy porzucił ofiarę i uciekał. Owca myślała, że to jej się

wystraszył wilk, rzuca się za nim w pogoń i tak wytrwale ściga, aż odbiegną na odpowiednią odległość, gdzie wilk spokojnie może ją zadusić i zjeść.

AW

### Głodny wilk... bo głupi

Na początku Pan Bóg stworzył świat, a potem na nim zwierzęta małe i duże, te co biegają, latają, te co pełzają i te co pływają. A kiedy już na ziemi były zwierzęta, zrobiła się sprawa. Przychodzą do Pana Boga zwierzęta i labiedzą, że głód im doskwiera.

Na to Pan mówi do byka: - Ty będziesz jadł trawę. - Ale przyleciał giez... - ty będziesz jadł byka.

Ukaślił giez byka. Byk zadarł ogon i poleciał z rykiem. Kot dostał myszy i szczury, bocian żaby, a wilkowi przyszło jeść bociany. Co wilk do bociana podejdzie, to bocian fajt, fajt, skrzydłami zamacha i odleci kawałek na bezpieczną odległość. Zmęczył się wilk tym lataniem za bocianem, położył w trawie, pysk między łapy wbczkował i płacze. Zobaczył Pan Bóg lejącego łzy wilka i pyta się:

- Co ci to się przygodziło, że tak gorzko płaczesz?

- Głodny jestem, Panie. Już kilka dni uganiam się za bocianem, ale kiepska nadzieja, że złapię i sobie pojem. Już i sił nie mam, chyba tutaj zdechnę.

- Widzisz tego konia, co sobie trawę skubie na górcze? Idź i jego zjedz.

Przychodzi wilk do konia i mówi:

- Słuchaj, z woli Pana Boga mam cię zjeść.

- Jak taka wola Pana to mus przepadać... musisz mnie zjeść. Widzisz mój zad?

- Oho... widzę.

- Widzisz, ile tam mięsa? No to bierz i jedz.

Wilk podszedł konia od zadka i przymierzył kły wbić... Ale zamiast mięsa dostał twardym, końskim kopytem w łeb. Pokociło się biedne wilczyśko z górci aż do nóg Pana.

- Widzę wilku, że zbyt duże do zjedzenia dałem ci zwierzę. Wybierzmy mniejsze... O! Popatrz, tam pod lasem pasie się baran. Mniejszy od konia, ale jaki okrągły... pewnie bardzo tłusty... idź i zjedz.

Stanął wilk przed baranem. Przyjrzał mu się... Wygląda dobrze.

- Mój baranie, z woli Pana Boga mam cię zjeść.

- Jak taka jest wola, to nie ma rady... weź mnie zjedz. Ale wiesz co? Jestem dość duży, więc pomogę ci. Otwórz szeroko gębę, a ja ci do niej wskoczę.

Stanął wilk, gębę rozwarł jak mógł najszerzej, baran się cofnął, rozpedził... i jak nie wytnie rogami w rozdziawioną paszczkę wilka... Ten wywinął kilkanaście koziołków i znowu rozciągnął się pod nogami Pana Boga.

Nie bardzo wie, czy ma powód do skargi, bo zdaje mu się, że ma barana w brzuchu.

Popatrzył Pan na głuptaka wilka, zafrasował się...

- Ptaszki nie tobie łapać, nie dasz rady temu co ma kopyta ani temu co ma rogi... Wiesz co, idź ty do tamtej wioski, weź z chlewa wieprzka i zjedz.

Powlókł się wilk do wioski i obchodzi ją wkoło zagumienną drogą. Tu ucha nadstawi, tam powietrzy nosem... aż słyszy za ścianą jakieś postękiwanie, sapanie... Podkopał się pod ścianę i wlaź do środka i widzi leżącego na słomie tłustego wieprzka.

- Słuchaj ty - mówi do prosiaka - z polecenia Pana Boga mam cię zjeść.

- Cóż mnie robić? Woli Bożej się nie przeciwię - sapnął z rezygnacją prosiak. - Daj mnie tylko parę słów do mego Pana powiedzieć.

- A gadaj sobie ile chcesz - odparł wilk oblizując się smakowicie.

Prosiak zaczął kwiczeć wniebogłose i obudził gospodynię.

- Ej, stary - trąca baba męża łokciem w bok - wstawaj i idź zobacz, czego prosiak tak wrzeszczy.

Chłop wstał, wziął z sieni motyczkę i poszedł do chlewa, a tam widzi wilka siedzącego nad jego prosiakiem. Sprzął wilka solidnie, ledwie ten z życiem wymknął się z chlewka i wioski. Powlókł się do lasu, położył pod brzoźką i liże obite boki.

Na kamieniu siedziały dwa aniołki.

- Biedny ten wilk bo głodny - powiedział prawy.

- lili tam... głodny bo głupi - wyjaśnił lewy.

MC

### Jak lis wilkowi uszył buty

Oprawdzał lis wilka po swojej chacie. Wilk nie mógł się nadziwić, że tyle się trzeba napracować, zamiast polatać na świeżym powietrzu.

- Tyle się ziemi nakopiesz, nanosisz... i po co? Po to żeby przyszli myśliwi, rozpalili ogień w norze, wykurzyli i zabili?

- No to zobacz, ile ja mam wyjść z chaty. Zawsze znajdzie się takie, którego prześladowcy nie znajdują i ja spokojnie czmychnę do lasu.

- Ale w jakim smrodzie musisz siedzieć.

- Prawda. Ale za to zimą nie marznę w łapy jak ty... latając po mrozie i śpiąc byle gdzie. Chociaż mając taki ogon mógłbym się nim przykryć jak pierzyną.

Popatrzył wilk na swój mocno w walkach poszczerbiony, wyleniały ogon, który mu więcej zawadzał niż pożytku przynosił.

- Oj tak - potwierdził - wiele bym dał, żeby się na to znalazł jaki sposób.

- Pchiii... nic prostszego. Nie przyszło ci do głowy, żeby tak jak ludzie... obuć się.

- Dobrze mówisz, ale skąd wziąć buty?

- Ja ci uszyję.

- Ty? To po co kopiesz norę, jak możesz sobie uszyć buty?

- Bo żadne buty, choćby najlepsze, nory nie zastąpią.

- To co trzeba mieć żeby zrobić buty?

- Najpierw musisz zdobyć skórę. Najlepsza jest z woła.

- Woła zadusić to nie sztuka. Skrzyknę ferajnę i po sprawie, ale nikt z nas nie zdejmował skóry.

- Nic się nie martw. Przywleczcie woła tutaj, a ja się już łupieniem skóry fachowo zajmę.

Nie było wilka kilka dni, aż jednego ranka lis wychodzi przed chatę, a tam leży wół, a przy nim siedzi wilk.

- No to do roboty, lisie.

- Oj wilku, potrwa to trochę, bo zdjąć to nie sztuka, ale wyprawić, wygarbować...

Przez długie tygodnie lis z liczną rodziną a i sąsiadami z innych nor posilali się wilczą wołowiną. Aż nadeszła zima i wilk marząc w łapy przypomniał sobie lisa, który miał mu uszyć buty. Przychodzi do lisa... a ten siedzi przed norą tłusty, spasiony wilczym mięsem, sierść na nim błyszczy...

- To jak moje buty?

- Oj wilku... ty myślisz, że to tak trzask prask i gotowe. Skóra jest zdjęta, wygarbowana i dojrzewa w moim warsztacie w głębi nory. Aha... przy okazji zabieraj te gnaty sprzed chaty bo to nie śmietnik.

Pozbierał wilk kości, powynosił i pyta, kiedy będą buty gotowe.

- Słuchaj, wilku. Wszystko jest jak być powinno. Zaraz skóra dojdzie... ale potrzebna jest do szycia szczecina.

- Jaka szczecina?

- Sierść z dzika... im większy odyniec tym szczecina lepsza.

Na rano lis patrzy, leży przed norą wielki jak góra odyniec. Znowu cała rodzina zasiadła do obiadu. Ale dzik to nie wół, nie na długo starczyło zapasów. Przy następnej wizycie wilka tłumaczy mu lis:

- Słuchaj, wilku, skórę pokroiliśmy pod twój wymiar. Szczecinę mamy, ale potrzebne są jeszcze baranie jelita, żeby mieć czym oddzielne kawałki pozszywać. Musisz przynieść barana.

Już się zima miała ku końcowi, a upragnionych butów wilka nie widać. Siedzi przed norą i woła:

- Ej lisie, wyłaż... co tam z moimi butami?

Wyłaził lis, trochę niepewnym głosem mówi:

- Buty twoje wilku już gotowe. Ale popatrz, śnieg się topi, plucha na świecie. W norze sucho, ale latać po lesie w taką pogodę to mrowane przeziębienie. Lepiej siedzieć w norze.

- Jak kto ma norę... dawaj buty!

- Dam ci buty, ty je włożysz, one rozmiękną w mokrym śniegu i będziesz do mnie miał pretensję, że zepsułem całą robotę?

- No to co robić?

- Trzeba je natłuścić...

- To co przynieść?

- U ludzi w komorze wisi z wieprza słonina, a w świronku w garczkach stoi smalec. Przynieś i natłuścimy buty.

Włamał się wilk do świronka, ale przydybał go na tym gospodarz i nieźle boki wyłostorzył. Jak się wykurował, wlaź do komory po słoninę, ale i tu miał pecha. I tyle oberwał, że ledwie uszedł z życiem.

Któregoś dnia spotyka w lesie lisa i opowiada mu o tym.

- No widzisz, coś narobił? Pracowałem całą zimę i po co?

- To co mi robić?

- Tu u gajowego w drewnitni jest kociołek smoły. Przynieś, będzie za słoninę i smalec.

Tym razem wilk miał szczęście i przyniósł smołę. Lis rozpałił ogień, pogrzał... ale nie za bardzo.

- No wilku, zamknij oczy i wsadź łapy tutaj.

Podsunał lis kociołek, do którego wilk wsadził łapy.

- Teraz wsadź tu łapy tylnie.

Wilk wsadził tylnie łapy.

- Teraz wejdź tu - podsunął wilkowi rozprutą poduszkę. - O jakie buty udało mi się uszyć! Nikt w całym lesie takich nie ma i nie widział. A jakie kształtne, a jakie piękne! A jakie ciepłe.

Wilk czuł ciepło idące od podgrzanej smoły i myślał o nadchodzącej zimie, która nie będzie mu tak dokuczala jak miniona. I nie dokuczala... jako że jej nie dożył.

WP

### Cztery łapy wilka

Stary wilk włókł się gościńcem od Kopnej Góry do Klina. Dawno zjadł resztki, które zostały po uczcie watahy, a na które natknął się koło Dworzyska. Burczało mu w brzuchu tak głośno, że nie spostrzegł się nawet, kiedy zrównały się z nim sanie z siedzącą na nich starowinką. Nie miał sił uciekać w las, więc odzywa się do kobiety.

- O, babciu... przyszło nam iść obok siebie. Ale ty siedzisz na saniach i choć one stare jak ty i twój koń, ale jedziesz. A ja ledwie łapami przebiegam, muszę iść piechotą. Daj mi choć jedną na saniach położyć.

- A kładź sobie kochanieńki - powiedziała babulka - widzę, że ledwie nimi powłóczysz.

Położył wilk jedną łapę na sanie i przebiega trzema. Ale to jeszcze gorzej iść niż na czterech.

- Babciu - odzywa się za chwilę - popatrz, jak się na trzech męczy. Daj mi położyć na saniach drugą łapę.

- A kładź sobie. Prawda, że na trzech ciężko ci kuśtykać.

Jadą czas jakiś, a wilk dwoma łapami przebiegać musi szybko, szybciej niż biegł na czterech.

- Babciu, jej bohu nie mogę. Jak wy ludzie na dwóch łapach możecie chodzić? To przecież takie męczące. Prawda, że wasze tylnie łapy są dłuższe od moich, ale zawsze to bardzo męczy. Pozwól mi trzecią łapę położyć na saniach, może będzie lepiej.

Obejrzała się babcia na wilka i widzi, że on naprawdę musi bardzo szybko przebiegać, żeby za koniem nadążyć.

- Kładź - mówi - trzecią łapę.

Wilk już prawie cały wlaź na sanie, ale jeszcze ta jedna łapa podskakuje i dźwiga cały ciężar wilczego zadka.

- Babciu! Zlituj się! - woła wilk.

- Dobrze, dobrze - przerywa mu babcia - wlaź cały na sanie.

Dojeżdżają do Klina, a naprzeciw w kilka sań jadą myśliwi na polowanie.

- Oooo! - zawołał jeden widząc basiora leżącego w saniach babki. - My na polowanie, a wy babku już po?

Tylko myśliwi znikli za zakrętem, wilk zeskoczył z fury i mówi:

- Uratowało was babku wasze dobre serce, bo miałem plan was zjeść, ale żeście mnie nie oddali myśliwym, daruję wam życie. Zresztą... ile tam na waszych kościach jedzenia?

JK



Krzemieńskie – wieś, której już nie ma

## UCIECZKA DO EGIPTU

### Od czego osika w lesie dyga

Jak święty Józef i Matka Boska uciekała z Dzieciątkiem do Egiptu... bo Herod na Jezusa się zawziął, a że nie wiedział który to Chrystus... to wszystkie dzieciulki kazał wyrzucić. I uciekała Materka Boża... już sił im nie stało... Herod ich naganiał... Schowali się pod osikę. Herod był już tuż, tuż, osika ze strachu zaczęła drygać. W ten czas rozpętała się straszna burza, ulewa, gromy z nieba walili. Błyskało... A tu piorun jak walnie, to Matka Boża dygu, dygu, dyg... i osika za ją też dygu, dygu dyg. Tak jakby się bała, że Herod zabije Chrystusa. I na pamiątkę tego, do dziś dnia nie ma w lesie wiatru nic a nic, a listki jej dygają, bo to tak Matka Boża o Chrystusa dygała.

AP

### To było, jak ja żyto siał

Jak Maryja, Józef uciekali do Egiptu, żeby przed Herodem od śmierci niechybnej Dzieciątko ratować, przechodzili koło człowieka, jak ten żyto siał. Materka Boża wzięła od jego siewienki i zaczęła siać. A co posieje - to odraz wschodzi i wszystko pole zielone się staje. Posiała i odjechali. Tylko znikli za górko, a żyto już stoi dojrzałe, do żniwa gotowe. Człowiek zaczął żąć, a tu jado mordercy Heroda i pytają człowieka, czy nie widział przejeżdżającej kobiety z mężczyzną i dziećmi siedzącym na osiołku.

- Widział. Jechali mimo.

- A dawno?

- Kiedy ja te żyto siał - pokazał człowiek na dojrzały zagon.

- Ooooo... - pomyśleli sobie mordercy - jak on to siał, to będzie sporo czasu, na pewno ich nie dogonim.

I mordercy zawrócili z drogi, a Materka Boża z Jezusem i Józefem szczęśliwie uciekli do Egiptu.

AP



Woronicze

## O MĘCĘ PAŃSKIEJ

### Skąd we łbie szczupaka Męka Pańska?

Kiedy Święty Jan Chrzciciel chrzczył Chrystusa w Jordanie, z całej rzeki przyplłynęły ryby, żeby się przyglądać. Przepychały się jedna przed drugą, żeby być jak najbliżej, żeby lepiej widzieć. Aż w końcu zrobiło się tak ciasno, że Pan Jezus nadepnął jednej na głowę i ta martwa wypłynęła na powierzchnię. Wtedy Pan Jezus wziął ją do ręki, chuchnął na nią i powiedział: - W twojej głowie będzie moja tajemnica.

Ryba odżyła, machnęła ogonem, wpadła do wody i szczęśliwa odpłynęła.

Tak powstał szczupak z płaską głową i z tajemnicą w niej ukrytą. Dlatego na stole wigilijnym musi być szczupak z głową. Kiedy ta głowa rozbić ość po ości... z nich układa się tajemnicę szczupaka. To jest cała Męka Pańska, ości całkiem podchodzące na narzędzia Męki Pańskiej. Jest tam krzyż, włócznia, drabina, młotek, gwoździe i obcęgi.

MC

### Jak osika się nie dała

Idziesz po lesie... wiatru nie ma ni nic. Cicho... tylko ptaszki słyszą. Spójrzysz na osikę, a na jej liście drygają. Ani wiatru, ani kto tam co robi, a drzewo stoi i trzęsie się. A to od tych por jak krzyża dla Pana Jezusa robili. Szukali drzewa i stali pod osiką i patrzyli na nią.

- Prosta... na krzyż samo raz nada się - powiedzieli.

A ta jak nie zaczęła się trząść ze strachu. No to rozmyślili się. Temu po dziś dzień, choć wiatru nie ma, a kto na nią spojrzy, to ona zawsze się trzęsie, zawsze przestraszona.

JK

### Dlaczego Cyganka nie ma grzechu

Jak katy naszego Pana Jezusa Chrystusa na mękę prowadzili, żeby na Golgocie ukrzyżować, nieśli ze sobą narzędzia męki Pańskiej. I była tam drabina i młotek, i obcęgi... no wszystko co potrzeba. Na koniec jeden siedział w ręku trzymał cztery gwoździe po jednym do każdej ręki i nogi.

Za nimi szli wszyscy stolarze i tkacze, i kowale... no powiedzieć... wszystkie zawody... jak to w mieście jest. I szli też wszystkie nacje, a między nimi Cyganka znalazła się.

No... weszli na Golgotę i przymierzają się Chrystusa krzyżować. Położyli na ziemi wszystkie narzędzia, żeby pod ręką byli...

Patrzy się Cyganka na te goździki i myśli: - Mnie by się nadali. Oddała by staremu... trochę podklepie i będę samo raz jak „orelskie goździki” i oreli kupio.

Jak pomyślała tak i zrobiła. Ukradła jednego goździka. Samo jeden z tych katów po goździku przyszedł. Liczy, liczy... jednego dla jego braknie. - Musi czwartego w chacie zostawić. Nic tam i trzy starczo.

I tak było. Pana Jezusa trzema goździkami ukrzyżowali. Po jednym goździku do rąk, a dwie nogi jednym goździkiem do drzewa przyszpili.

I od tych por... jak Cyganka co zwęździ, to dla jej grzechu nie masz.

**MH**

orelski gwóźdź - gwóźdź używane do zbijania tratw na szałw

### Cygański goździk

Gdy po drodze krzyżowej na Golgotcie żołnierze obdarli z ubrania Chrystusa i położyli na krzyżu, dla porządku wszystkie narzędzia potrzebne do ukrzyżowania ułożyli obok, żeby byli pod ręką. I jak Chrystusa do krzyża zaczęli przybijać, jeden wziął goździki do gęby, ale kaszlać dla jego się zachciało. Kaszlnął i goździk poleciał prosto pod nogi Cyganki. Cyganka nakryła go kiecką, kucnęła, podniosła i szybko schowała w fałdach spódnicy. Od tej pory jak Cyganka coś ukradnie, to nie grzeszy. A żołnierze się nie spodziewali, że jednego brakuje i dlatego stopy Chrystusa przebili tylko jednym goździkiem.

**JK**



**Kapela z Talkowszczyzny**

## KIEDY ŚWIĘCI PO ZIEMI CHODZILI

### Bogacza w smole czerci bołboczko

Szedł Pan Jezus ze świętym Piotrem przez suche pola i patrzą, a na nich krówka się jedna pasie... ale nędzna taka aż strach. A bliżej rzeki, na zielonych łąkach, pasie się całe stado dorodnych, tłustych jałówek. I wyszedł wilk na drogę... a taki chudy, że skóra na nim wisi jak palto na gwoździu. Podszedł do Chrystusa, ogon podkulił i skomla.

- Czego wilczku chcesz? Czego skomlisz. Powiedz człowieczym głosem.

- Głodny - zaskomlał wilk i nic więcej po ludzku powiedzieć nie poradził.

- Widzisz? Tam na górcie pasie się jedna krówka... idź i ją zjedz.

- Chrystu... To jedna chuda krowa co ją biedna wdowa hodowała... A tam nad Woroniczanką takie tłuste się pasają... a ty mówisz, idź krowę wdowy zjedz? Jak to tak?

Pan Jezus nic nie powiedział, tylko patykami na piasku narysował dwa koła.

- Zajrzyjcie tam... to wdowy.

Zajrzeli, a tam wdowa wszelkiego dobra w niebie zażywa, że aj jaj, jaj...

- A teraz zajrzyjcie tu.

Zajrzeli... a tam czerci bogacza w smole bołboczko... O, jak!

**MB**

### Jak baba świętego Piotra nawaliła

Święty Piotr z Chrystusem szli Tatarskim Gościńcem od Krynek... A to było jeszcze jak nie mężczyźni, a baby światem rządziły... Nooo... zachodzi do jednego domu, a tam człowiek siedzi w kuchni za stołem. Proszę się jego przenocować...

- Ja bym przenocował was - mówi - ale u mnie bardzo kiepska kobieta. Zła, że nie daj Panie Boże. Takiej w drogę wejść to odraz lepiej się w mogiłę położyć. Jak wróci do chaty i was tu zastanie, to mnie i wam da bobu.

- To nic - mówi Chrystus - jakoś tam będzie... pogodzimy się. Niech pozwoli zanocować.

- Kładno się na pieczone... tylko niechaj nie mówio, że ja ich nie przestrzegał.

Baba pod północ przychodzi mocno wypita, widać, w karczmie dziś nieźle balowali... Weszła, rozglądnięta się po izbie. Zobaczyła sakwy i odraz pyta:

- Był tu kto? Czego chciał?

- Podróżne jakieś prosili się zanoćować
- Posłał ich *k czortu matieri wólczugi pohane?*
- Nie... śpio na piecy.

Baba najprzód zaniemówiła, ale zare wałka do łapy i z rykiem lezie na pieczkę. Pioter leżał z kraja, a Chrystus od ściany. Piotru, że był podręczny, dostało się niekiepsko. Natłukła, natłukła ile chciała i poleciała na podwórka.

- Chrystu - mówi Pioter - puści mnie od ściany, bo jak się wróci i znówysz bić zacznie... to nie wytrzymam. Okrutnie mocno bije.
- Kładź się Piotrze teraz ty od ściany, niechaj i mnie zbije.
- Zamienili się i samo raz baba wraca i krzyczy od drzwi.
- Nu jednemu dała, dam i drugiemu, się należy żeb po równi i sprawiedliwie było!

I wałkiem dalej prac tego od ściany.

- No... dała i dla tego od ściany. Aaaaa... niechaj już sobie leżo. - Powiedziała i siadła na ślabanek. - Ale rano żeb ja waszych cieni tu nie oglądała. Słyszno?...

- Słyszal! - zawołała do męża, palnęła go kułakiem w zębra i uwaliła się obok na leżance.

Leżo na piecy Pioter z Chrystusem i jęczo cichjutko...

- Chrystu - mówi stękający Pioter - ty wiedział co baba myśli... czemu mnie nie powiedział. Bez to ona mnie dwa razy nawaliła.

- A czy to się godzi, żeb baba Syna Bożego wałkiem łostożyła?

AF

### Skąd się grzyby wzięły?

Pan Jezus wędrował po świecie trzódke swojo doglądając. A kiedyś nie było tyle ludzi co dziś i nie żyli jeden drugiemu na głowie. Od wsi do wsi trzeba się było niekiepsko namaszerować. A żeby się nie dłużyło, wziął ze sobą dla towarzystwa Świętego Piotra. Trafiło się im iść przez puszcze... Sporo dni byli w drodze i nie napotkali żadnej chaty. Zgłodnieli. Pioter w torbie szperał, ale zamiast chleba tylko trochę okruszków znalazł. Wytrzasnął je na rękę, wsywał do ust i przeżuwał cichcem... tak żeby Chrystus nie widział. Naraz czuje, że paprochy w ustach pęcznieją. Wypluł, ale te znowu w ustach są i rosna. Tylko co wypluje, znów ich pełna gęba. Wypluł... i woła do Jezusa przestraszony.

- Panie... Kehe! Kehe! Za co mi to robisz!? Kehe! Kehe! - zaczął kaszleć, bo znowu pełno w ustach okruszków.

- Za co? - spytał Chrystus. - Za brak wiary. Toż widzę, jak za moimi plecami okruszki wyzerasz.

- To tylko paprochy, Panie... ani twego ani mego głodu nie zaspokoją... Panie, ja wiem, że widzisz wszystko. Ale on nie wie! - zawołał święty Pioter i pokazał palcem na zapadnięty brzuch.

- Weź okruszki co się w torbie zostały, narwij zajęczego szczawiu, dzikiego szczypioru i gotuj polewkę.

Zrobił święty Pioter jak jemu Chrystus kazał. A tu w garku okruszki zamieniły się w grzyby i wyszła dobra polewka. Pojedli sobie do syta, a żółte kurki, od tej pory, rosna w lesie jakby ktoś napluł.

AW

### Jak chleb zaczął rosnać

Niedługo po drodze trafiła się wioska Studzienka. Bieda w jej taka była, że psy z głodu szczeć nie chciały albo nie dały rady. Pioter poprosił Jezusa:

- Panie, wstąpmy do jakiej chaty i prosimy o wsparcie. Może tu dobre ludzie żyją?

Tak też zrobili. Weszli do chaty wdowy Sawki, której męża przygniotło w lesie drzewo i biedowała z siedmiorgiem dzieci. Gdy wchodzili do chaty, akurat kobieta zagniała na dnie w kopańce niewielką gamotkę ciasta. Chciała z ostatniej garści mąki upiec dla dzieciaków siedem podplomyków.

Święty Pioter zaraz zaczął kobiecie tłumaczyć, jak długo są w drodze i jak bardzo są głodni. Żal się ich Sawce zrobiło i spytała:

- Zjecie postne podplomyki na płycie pieczone, bo nie mam w chacie nic, nawet żadnego tłuszczu?

- Głodnemu kość w gardle nie stanie. Daj matka co masz - ucieszył się święty Pioter i rozgościli się z Chrystusem na ławie za stołem.

Nawet nie czekali długo, bo płyta już była rozpalona. Raz dwa wdowa ugniotła i upiekła po placku i podała rajzerom z kubkiem studziennej wody. Jedli w cichości i popijali wodą. Kuchnie napełniały przyjemnie trzaski płonącego drewna, a migocący ogień oświetlał czerwono wnętrze, a blask jego biegał po ścianach i sprzętach. Zrobiło się ciepło, przyjemnie i sennie. Ale przez morzący sen czuje święty Pioter, że ktoś na nich patrzy. Podniósł głowę i w cieniu na piecu zobaczył siedem par oczu wpatrzonych w ostatni placek, który wkładał do ust.

- Panie, Panie - trącił usypiającego Chrystusa i pokazał siedzące na piecu dzieciaki. - Panie... zjedliśmy posiłek dzieciom.

- Wiem. Kobieta zrobiła placki z ostatniej garści mąki.

- Wiedzieliście o tym i tak spokojnie jadliście?

- Wiedziałem.

Piotrowi placek utkwiał w gardle i ni jak nie mógł ruszyć... ani w przód, ani w tył. Zaczął się krztusić, posiniał... Chrystus palnął go kułakiem w plecy... kęs wyleciał aż do sieni, prosto do pustej dzieży stojącej pod ścianą.

- Idź, Piotrze, przynieś dzieżę do kuchni - polecił Chrystus, a do kobiety zwrócił się:

- Nakryj dzieżę ręcznikiem i postaw w ciepłym.



Sawka dzieżę nakryła i postawiła pod pieczko... ale zaraz coś tam pod rącznikiem zaczęło się ruszać... coś rośło w oczach. Kiedy podniosła rącznik, zobaczyła, że dzieżka jest pełna pulchnego, bąblującego ciasta.

- Jak ciasto zacznie uciekać z dzieży, porób bochenki. Wygarnij węgle z pieca, wstaw tam chleb i piecz. Z małej szczypty ciasta zrób kulkę, wrzuć do kubka z wodą. Potem to wstaw obok chleba. Jak kulka wypłynie, będzie to znak, że chleb jest upieczony... możesz wyjmować i jeść.

Kobieta formowała bochenki i na liściach chrzanzu wkładała do pieca. Chrystus Piotrowi palcem pokazał drzwi i cichutko, na dybkach, wynieśli się na podwórko. Jeszcze wrócił do chaty i patrząc na dzieciaki, co stół obsiadły, powiedział do kobiety:

- Tym szpakom chleba prosto z pieca nie dawaj, pokąd nie ostygnie, bo im kiszki pokręci.

Od tamtego czasu ciasto zaczęło rosnąć i zrobił się chleb, który nigdy nikomu nie brzydnie. Bo kielbasą z chlebem się przejesz, ale chlebem bez kielbasy nigdy. A dzieciaki jak na początku świata tak i teraz są niecierpliwe. **MC**

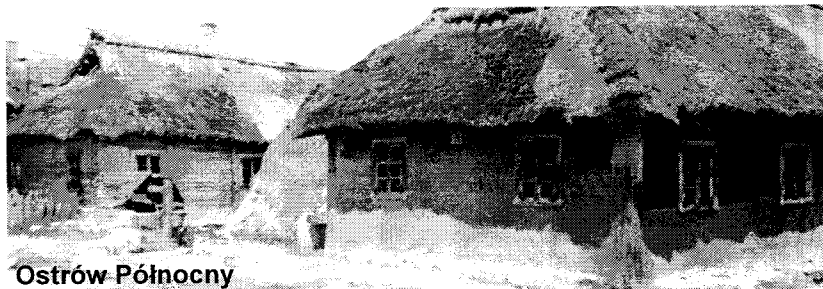
### Jak zwierzęta ludzkim głosem mówio

Zwierzęta ludzkim głosem mówio tylko w noc wigilijno. A był w Cieli-czance taki jeden niedowiarek, że raz zachciało się dla jego podsłuchać i sprawdzić, czy to prawda.

Po kolacji cicho weszed do chlewa, ukrył się w żłobie i czekał. Czekał, czekał, aż usnął. Gdy nadeszła północ ocknął się i słyszy, że to prawda z tym gadaniem ludzkim głosem. Taki się rejwach zrobił jak w żydowskiej szkole. Wszystkie zwierzęta mówiły naraz... bali się musi, że nie zdązo powiedzieć ludziom, co o ich myśló. Najgłośniej, grubym głosem mówił wół... a powiedział tak:

*Leż, leż leż w żłobie sobie,  
do Trzech Króli... i po tobie.*

Chłop wystraszył się nie na żarty. A tak się przejoł, że jak przeszedł Trzech Króli, zaraz wzioł i umarł. **MH**



Ostrów Północny

## O MATEŃCE BOŻEJ

### Jak Matka Boża swoje Dzieciulko karmiła

Jak Święta Rodzina uciekała do Jęgiptu to u ich z jedzeniem kiepsko było. Dzieciulko rośło, bo tak się należy i jak w żywocie dla jego nytko było, to krzyczało wniebogłoso. Aż janieli chmury przecierali i patrzeli, czy aby kto Dzieciulku krzywdy nie robi.

Ido przez las, przez łąki, pola, pustynie i żywio się tylko tym, co po drodze znajdo. Było tak już pod południe, siadła Materka zmęczona na pieńku, rozkałupała swoje tobołki... ale nic tam w szmatkach i węzłkach nie znalazła, czym by się dzieciulku trąbke zatkać dało.

Aż tu patrzy, a w ożynniku, pomiędzy listkami, kilka jagódek jeżyn wi-dać. Takie liliowo się świecące... Takie dojrzałe... i musi słodziutkie? Wzioł Józef Jezusa na ręce, a Maryia wzięła kobiałkę, okręciła się płaszczem i w gęszczar jeżyn zapuściła. Dzieciulko ścichło, główkę przekrzywiło i pa-trzy, co też do jedzenia materka z tych krzaków przyniesie. No i prawda, jeżyny dojrzałe, słodzięńkie... malec łapkami do buzi upycha. Umorusał się jak nieboskie stworzenie. Aż Józef patrzy, a na trawie, dookoła pieńka na którym siedzieli, pełno jak rosy czerwonych kropelek krwi. Samo zza chmu-ry wyglądnęło słonko i zaczęło, jak to ma w zwyczaju, rosę spijać. Ale czu-je, że to nie rosa, przyglądnęło się bardziej i widzi, że to Święta Materka tak sobie nóżki pokoliła w ożywnikach. W te pędy do Pana Boga poleciało i mówi: - Panie Boże, Materka świętego Dzieciulka nóżki sobie w ożywniku pokoliła i mocno krwawi. A ja myśląc, że to rosa, zlizywałem je z trawy. Niechaj te kropelki Ojciec Święty ostodzi i w jagody przemieni.

Skinał głową Pan - niechaj tak będzie - i od tych por na leśnych sło-necznych polanach rosna czerwone poziomki i połyskują w słonku jak kro-pelki rosy. **JA**

### Od czego kamieni rosno

Dawnymi czasy, kiedy człowieka Pan Bóg za niepostuszeństwo wy-gnał z rajó i nakazał mu na wszystko ciężko pracować na ziemi. A co jest pracą najcięższą z ciężkich? Praca na roli. Zrobił Adam sobie soche i orał. Diabeł rad człowiekowi dokuczyć, przekłół jego ziemie:

- A żeb ty dla jego tylko kamieni rodzila.

A ziemię matke przeklął to ciężki grzech... To rzecz tak straszna, że na te słowa wiatr ustał, woda w rzece przestała płynć, a wszelka żywiołka skryła się przerażona w krzakach. W niebie anieli zdębieli. Nawet sam Pan Bóg zaniemówił i po dłuższej chwili dopiero rzekł:

- Jak ty ziemię, co was wszystkich zrodziła, tak ciężko obraził, to po-  
kąd jej życia, jej oglądać nie będziesz!

Tu nakazał, żeb Archanioł Gabriel rzucił na ziemię łańcuch. Wtedy po  
raz pierwszy zagrzała. W Lucypera uderzył piorun i łańcuchy jego opletli,  
ziemia rozpuła i czort sie pod nio zapadł.

- Tam... za to, że przeklął matkę ziemię, będziesz pokutować do końca  
świata.

Ale niestety... od tamtych por ziemia i kamienie rodzi, a między nimi to  
żyto, to pszenica, to len, to gryka przebijając się musiały, kiepskie plony wy-  
dając.

Dużo ich, tych kamieni, i teraz, jak na przeorane pole spojrzeć. Na-  
samprzód z małego ziarka piasku robił się sposobny do rzucania. Potem  
większy, taki co z pola na drogę zwalają. A jak kto źle ziemi dogląda, to taki  
jemu urosnie, że i paro koni go nie wykalupie. Z takiego małego ziarka pia-  
sku urasta kamień, że i we dwa konie na saniach z pola bieda go zwlec.

SB

### Jak Święta Panienka kamienie zaklęła...

Święta Panienka lubi czasem z nieba zejść, po ziemi pochodzić, popa-  
trzeć jak ludzie żyją, jak pracują. Przódzi znała tylko tych, co w Palestynie  
mieszkali i zapólników w zapolu. Ale o nas, o lesunach, żyjących z lasu, nie  
wiedziała nic. Jednego razu szła od Królowego Mostu na Nowosiółki, Nietu-  
pe i napotkała duże pole, a na im kamieni jakby kto owce pas. Patrzy się,  
jak chłop mozolnie kamień na płachcie wtoczył, konia z jo sprzągnął i razem  
włoko na miedze. A tam już całe ich kurhany leżą.

- Oj, Ojczyce Święty i ty synu mój w niebie, niechaj zobacz, jak oni się  
tu strasznie męczą.

Westchnęła, nie spojrzęła pod nogi i zbita sobie dużego palca ob ka-  
mien.

- Aj! - pisnęła Materka Boża cichjutko, siadła na kamieniu, co ich chłop  
nazwała. Schwyciła się za palca i dalej ajjkać - Aj, aj. Aj, aj, aj - i teżki  
z oczków jej się puścili.

- Ależ wy wredne! - powiedziała do kamieni. I jeszcze coś w złości  
powiedzieć chciała, ale zawstydziła się swego gniewu. Samo człowiek  
z pola nowy kamień wlecze, pot dla jego oczy zalewa... Ustał, rękawem  
obtarł czoło... Aż tu słyszy:

- Aj, aj, aj, aj, aj!

Obglądnał się, kobieta na kamieniu siedzi, za palca u nogi się trzyma  
i płacze. Podeszed do jej i pyta.

- Ot tobie raz bieda... palca sobie zbita. Da niechaj... może co pora-  
dzim?

Zza paznokcia pokazała się czerwona kropelka krwi i kapnęła na zie-  
mię. Człowiek z cienia pod krzakiem kaliny dostał buńkę z wodą, obmył

palca. Urwał listka babki, pogryz, pogryz, pogryz i położył na ranke. Ma-  
tuchnie Bożej odraz ulżyło. Rozradowała się, uśmiechnęła do jego i mówi:

- Za swoje dobre serce niechaj prosi o co chce... mój syn samemu to  
da.

Spojrzęł się człowiek na Marykę i pomyślał... - a co twój syn mnie mo-  
że dać jak własno matke w droge bosiakom wyprawil? - Pożałował jej  
w myśli i ot tak sobie powiedział:

- Niechaj zrobi, żeb ta ziemia tako szaro nie była i żeb dla mnie nie  
było smutno.

Pan Bóg popatrzył na ich z góry z miłością i nakazał, żeb kamieni nie  
rośli. A z każdej łezki, co z niebieskich oczków kapła, wyrosła modra kwiat-  
ka... niezapominajka. A z każdej kropelki krwi, która kapnęła na ziemię,  
zakwitła czerwona kwiatka... maczek, a która kapnęła na krzaczek, zamie-  
niła się w jagody kaliny.

Materka Boża patrząc na modre i bordowe kwiatki tak poweselała, że  
zapomniała o bólu. Nawet się nie spostrzegła, kiedy palec stał jak był.

Spojrzęł człowiek na kobieta... a tam nikogo nie ma. - Przydało mnie  
się to wszystko, czy jak? - pomyślał. Przetar oczy i się zdziwił: - A toż co?  
- W miejscu gdzie obmył kobiecie palca kwitły maki, bławatki, rumianki,  
a kalina cała stała w czerwonych jagodach. Jak tak stał z gębo rozwarto jak  
wrota i gapił się na kwiatki, usłyszał nadzwyczaj piękne śpiewanie. Na nie-  
bie coś tak cudnie świrgoli... nawet nie widać co.

Za pare dni przyszed i czort. Popatrzył, że u człowieka zrobiło się jak  
w niebie... prędko w zbożu nasiał ostu i kękoła.

A żeb skowronka przepędzić, wypuścił jastrzębia. Ale jastrzęb nigdy  
skowronka nie weźmie, bo wie, że u jego zamiast serduszka tuk-tuka kro-  
pelka krwi Materki Bożej.

AP

### Jak Matka Boża krasnym jajkiem Józefa i Chrystusa nakarmiła

W czas kiedy Święta Rodzina z Egiptu wracała do Palestyny, trafiło się  
jej i przez naszo podlasko ziemię jechać. Gdzie tylko zatrzymali się, Święty  
Józef z Jezusem najmowali się u ludzi do rozmaitej roboty, a Materka Boża  
w to pore szykowała im jedzenie.

Czasy były ciężkie i pieniądź, jak teraz coraz mniej wart się robił. I na-  
deszła godzina, że głód im w oczy spojrzęł.

Zaglądnała jednego razu Materka w sakwy podrózne, a tam pusto...  
ani kaszy, ani maki. Potrząchnęła buńkę na olej... nic, cicho. W woreczku  
z cybulą też tylko same obłupki. Łzy się jej puścili z oczu. Nałożyła łupin do  
garszczka i gotuje, a wszystko myśli, jako z tego zupe zrobić?

Matka Boża spojrzęła w okno, a tam po boisku toczy się kuracze jajko.  
Ucieszona wyszła na podwórek i łapsnęła je do garści... Samo raz przecho-  
dziła kobieta, co u jej kwaterowali. Przykro się zrobiło Materce, że to jajo

wziąć zamierzała. Pokraśniała na policzkach ze wstydu, oddaje jej jajko i mówi:

- Musi wasza kureczka zgubiła. Niechaj weźmie.
  - Wy je naszli - kobieta na to - to ono i wasze.
- Ucieszyła się Maryja, kiwnęła głową na podziękowanie.
- Jedzyska z tego nie będzie - pomyślała - ale choć moim chłopcom zalewajke okrasze.

Pułnęła je do garszczka z łupinami. Za parę chwil wyciąga nazad, żeb obłupić i pokrajać... patrzy się... jajo w czerwone plamy porobiło się.

- Oj!.. To chyba od mojego wstydu tak pokraśniało.

Samo z roboty wraca Święty Józef z Jezusem, oba ubite do obucha. Obiadu by pojedli, a tu widzo zafrasowano Święto Matule, a na talerku jed-no pięknie nad podziw ukraszone jajko.

- Niewiele chłopcy mam dziś dla was - mówi Święta Mateńka i podsu-wa im czerwone jajko.

- Głodu tym nie zbędo, ale choć oko ucieszo...
- Siądl Jezus obok Józefa na słabanku i patrzy na kraszone jajko.
- Piękne ci ono mamciu, aż żal zjeść - powiedział Jezus.

Zare się dla jednego i drugiego oczy zapluszczyli, gibnął się Jezus na słabane, a Józef kole jego i pousynali. A gdy się od snu przeckneli, nie czuli głodu.

O jak... na to pamiętkę, od tych por jajka się krasi w cebulniku.

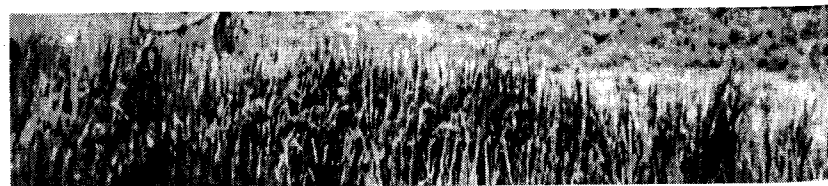
**MB**

### Jak Matka Boska pisanke krasila

Choć Jezus król, no dostatku w życiu nie zaznał. Od małości musiał ciężko z Józefem pracować. Żyli z Matko Bożo od pierwszego do pierwszego. Raz po robocie, wraca Jezus późnym wieczorem do domu... a głodny jak wilk. A tam nic do jedzenia... puste garszczki... tylko na talerzu leży jedno jajko. Ale za to jakie śliczne, w rozmaite kolorowe wzorki.

Matce Bożej z całych zapasów zostało się tylko jedno jajko, więc wzię-ła farby, wosku i pomalowała je tak cudnie, że patrząc na nie można było zapomnieć o głodzie. I Jezus siądl za stół i patrzył z podziwem na to jajko, obracał w palcach... aż usnął. Bo człowiek jak śpi... jeść nie prosi. Od tych por na święta wielkanocne pisze się pisanke woskiem i maluje kolorowo.

**AW**



## CZERCİ GRASUJO KOŁO NAS

### Jak się do ojca diabelskie pieniądze przyczepili

Jak kto kopie i znajdzie koście człowiecze, a przy ich srebrny pieniądz, to będzie mu szychowało w życiu i będzie miał to co zechce. Co zacznie robić, to wszystko się uda. Tylko nie wiadomo, czym będzie musiał zapła-cić, bo to szatańskie pieniądze, a czerci darem nic nie dają.

Jest i takie pieniądze co się wracajo. To też siła nieczysta. Taki pie-niądz robi się, kiedy czort daje jego wiedźmaru i ten powie: - Daje za dusze. To potem gdzie by tego pieniądza nie wydał, zawsze się wróci. Pozbyć się jego można tylko jak kto ukradnie, wtedy szatańskie rachunki złodziej dia-błu płaci.

Tu jeden w Talkowszczyźnie miał taki pieniądz. Idzie, co kupi, zapłaci, wróci do chaty, a tam już pieniądze so. A w Podsokołdzie Żyd karczme trzymał i on się spostrzeg, że ten ma diabelskiego pieniądza i nie chciał jego przyjmować. To tak się rozchorował, że mało nie umar. Przyjął diabel-skiego pieniądza i odraz ozdrowiał. Ale myśli, jak ich się pozbyć? Jak tylko chłop znowusz z pieniądzem przyszedł wziął jego, szybko zrobił gwoździem dziure i powiesił na drucie. No i narobiło się... zrobił się gwizd taki, że uszy zatykali. Pieniądz tak zaczął po drucie latać, że mało chaty nie rozwalił. Wprost szalenizna. Aż drut się rozłamał i z gwizdem na podwórek wylecieli. Ale już z dziuro nikt takiego pieniądza nie chciał przyjąć. I jakoś tam się jego pozbył. Był jeden rabin w Krynkach, on miał bardzo silne modlitwy i poradził dla jego.

Ale czasem człowiek może niechcąc taki pieniądz sobie na głowa wziąć. Mój ojciec robił w lesie z koniem i na fajrant pjechali do karczmy na Podsokołdzie, na chapluka. Dosiad się do ojca znajomek z Woronicza. Po-stawił kolejke i jak to przy wódce ojciec się pyta:

- Za co wypijem?
- Za dusze - powiedział znajomek.
- Niechaj będzie i za dusze mozem wypić.

Wypili i się rozeszli. Ojciec trochę pomarudził... zawsze był marudny po wódce. Podnios kieliszka żeb ostatnio kropelke wysuszyć, patrzy się, leży pod stopko srebrne 25 kopiejek. Zamówił wódkę, wypił i poszed do chaty. W chacie liczy drobniaki co się dla jego zostali. Między nimi leży srebrne 25 kopiejek.

- Ot, Żydowi nie zapłacił... jego strata, diabli jego nie wezmo.

Po fajrancie znowusz do karczmy zajechał, wypił, zapłacił. Wraca do chaty - pieniądz w kapocie nazad jest. Niechaj ciebie chaliera - diabelskie pieniądze przyczepili się. Wyrzucił na pole... wrócili się. Chciał siekiero po-rąbać.... trafić nie może. Ciap siekiero, a oni w bok. Ciap siekiero zno-

wusz... znowusz podskoczo. A ojciec żesz skłutem zapalke na pół rozcinał. Dla ojca czapke włosy na głowie podnieśli.

Raz jednemu mówi: - No przyczepili sie do mnie jak wesz kołnierza, ani ich zgubić, ani wyrzucić. Żeby to wienc było, a to 25 kopiejek. Tfu... ojciec splunął na podłoge.

- Daj mnie, już ja im poradze.
- Albo one u ciebie pobędo? Musisz ich wziąć na swojo dusze.
- Biore - powiedział sąsiad. - Biore na swojo dusze.

I ojciec wienc o nich nie słyszał. Tego z Woronicza zaraz na wojne wzieni i żnik razem z diabelskimi pieniędzami.

AF

*skłut - szeroka ciesielska siekiera kształtem przypominająca katowski topór. Cieśla używał dwu siekier, prawej i lewej.*

### Gdzie dzieci jest, tam diabła nie trzeba

Idzie, noga za ного, dziad z Wierchlesia, głowe spuścił... no takie półtora nieszczęścia i zutyka jego człowiek... A to był diabeł... zutyka jego i pyta sie:

- Gdzie ty dziadu był, że taki smutny?
- W Wierchlesiu na weselu.

- Po weselu zmęczony... to rozumie, ale żeb smutny?... - zdziwił sie diabeł. - Ide ja tam, popatrze, rozejrze sie... czuje, że niejednego uda sie mnie tam do złego namówić.

- W Wierchlesiu do złego namawiać nie trzeba - mówi dziad. - Tylko co siadł na pieczcy, żeb nie zawadzać... Ale tej dzieciarni tam tyle, że zare z pieczki zegnali. Nawet jak pod łóżko właz... skryć sie... to i tam znaleźli i nie dali pobyc.

- Oho, to mnie u ich nie potrzeba, poradzo beze mnie. Gdzie źle wychowane małe dzieci jest, tam diabła nie trzeba.

AW

### Wпиты leży jak z diabła skóra

Diabeł patrzył jak ludzie zgodnie żyjo i nie mog tego znieść. Myślał i myślał... co by tu zrobić żeb ich zeźlić i wymyślił samogonke. Poszed na błota i wygnał tej barbeluchy i postawił beczke pod chato, gdzie żył Hawryło, najwienc pazerny we wsi gospodarz.

Posmakował Hawryło... Eeee... jakaś hadka dla jego sie wydała. Ale zare zechciało sie znowusz poprobować... i znowusz... i znowusz... pode-szła dla jego. Im wienc smakował tym wienc była dobra.

Dał pokosztować szwagru, bratu, kumom. Poprobowali, krzywili sie... ale na jutro znowusz so, żeb dał jeszcze pokosztować. Dał i owszem, ale już za hroszy.

Na jutro znowusz i znowusz sie chce, a pieniędzy nie ma. No to jeden sprzedał świnię, drugi cielaka przynios i tak diabeł z Hawryło pierwszo

karczme rozpoczęli. A w karczmie wiadomo, rugajo sie i obmówio, po gębie dadzo, a i zabić trafiało sie. Diabeł napił sie jak stodoła, leży pod stołem, łapy zaciera i gada do siebie.

- A jakby tak Panu Bogu dać? O, by ponarabiał...

Jak pomyślał tak i zrobił. Zaniós cało buńke do Pana Boga i mówi:

- Niechaj pokosztuje mojego napitku. Okropnie dobry... wie, ile ja szczęścia ludziom daje? Wienc jak ty.

Pan Bóg poprobował i mówi:

*Pierwszy radosny, drugi żaloszny,  
Kto trzeci wypije tego niechaj nyje.*

I tak zrobił, że diabła męczyło i męczyło, pokąd z jego cała samogonka nie wyszła. Leżał jak łachmanek, jak stara skóra. Od tych por jest tak... jeden dwa kruczki bez szkody pulnąć można, ale kto wienc z samogonko poswawoli... na jutro leży jak z diabła skóra.

AW

*buńka - dzbanek z wąskim wlewem do przechowywania nafty*

### Wypitemu z diabłem sprawa

W Supraślu był niejeden co lubił popić i wieczorowo poro, dzień w dzień, wracał do chaty pijany. Ale nie każdy mieszkał na Podsupraślu, dlatego Malienda miał długo droge do chaty. Jednego razu, a to w lutym było, szed pod dobro dato i podśpiewywał sobie... Zeszed z Psiaczej Górki i stuka do drugiej karczmy, co zaraz za tartakiem Chazana i za mostem była. Ale jakoś nikt nie otwiera. Machnoł ręko - czort ciebie pabieri - i poszed dalej.

A tu ktoś do jego równa i rozmawiać zaczyna. Pogadali, pokumplowali sie i nowy znajomek namawia pijaka:

- Słucha kumie, tu moja chata. Siądniem sobie, tu pieczka, ława pod pieczko. Niechaj sie rozbuje, rozdziecie...

Siadł Malienda, rozbuł sie, hanuczy powiesił na krzaku, palto na drzewie.

- Weźmie zapali.

Dał dla jego paląco sie fajke. Zakurzyli. Dobrze pijakowi... zrobiło sie, błogo. Aż tu sąsiad idzie... widzi... Malienda rozbuty, rozdziany siedzi na kamieniu i końskiego gówniaka w gębe sadi. Podeszed do jego.

- Co też sąsiadowi do głowy przyszło rozdziać sie i rozbuć na mrozie, siaść na kamieniu i końsko bułkę wachać? Zamarźnie na śmierć.

- Co na kamieniu... na mrozie? Co zamarźnie. Toż na pieczce siedze i hanuczy susze. Dobry człowiek jeszcze fajke zapalić dał.

WZ

*hanuczy - onuce*

## Jak czarci z ludźmi tańcowali

Jak coś sprzedali... no to gdzie iść? Do Żyda, do karczmy borysz pić. Tam płacili mięsem, to zbożem, to jajkami. W karczmie wesoło... grajo, śpiewajo, tańczo. Później cosz?... ponapijajo sie jak nieboskie stworzenia. Niejeden, niejeden po mordzie da, bo to żesz ludzie romawite jest. Był w Supraślu taki Kunda... duży chłop i raptus. Przyjdzie do karczmy, rozpuści oborce od postolów i rzuci na środek gdzie ludzie chodzo i nie daj Boże, żeby który nadepnał, draka murowana.

Co to postolę i abarcy? Postolę to kapcie plecione z lipowego tyka, a oborce to wełniane sznurki, którymi je do tydek wiązali. Śmieli sie, że Białystok od Supraśla na pół pary pastolów leży. Znaczy, jak pół pary tyczanych kapci zedrzesz, to już będzie Białystok. O lesunach mówili, że bardzo sprytne jest, bo na drzewo wlaso bosu, a obute zejdo.

WZ

## Jak „Ślepek” chore oko stracił

W ciemno noc tylko w karczmie okna sie świeco i muzyka cisze przegania. A po chatach siedzo baby, granie słyszjo i klnu swoich chłopów na czym świat stoi. Że znowusz ponapijajo sie jak nieboskie stworzenia. Żeb to żydosko karczme nazad czerci do piekła zabrali. I z tych przekleństw czerci koło karczmy najwienc sie schodzo.

Opowiadał taki Onisko Benedyk, „Ślepek” na jego wołali. Raz w karczmie u Herszka napił sie godnie, uwalil pod stół i usnoł. Przytrzeźwiał, przeccknoł sie, oko odpłuszczył... bo u jego tylko jedno było zdrowe... i co widzi? Z ludźmi czerci tańcujo. Wylaz spod stoła, siadł na ławie i do jednej mówi:

- Hańdza... a wie sama z kim tylko co tańcowała?

- Z żołnierzem.

- Eeee, z żołnierzem... - powiedział jej na ucho - ty z diabłem tańczyła.

A wychilił sie zza Hańdzi żołnierz... i pyta jego.

- A po czym ty diabły poznał?

Bo czerci myśli naszej nie znajo, ale każde słowo wypowiedziane słyszjo.

- Oooo, i tobie kopyto z portek wystaje. A u tamtego ogon sie w nohawicach nie mieści.

- A czego na ciebie „Ślepek” wołajo?

- Bo jednym okiem widze.

- A którym?

Ale coś dla jego podszepeńło żeb pokazać na chore.

- Tym - pokazał.

Diabeł ... carabach i wyrwał dla jego chore oko.

Na jutro „Ślepek” chłopców podmówił i po cichu, cało podłoge posypali żółto ziemio. Na rano patrzy, a tam so ślady butów i końskich kopyt. Pełno

tych śladów było. A jedno nawet miało przybito podkowe. To ksiądz z Wasilkowa przyjeżdżał żeb wyświęcić.

MH

## Jak Kozłowski diabła podkuł

A z to podkowo było tak. Do narzeczonej kowala Kozłowskiego w karczmie na Psiaczej Górcie jeden z Łazien sie przystawiał. Chłopaki supraskie jego zdrowo gorzałko spoily i wyrzuciły za drzwi w pokrzywy. Wyszed Kozłowski przed karczme popatrzeć, stanął nad tym napitym i myśli, co by tu dla jego jeszcze zrobić? A zobaczył, że u pijanego zamiast nogi z nogawicy końskie kopyto wystaje.

- O bratku, takiś ty? No to czekaj, już ja tobie tak wygodze, że sie od mojej dziewczyny odczepisz. - A że był chłop słusznej postawy, zarzucił jego na ramię i w try miga zanios do swojej kuźni. Podwinął nogawke i podkuł diabła elegancko. Jak tylko ostatniego hufnala zagał... zapał kogut. Pijany diabeł zerwał sie i w nogi. Od tych por ten czort Supraśl omija szerokim łukiem.

WZ

## Jak diabeł podjadał parobków

Był w piekle diabeł nieudacznik. Za co by sie nie wziół to spaskudził. Nawet jak pod kotłem kazali mu palić, to z jednej strony grzesznicy wiszczeli z gorąca, a z drugiej strony zębami szczękali z zimna. To szczękanie niosło sie po całym piekle i zakłócało spokój najwyższej zwierzchności piekielnej. No i stało sie... po krótkiej naradzie wygnano nieudacznika z piekła na ziemie, gdzie zdobywając nowe dusze miał zapracować na nowe zaufanie diabelskiej starsziny. Jednak i tu nic nie potrafił.

Aż wycieńczony z głodu, bo i jedzenia nie umiał zdobyć, dowlół sie do folwarku w Łażnisku. Właścicielem był Lingo, sprawiedliwy pan, dbający o swoich chłopów. Nawet obiady przywożone na pole gotowane były w dworskiej kuchni. Nie żałował Lingo swoim chłopom mięsa. Chociaż jak to na wsi, cały tydzień piątek, a w niedzielę rosół.

Gdy diabeł włół sie po smugu niedaleko wsi, na skraju lasu zatrzymała sie fura i wystawiły kobiety dla oraczy miski, łądżki ze zsiadłym mlekiem, dwojaki z kapustą i ziemniakami. Zapachniała diabłu skwarka w ziemniakach i mięso w kapuście... Wyczekał chwilę, kiedy kobiety poszły zwoływać oraczy na posiłek, w mig opróżnił garnki i z pełnym kindziukiem uwalil sie w cień pod leszczyną.

Obudził go wrzask chłopów i jazgot kobiet. Kłócili sie, jak to głodni, tak zawzięcie, że aż w piekle naczałstwo przecierało ze zdziwienia przekrwione ślepie.

- No i kto by przypuszczał... takie nicpotem, a grzeszników w jednej chwili pomnożył. - Pochwalił niezgułę sam Lucyfer. Zaś przekleństwom, najaniom, wymyślaniom, ruganiu końca nie było. Nawet gdy do chat wrócili, za byle co łoszożyli swoje dzieciaki i baby.

Na jutro diabeł zasadził się znowu w tym samym miejscu co przódzi. A że wilczy głód zaspokoił tylko z kapusty mięsem, to tera nawet z ziemniaków skwarki powyciągał.

Zajrzeli chłopci do dwojaków i znowusz awantura o postne jedzenie. Klóć się niemożliwie, a diabeł leży opodal pod leszczyną i słucha tego jak najpiękniejszej muzyki. Słuchał, słuchał aż głowa się jemu na piersi opuściła, oczy zapluszczyli i usnoł szczęśliwy. Samo raz trafił się przechodzący starszy człowiek... słysząc awanturę przystanął koło machających rękami ludzi i pyta się.

- Ludkowie mili, a co takiego stało się, że na trzy wiorsty was słyszą?

- Popatrzcie dziadku... napracowaliśmy się orając pół dnia. Konie dostały swój obrok i jedzą... a spójrzy, co nam ze dwora przysłali... postną kapustę i nieokraszone ziemniaki. Kobiety bożyły się, że wszystko co było trzeba trafiło do ziemniaków i kapusty, że one nic nie rozumieją, gdzie się mięso podziało.

- Prawda, nie wygląda to dobrze - rzekł starzec. - A przeżegnaliście choć posiłek? Przeżegnaliście się sami przed jedzeniem?

Zapadła cisza. Popatrzyli po sobie speszeni.

- A po co żegnać - mówili chłopci - u nas żegna się człowiek, żegna się kobieta... Ale kto słyszał żegnać kapustę?

Starzec rozejrzał się dookoła i zobaczył śpiącego pod leszczyną diabła.

- Po co się żegnać? No to patrzajcie - i szerokim gestem uczynił znak krzyża nad posiłkiem.

- Teraz tu. - Starzec wskazał dłonią i wszyscy zobaczyli śpiącego pod leszczyną nieudacznika.

Porwali się do diabła. Prali tym co komu pod rękę trafiło: orczyk, kłonicę, lada patyk. Nim się biedak wymknął z opresji, miał już całkiem niezłe obite boki.

Od tej pory, kiedy rodzina siada do stołu, każdy jeden przed jedzeniem się żegna, a najstarszy robi znak krzyża nad posiłkiem.

CC

*bożyć - bez zastanowienia przysięgać Bogu z byle powodu*

### Jak Krepkostoj śmierć ochmielił

Jeden tu starszy człowiek... Krepkostoj na jego wołali, powióz warchlak na targ do Supraśla sprzedać. Sąsiad pomógł mu załadować na furę, jak wyjeżdżali, jeszcze garścio słomy sypnął na parszuki... żeb się dobrze

sprzedali. Jedzie przez Imszar, taki mokry, ciemny las. Niedobry las, coś im się zawsze paskudnego przygodziło.

Noooo... jedzie, a tu z lasu wychodzi śmierć w białym chałacie na łeb odzianym. Zdębiał cały... Koń stanął, a on nawet palcem ruszyć nie uradzi. Śmierć podchodzi, tyca go palcem w brzuch i mówi:

- Koniec dla ciebie Krepkostoj nadeszed... dzisiaj umrzesz.

- Tru... trudno - wykrztusił z siebie. - Jaaaak mus tooooo mus. Uradzisz na to co?

- Nic - przytaknęła śmierć i znikła w krzakach.

No, wszystkie prosiaki sprzedał. Wcale nieźle cene wzięł. Ale ta śmierć wszystko jemu w oczach stoi. Prawda to... czy się tak tylko mnie przydało? Nawet do karczmy nie zaglądnął... nawet boryszu z kupcem nie wypił, tylko prosto do chaty popędził konia. Jedzie przez Imszar, a z krzaków znowusz wyłazi śmierć...

- Nooo... Krepkostoj, pora na ciebie. Złaż z fury i kłękni. Czas rozstać się z białym światem. A parasiata sprzedał?

- Sprzedał.

- To połóż pieniędzy na kamień. Na tamten świat ich nie bierz, bo to jakby ty z kamieniem u szyi do wody skoczył.

To już Krepkostoju podejrzane się wydało, bo „parasiata” mówił we wsi tylko prymaka, co do Podlipek w przystępy zza Gródka przyszed.

- Czeka... tylko torbę wyjmę... bo przed złodziejami pod nogi w słomie schował. Pomału wyciągnął kłonicę... jak nie ochmieli śmierć przez łeb, aż się nogami nakryła i kosa jej z ręki wypadła. Odkrył twarz... i oczom nie dowieża... toż to sąsiad co prosiaki słomo sypał. O, jak było.

CC

### Jak krzywda prawdzie oczy wykalupała

Gdzieś pod Krynkami Krzywda Prawdę spotkała i dawaj się spierać komu lepiej żyć na świecie. Prawda, że Prawdzie... Krzywda, że Krzywdzie.

- Żyć w prawdzie, to żyć bez lęku, że ktoś kłamstwo wykryje - mówi Prawda.

- Co z tego, że żyć będziesz spokojnie... ale jak biednie. Zobacz, jak ty wyglądasz? Łachmany się tobie ledwie grzbietu trzymają. Chodź pójdziem po świecie... zobaczysz, co to znaczy żyć uczciwie i biednie.

No i poszły. Krzywda po drodze kradnie, zabija, rabuje... a Prawda stanie pod kościołem w Szudziałowie, Sokółce czy Supraślu, chudą rączkę wyciągnie i czeka. Ale ludzie nie bardzo kwapią się dać cokolwiek. Świat stał się ciemny i ponury. Osłabła Prawda z głodu, siadła pod płotem i prosi Krzywdę:

- Daj kawałek chleba, a to już iść nie poradzę.

- Dam. Ale przyznaj, że ja mam rację.

- Nie masz racji. To ty robisz świat takim ciężkim nie do zniesienia.

- No to zdychaj z głodu w swoim pięknym świecie. Albo... wiesz co? Jak ty taka głodna, to daj mnie za jedzenie swoje jedno oko.

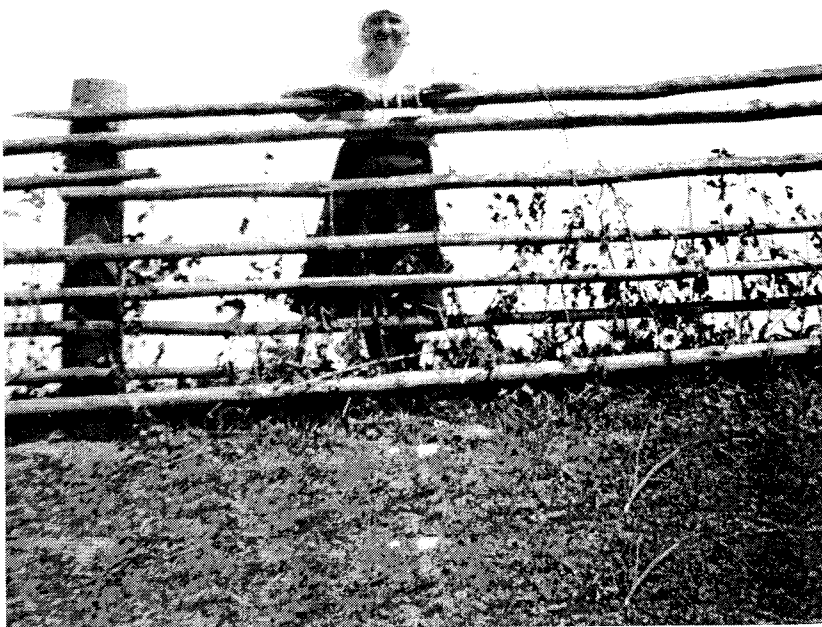
Zgodziła się Prawda i Krzywda wydarła jej prawe oko.

Chodziły po świecie, aż Prawda znowu zgłodniała. Ale i tym razem przyznała Krzywdzie racji, tylko zgodziła się oddać lewe oko. Krzywda wydarła prawdzie lewe oko i zostawiła ją przy źródle pod Wasilkowem. Kiedy Prawda zjadła, co jej Krzywda zostawiła, ostabła tak z głodu, aż poczuła, że śmierć jest blisko. Wtedy usłyszała głos.

- Za to, żeś pozostała sobie wierną, przemyj twarz wodą ze strumienia.

Prawda zmoczyła twarz i odzyskała oczy. Oglądany świat wydał się jej taki cudny, że aż zatyka dech. Bo najpiękniejszy jest świat oglądany oczami prawdy.

NK



Wierzchlesie – Pulicha

## MUZYKANTY

### Jak grajek grajka spotkał i kapele założyli

Szedł grajek z wesela mocno wypity i pod pachę niosł skrzypki. Aż czuje, że ktoś próbuje mu je wyciągnąć. Obglądał się i widzi, idzie drugi muzykant też ze skrzypkami pod pachę i ciąga jego, żeby się oglądał. Przywitani się.

- Wie co? - mówi tamten - tuż jest moja chata... Mam gorzałkę, kobieta paćzków napięła... wypijem, zakąsiam...

- Ja zmęczony. Całą noc grał w Łażniach na weselu.

- I, tam... zmęczony, zmęczony. Wypijem to sen odejdzie i nowe siły się znajdą... pogramy razem trochę, może sobie podejdziem? A zestroim się, to i interes razem zrobim. Jest prym, ja sekond... najdu się basy, złóżym kapele i będziem hulać po weselach.

Zaszli do chaty muzykanta... Zaraz naschodziło się ludu. Prawda... i basista przyszedł. Pograli, wypili, zakąsili paćkiem. Ludzie tańczą, hroszy sypio. Na koniec o pieniądze zaczęli draka. Bili się, bili, aż on tego drugiego grajka zmiotł, powalił i na im usnął.

Budzi się na ranku koło strumienia. Ubadziany w błocie jak nieboskie stworzenie i olchowego korcza obejmuje. Skrzypka leży pobita obok, korcz cały poobdzierany z kory, a paznokci prawie u jego nie ma, tylko krew z ich leci. A na pierśku... prawda... paćzki leżeli... ale końskie.

AW

### Jak muzykant diabłu przygrywał

Raz muzykant szedł wieczorem z zabawy. Umordowany... bo to grał dzień, noc i znowu dzień do późna wieczorem. Patrzy się... jedzie furą pełną chłopców. Fajne kawalery... takie ustrojone i wołają do jego:

- Hej dokąd idzie? Może by nam zagrał.

- Ja z wesela, strasznie zmęczony. Jak by i chciał, to nie uradze.

- Aeee... Jak dobrze zapłacim, to i siły się znajdą.

I wyspali dla jego w kieszeni pełne garści złota.

- Niech was licho... - powiedział muzykant - dobrze, zagram.

Siadł do ich na fure i jadał na jakąś znajomą wioskę. Ale sala nowa, nowe na jej krzesła stoja, tylko jedno stare... i słyszy głos swojej zmarłej matki.

- Nie siadaj na nowe krzesło, a siadnij na stare.

Wystraszył się, ale już mus grać. Na stare krzesło siadł i gra. A oni tańczą, tańczą... wszystko jedno dziewczynę obracają. Tańczy z głową do

tytu, oczy niewidzące, tylko włosy roztrzepali się i powiewają. O, jaka dziewczyna... ona jedna, a ich ze dwudziestu. Tańczą, a co i raz który przed jego pieniądze sypie na podłogę. To i ochota do grania spora i zmęczenie odeszło. Tak było do północy.

Po północy... szał... wszystko skończyło się... znikli. Nic nie ma... ni kawalerów, ni panny, ni nowej sali, ni krzesel, tylko on sam siedzi pośród wody i błota na Imszarze. Siedział tak do rana.

Ale słyszy, skrzypi fura. A już widno robić się zaczęło. Nadjeżdża jedna fura, druga, trzecia... Na trzeciej siedzą stojący. Jado sianować swoje łąki pod Krzemienne koło Supraśla.

- Ludzie! Dobrzy ludzie!... ratujta!

Rzucili jemu użwizcze, co siano wiązać i przeciągneli przez błoto.

A on się trzęsie i opowiada:

- O Boże, ludzi, żeb wy wiedzieli, gdzie ja był... Gdzie ja się popad?

Ludzie poprosili i ja dla ich grał. Nowa chata... pełne kieszeni złota mnie napchali. O, zobaczo...

Wsadza ręce do kieszenia, żeb pokazać... a tam same końskie kasztany... pełne kieszeni koniaczego gówna. Ale te się z jego nie śmieją... jakieś takie smutne. I mówią, że w to noc jedna w Stoi, Tośka, powiesiła się. Fajna taka dziewczyna.

- Ot tobie raz. I to oni z jo tańczyli... Ja patrzył, co ona jakaś znajoma.

A niech cie choliera, to oni mnie wynajeli żeb ja dla ich grał. I o jak zapłacili. Szczęściem na stare krzesło siad.

AP

### Jak Kraśnicki z diabłem grał

Był taki muzykant Kraśnicki... Szedł z wesela ze skrzypko pod pachy, a ponapiwany jak nieboskie stworzenie i spotyka drugiego muzykanta.

- O dobrze się składa, o ho, ho... godne wesele. Stali grać. Ale Kraśnickiemu ten nowy kolega nie podchodzi... wienc u jego przerw jak grania.

- A gdzie mnie grać... ja cało dobe grał... ja zmęczony.

- O zobaczy, jak pan młody płaci.

Muzykant wyjął z za pazuchy garść złotych rubli i sypie Kraśnickiemu do kieszenia.

- Chodź, tu o chata jest... wypijem, zakąsam i nazad siły się wróco.

Zaraz i chata pokazała się... Tylko kto drzwi roztworzy, para idzie na całe podwórze. Zachodzą... o ho, ho... godne wesele. Stali grać. Ale Kraśnickiemu ten nowy kolega nie podchodzi... wienc u jego przerw jak grania. A Kraśnicki piłuje skrzypkę aż dla jego pot po rowku cieknie. - A pokąd to będzie? - zdenerwował się. I od słowa do słowa draka zrobiła się. Bili się, bili, aż Kraśnicki tego drugiego zmog... i usnął na ławie kamieniem. Budzi się... a tu słonko wysoko... Pod południe było, a on wielkiego olchowego pniaka obejmuje rękami. A całe pokrwawione...

- O, z kim ja bił się. Kore z jego gołymi pazurami poobdzierał.

Wsadza ręce do kieszeni, gdzie złote rublówki jemu kolega muzykant wypychał i wyciąga grochowiny.

AW

### Muzykant Kiszycki

W Nowince był Józef Kiszycki, muzykant. Wyjeżdżało wesele, a ten muzykant był za stodoło. Wychodzi i mówi:

- Kiego licha tak pro sie!?

Naraz koni słabe zrobili się... trzy osób na furze i nie uciągną. Batem po ich... nie uradzo. A muzykant od stodoły idzie i gra sobie na skrzypce. Dochodzi... koni stojo. Siadł na fure... koni stojo.

- No to teraz pojedziem.

- Jak pojedziem!? Koni nie ido?

- Na mnie czekajo! Pojado, tylko kieliszka zrobie.

Zaszedł do chaty, zrobił kieliszka, przekąsił, wrócił do koni, smykem po zadach uderzył i spytał się.

- A pokąd będziecie stać?

I te koni poszli jak szalone. Wszystkie się w Nowince dziwowali wtedy.

SB

### Jak Żyd z Krynek opętanego poskromił

*Kto na weselu skacze  
śpi w niedzielę  
po niedzieli płacze*

W Ostrowiu żenił się Żamojda. Już młodo przywioz do siebie. Dwa dni pohulali, jak to na odchodnym. Muzykanci grali z dzieńdobry... dobrze tam dostali. Już odchodzili, bo mieli drugie wesele w Ostrówku grać. A do ich Paweł przypiął się i wszystko tylko:

- Postaw litra i postaw litra.

Krasowski mówi.

- Chcesz? To ja tobie postawie.

Kupił od młodego litra, odbił flaszke, nalał dwie szklanki, dał Pawłu. Wypili i poszli. A Paweł siadł na ławce i zaczęło jego rzucać. Tak jakby w im co siedziało i chciało wyjść. Potem zerwał z siebie soroczke, spodni i poszed w pole golusieńki. Za im cały akt weselny... młoda, młody, stareńka matka, szwagierka z dzieckiem, szwagry... wszystkie leco i wołajo, żeb się wrócił.

Ale gdzie tam. Weźmie kamienia takiego jak mniejsza poduszka... tylko dłonio podbije, podbije i rzuca do matki, do ludzi. Wincenty, szwagier, doleciał do jego i z tyłu za włosy złapał. Wiedział jak złapać, bo ten odraz zrobił się spokojny i daje się prowadzić.



Związali z tyłu ręce, usadzili w sadku, co w im drzewka powymarzali i stali suche. Młode... centymetry ze dwadzieścia... To on podryje, podryje nosem i aby korzenia dostał. Złapie... wyrwie z ziemi i trzyma. O matko... co z takim człowiekiem robić?

Jechała fura z Ostrowia Północnego. Poprosili, żeb jego do domu odwieźli.

Zawożo... a on skoczył na druga strona ulicy, gdzie pokrzywy rośli i zębami ham, ham, ham i te pokrzywy je. Podniesie głowe do ludzi - smaczna francuska sałatka.

Ludzie w strachu. Matko, co to z tego będzie? Szwagier za grzywe jego i do domu zaprowadził, na łóżko powalił, łańcuchem jego po szyi, po nogach... ręce związali. Łańcuchem osnowali jego... To jak wstrząśnie sie, to łóżko trzeszczy. Jednego pięto wceślił, to z oknem na podwórek wypad. Bieda... na jutro wieść pod jewangieliu. Koni zaprzęgli, nakładali słomy i z rękami z tyłu uwięzionymi uwalili na fure. To co? Weźmie słome w ręce napląta, napląta i rzuci. Takie dla jego koszyczki wychodzili i to z rozmaitymi ząbkami. Musi ze trzy takie zrobić.

Zawieźli jego do cerkwy w Ostrowiu pod jewangieliu. Batuszka wzioł jewangieliu i czyta. To ten jak wceślił w jewangieliu... to po jednej kartce rozleciała sie. I batuszka nagnał ich.

A gdzie iść? Znikąd ratunku. W Krynkach był Żyd i on potrafił opętanego omodlić. Powieźli jego do Krynek. Żyd coś po żydousku pomarmytał, pomodlił sie, pogłaskał, poszarpał... i ten zdrzemnął sie.

Pospał, pospał... i jak przeczknął sie to opowiadał:

- Śniło mnie sie, że na mnie leży wielki kamień i on mnie w ziemie wgniata. Naraz jakaś cień pojawiła sie i szszszaś na cztery części rozłożył sie. A ta cień powiedziała - niech będzie woła twoja.

AP

*z dzieńdobry - jeśli muzykanci grają „z dzieńdobry” to wszystkie składki zabiera pan młody. Jeśli bez „dzieńdobry” - wszystko co wkładają goście w basy bierze orkiestra  
soroczka - koszula Iniana z zapinaną z boku stójką - od czterdziestu prac, które należy wykonać nim się koszulę włoży*

### Muzykant Minko

W Grzybowskiem był taki bezrodzinny stary kawaler, Minko. Troche grał na skrzypkach, ale kiepsko, i inne muzykanty jego nie honorowali i do kompanii nie prosili. I on dusze zapisał czartu. Od tych por inny człowiek zrobił sie. Poznać jego grania i nachwalić nie mogli sie. Położy skrzypki na kominie, każe grać... i grajo. Sam siedzi na ławie za stołem, fajke kurzy, a smyk po skrzypce lata.

Albo gra i naraz ludziom takiego czmuta w oczy puści, że wszystkim zdaje sie, że chata pełna wody robi sie. Baby na ławy włoży, na stół, spód-

nicy podnoszo. Jeden na piec uciek i z piecy, na głowe, jak do wody skakał i tełł pobit. Wszystkie z jego potem śmieli sie.

Młodzięzy na tańczące wieczory naschodzi sie... Niejednemu do dziewczyny chce sie, ale ta jego nie chce, no to idzie do Minka i mówi:

- Panie Minko - tak i tak - nie chce mnie. Co ja nie robił, no nie chce mnie.

- Ciebie nie chce? Taki fajny chłopiec. Będzie ciebie chciała... ale musim jej wstyd zrobić.

- A niech robi co chce, żeb mnie tylko chciała.

Idzie z jo... tańczy. O, ta Hanka Kłosowskich... Ładna taka, postawna dziewczucha, a on ryży i brzydki jak nagła śmierć. Rozmawiać z im nie chciała. A jak Minko zrobił, idzie tańczyć. Przycisnął... nic. Podszypnoł... nic nie mówi. Pocałował... nic, po mordzie nie dała. Siądli... ona jego za szyje obejmuje. Wszystkie patrzy... tak nienawidziła, a tu sama jego całuje. Podchodzi do muzykantów polke zamówić... a Minko mówi - nie idź tańczyć, bo ona majtki zgubi. - Poszli tańczyć i prawda... majtki jej spadli, zaplątali sie w ich i pokocili po podłodze. Śmiechu pełna chata. I co? Pobrali sie, dzieci majo, dobrze żyjo. On nie pijak i ona nie latawica.

CC



Studzianki, dziś zapomniany obrzęd wiosenny

# WIEDZMY I SZEPTUNY

## Weselne czary i uroki

Powstawanie nowego związku, nowej rodziny jest czasem, w którym na życie młodych bardzo silnie oddziałują siły zła i ludzie tym siłom posłuszni. Podobnie jak w najkrótszą noc w roku, w nowy rok, o północy i w południe, są to pory, gdy działanie złych mocy się nasila i aktywne stają się wszystkie okoliczne wiedźmy, wiedźmary, szeptuchy.

Do Wierchlesia w drużbanty z innych wioski nie bardzo chcieli jechać. Żeby tam żenić się czy co... Tam trzeba było mieć odwagę. Oni zawsze coś takiego zrobio, że człowiek zachoruje albo źle się czuć będzie... Oni mają silne muchi. Jeśli kto tamtędy miał jechać, to wołał kilometry nałożyć i minąć wioska... żeby czego człowiekowi nie zadali. To w ubranie zaszywali chleb i sól, albo czosnyk od uroku, wiązali czerwone nitki na ręce albo szpilki pod kołnierz wtykali.

*muchi - siły magiczne gromadzące się w czubku nosa. Stąd powiedzenie „ma muchy w nosie”  
wiedźma - posiadająca wiedzę, mądra kobieta  
szeptun - wypowiadający formuły magiczne szeptem, by nikt ich nie zapamiętał, bo wtedy tracily moc*

Zło jest zazdrosne o każdą zwykłą wesołość człowieka i korzystając, podczas zabawy, stara się ją zniszczyć, zamienić na radość płynącą ze złych czynów. To ono najczęściej popycha męża w objęcia gorzałki, a żonę w ramiona chabala. Od samego początku wesela stara się szkodzić młodym i dla całego aktu weselnego. Najintensywniej działa przed słowem (zawarciem małżeństwa). Wiele czyni, aby nie dopuścić do ślubu... a to konie przed odjazdem wariować zacząć, a to cały akt weselny zmieni się w wilkołaki i ucieknie do lasu. Albo jadąc do kościoła będą błędzić, kręcić się po drogach w puszczy, byle na czas nie dojechać do kościoła i nie złożyć małżeńskiej przysięgi.

Wiedząc o zagrożeniach, ojciec młodego prosi na swata albo muzykanta kogoś, kto zna się na czmutach i ma silne muchi. Taki swat mógł uchronić młodych i weselników przed czarami i skutkami rzucanych uroków. Zwłaszcza że tych czarów podejmowały się często porzucone i zawiedzione miłości. Bywało, że po paskudne czary sięgała zostawiona dziewczyna czy pogardzony chłopak.

Raz... to w Starej Kamionce było... tam taki muzykant był. Jak jakie wesele, to jego stale brali grać. A jeden miał stryjka pod rękę. Myśli młody - a co ja jego będę brał, jak u mnie stryj wiedźmar. Mnie taniej wyniesie.

No dobrze... nie wzięł. A to trzeba było przez Staro Kamionkę jechać. Młody pierszo furo, reszta za im. Jado... a ten muzykant wyszed przed chatę i stoi w bramce. Patrzy się. Tylko przejechali koło jego chaty, młodemu wyrosli rogi jelenie. Boże, jeleni jedzie! Co robić? Stryjek nie poradził, za słaby był. Zawracajo, jado do tego muzykanta i proszo. Odrobił... ale wzięł tyle, ile dali kapeli za granie.

JH

W Borateszczyźnie był muzykant Krasoski. Wredny bardzo. I jeden jego na wesele nie poprosił, tylko muzykanta Kiszyckiego. To było na moich oczach, bo ja na tym weselu była. Jechali do kościoła w Szudziałowie przez Borateszczyzna gdzie ten Krasoski żył. Mijali jego chatę i młoda oglądnęła się. Jak raz ten w oknie stał. Szszszaś! I w jednej chwili welon czarnym zrobił się, a na głowie różki jej wyparło. Takie jak u jałówki. Staneli wszystkie i stojo. Młody z fury i poleciał do okna. A tam na podwórzu stał pieniek i siekiera wbita... złapał to siekiere i do jego krzyczy:

- Sukinsynu ty!... Jak ty mnie jej nie odrobisz żeb stała jak była, to jej-bohu łeb odrąbie!

Wtedy podeszed Kiszycki, zabrał dla jego siekiere. A przy drzwiach na gwoździu wisiła czapka. Położył na pieniek i siekiero ciap! Ciachnął daszka w czapce. Odrz Krasoski za głowę się złapał i wiszczy... - Aj jaj, jaj, jaj!

Patrz wszystkie, a u jego na łysinie zrobił się krwawy sznar... jak od siekiery.

- No masz szczęście, - mówi Kiszycki - że siekiera tępa, to tylko łba odbar. Odrób mnie jo tu raz dwa... bo poprawie i będziesz zdychał jak pies pod płotem!

Krasoski młodo odrobił i pojechali dalej już bez przypadków.

AF

Jak wesele jechało... to położy na drodze patyczki na krzyż i koni nie pójdo. Albo drapaczem przez drogę przeciągno, to się młodym życie nie utoży. Albo noża pod obrusa wsunąć ... to się na weselu do krwi pobijo.

Tu w Sokoldzie jedna kobieta była i jechało wesele. A młody chodził do jej córki... żenić się miał... Ale coś tam nie wyszło, jo zostawił, a sobie z innej wioski żonę brał. To jak do ślubu jechali... ona przez drogę czarny piasek wysypała, że jak przejadło to ta młoda umrze. Ale swat się spostrzeg i powrócił koni w prawo i mineli ten piasek. Ona wyleciała i krzyczała...

- Czego ty cholerniku, zły duchu ty, po piasku nie jechał!

Poleciała do chaty i ze złości wszystkie stoły i krzesła powywracała do góry nogami... żeby im życie rozrzucić, żeby jej sprzed ołtarza uciek.

SB

Chodzili ze sobo, aż ona miała dziecko. I ten z jo żenić sie nie chciał, a wziół sobie druga. I ten ich dzieciak... no bachurek, bajstruk... biedny taki był, zachorował i zmarł. A chodził dziad po prośbie. Zaszed do jej, zjad co tam jemu dała i pyta to kobiete: - Chcesz zemścić sie? To weź piasku z mogliłki dzieciulka i jak będą jechać do ślubu, sypni tym piaskiem w młodo.

Tak i ona zrobiła.

Ale nie wychowali swoich dzieci. Najprzód zmarła żona. Ile on dla tych dzieci, co po jej zostali, zabijał sie. To, trzy dziecka miał... dwa zmarlieli. Jednego syna odchowwał i ten został pod Monte Casino zabity. On samotny i ona jak palec.

JK

W Białohorcach moja ciocia była na weselu i zapoznała sobie chłopca. Spodobali sie sobie i po jakimś czasie pobrali. A miał on przedtem panne z Wierzlesia. Taka czarna, przystojna... jej matka była wiedźma. Obie przyszły na to wesele i jak już odchodzili, to ona na młodo słomke rzuciła i powiedziała - od dziś za rok młoda będzie żabami rzygać - i zaśmierdziło końskim łajnem.

Ot tam, pośmieli sie. Ale ciocia tylko rok przeżyła. Rok chorowała i zmarła. Jak już źle było, mąż jo powióz do Białegostoku, ale nadziei nie było. Jak jo wióz z powrotem, zajechali do nas. Brzydko było na świecie i ona taka zmarznięta wzięła stołeczka, siadła pod piecem i grzeje sie w ogniu. A wszystko jo tak w środku ciąga.

- Yk, yk, yk...

- O Boże - mówie - mama, co Wacia robić będzie?

I mnie zaraz wyrzucili z kuchni. Ale ja ciekawa, drzwi trochu roztworzyła i patrze. A ta jak nie yknie żabami, węzami, jaszczurkami. Wszystkie takie szare i bez oczu. Ja do łózka... głowe nałożyła poduszko i dygam ze strachu i zimna. Zare pare dni i koniec... i skończyła sie.

AP

W Wierzchlesiu był wiedźmar, co jak jego nie poproszo, to tak zrobi, że wesele sie nie uda. Albo nie dojadu, albo wrócić sie nie dadzo rady. Będo po okolicy bładzić. Albo koni stano i nie ciągnu. Wszystkie zejdo z fury, koni ido. Siądno nazad... znowusz nie dadzo rady ruszyć z miejsca.

Było w Łażniach wesele i żołnierz przez wioske szed. Zachodzi do chaty, gdzie do wesela szykowali sie i o nocleg prosi. Przyjęli jego, ugościli, uhonorowali i mówio:

- Bieda nam, jest tu taki wiedźmar... co jak jego nie poprosić to młode-mu albo młodej co zada, a poprosić to ludziom ponarabia, że z wesela uciekno.

- Nie proście jego, już ja jemu poradze.

Na drugi dzień jado do kościoła... ale bojo sie. Ten stanął w oknie i coś czmoni. Zanim co zadał, żołnierz tak zrobił, że zdubił. Trzy dni i nocy nie mog ruszyć sie z okna. Dopiero jak wesele skończyło sie, to żołnierz jego uwolnił.

JH

Raz w Wierzchlesiu jednego nie poprosili na wesele. Jak już mieli odjeżdżać, przyszed. To tak koni i ludzi poszaleli, że strach. Ten wiedźmar zrobił im co chciał i poszed do chaty. Stanął w oknie patrzy sie... bo to po sąsiedzku mieszkał. A był jeden tam co też czmuty znał i tak jemu zrobił, że ramy okna za szyje jego ścisneli. Odras uspokoili sie koni a ten co to zrobił mówi:

- Posiedz, posiedz pokąd nie wrócim. Wrócim, to ciebie puszczo. - I tak stał w oknie pokąd z Sokółki z kościoła nie wrócili sie.

AW

Ale proszeni na wesele też lubili popisać sie mocą. Czasem nie mieli nawet złej woli, jednak każdy z nich miał swój czas i gdy on nadchodził, gdy nagromadziło sie w nim sporo złej mocy, musiał z siebie na coś, na kogoś to zrzucić. Jeśli nawinęło sie zwierzę, to na nie, jeśli rzecz, to na rzecz, a jeśli człowiek, to na człowieka. A bywało, że pogodniej nastawieni studzili temperamety albo udzielali czasem bolesnych napomnień.

Było wesele w Sokołdzie i jeden wyrabiał, ot tak popisywał sie i obraził muzykanta. To tak jemu zrobił, że latał, język wywiesiwszy. Potem dał smykem po im... to sztywny zrobił sie i tak nóg i rąk nie zginając idzie przez izbe. Stanął w kuchni, na tych sztywnych nogach, podskoczył i poleciał na wioske. Latał od chaty do chaty z tym językiem, pokąd jego muzykant nie odrobił. To Kraśnicki był, ten muzykant.

AK

### Wiedźmarskie pieniądze

Jak przy trupie znaleźć miedzianego pieniązka, co jest zielony... i włożyć jego do wódki pijaka... to ten wienc gorzałki do gęby nie weźmie. Można też miedziano monete nieboszczykowi włożyć do gęby na noc, potem przez drugą noc w wódce w kieliszku trzymać i dać pijakowi wypić... to na pijaka pomocne jest.

Jak komu chorobe wiedźma odejmie i jo na pieniązek rzuci... i jak kto takiego znajdzie, to choroba na jego przejdzie. Ale jest to siła nieczysta... Jest też i inne pieniądze... takie co wracajo. Ale taki co wraca to jest specjalnie zrobiony i ten komu jego zrobiono nie może jego komu oddać, chyba że ten co bierze wie, jaki on jest szkaradny, a na to samo ma na jego chęć.

MB

## Matyl

Do Łaźniska Matyl, znaczy Matylewicz, przyjechał w 1879 roku z Boratowszczyzny koło Szudziałowa. Wtedy jeszcze wioski Łaźnisko nie było... tylko majątek Linga. Lingo utrzymywał mietieżników (powstańców). Kosy kuli, proch u Żydów kupowali... I jak ich rozegnali, to pana na Sibir wystali, a ziemie chłopom rozprzedali.

Na początku to nie bardzo kupowali, bo na krzywdzie pobudować to cudzo krzywdo się dzielić. Ale jak lata przeszli i ludzie trochu zapomnieli... to zaczęli kupować. Najechało nawaloczy ze świata i tak zrobiła się wioska Łaźnisko. Ale nijakiego dobra w jej nie ma.

Matyl był wiedźmar. Kiedyś pełno było rozmawitych szeptunów, znachorów. Teraz się naród zrobił taki w nic nie wierzący... ni do Boga, ni do ludzi... i wszystko przepadło.

Matyl miał w sobie szatańsko moc i na jego przychodził czas, że w im się zbierało i on cierpiał, pokąd tego co się w im zbiera na kogo nie zrzuci. Taki mus w im był. Jak nie człowieku co zadać, to choć na żywine, albo choć na drzewo czy krzak. Spójrzy na kogo w taki czas i ten rzyga, nieprzytomny, temperatura i wszystko... Leży jak płat płótna biały, nie ma dla jego ratunku ani u lekarza, ani co... Za jakiś czas przychodzi ten Matyl i - oj wazsa córka chora, może kto jej zrobił co? - A sam, zaraza na jego łeb, to jej zrobił. Ręka na czoło położy, poszepta, poszepta i idzie. Dziewczyna odraz wstaje i chodzi jakby nic. No, ale już jest na tamtym świecie, niechaj jemu Bóg podaruje.

SB

Raz Puciłowski ze szwagrem sprzedał konia w Sokółce na jarmarku i poszli do gospody na obiad i szwagier mówi:

- Ty patrzaj czy pieniądze dobrze schował.

A siedział przy drugim stole Matyl i słyszał, jak on to mówił. Przychodzi się płacić... do kieszenia... pieniądze żnikli. Nie może być... może gdzie ich w karmanie zadział. No czort ogonem nakrył. Gdzie podzieli się?

A Matyl do ich:

- Ty weź poszukaj u tego gościa co z tobo jadł. Mówił tobie żeb dobrze schował, a sam je wyciągnął. Ma w tej o... - tu Matyl palcem pokazał - kieszeni. On do kieszeni... a jak, so jego pieniądze. Dalej jego łać. A Matyl na boku siedzi i cieszy się.

Jedna w Łaźnisku, Sobolewska, sto pięć lat żyła. I chyba by po dziś żyła, ale jo na ulicy spłoszony koń przewrócił, uderzyła głowo w kamień i umarła. Ta Sobolewska pojechała do Wierzchlesia w kumy... a tam już był Matyl, bo jego bali się na kuźdy balik nie poprosić. Prosili i tak doglądali, nie wiedzieli jak jego honorować, żeb tylko jakichś komedii nie narobił. A to jak w zgodzie z im być to jeszcze bardziej co zada.

I ta Sobolewska przy im usiadła i ze strachu paczek cukierek, co dla dziecków kupiła, dla jego dała. A miała takie grube warkoczy jakby kto len spłotł... takie do pasa. Matyl tego warkocza w ręce wziół, pogładził i powiedział:

- To takie ładne u ciebie włosy jest? Szkoda ich.

W kilka dni wszystkie włosy jej wyszli... do jednego. Głowe miała jak obryto... jak kolano.

Dzieciaki pytali jo:

- Babku, czego u ciebie na głowie włosów nie ma?

- O, to Matyl mnie tak zrobił.

JP

Było tak. Jednym razem siadł Matyl na weselu koło dziewczyny... ale ona dla jego niechętna i odsuwała się. Złapał jo w pasie, przytulił do siebie. I co?... obie jego ręce na jej ciele odbili się czerwonymi plamami. Nie mogła nic na siebnie założyć, żadnego odzienia odziać, tak jo te ręce piekli, palili. Temperatura... To drugiego szeptuna... Kraśnickiego wołali i dla jej to odrobił.

Kraśnicki z Matylem byli niezgodne. Raz zeszli się na weselu w Lipinie, gdzie Kraśnicki grał na skrzypce. Matyl do gospodarza mówi:

- Pokaże ja tobie fokusa. Masz chrzan?

- Czemu nie, znajdziem. Na wypuście pełno roślinie.

- To idź i wykop jednego... żeb był jak największy.

Gospodarz wykopał chrzan i przynios do chaty.

- Siądaj - mówi Matyl - oskrob do czysta, wymyj, to puścim ludziom czmuta w oczy.

A to kiedyś na weselu wódka nie w butelkach, a w naczyniu na stole stojąca i każdy sobie czerpał wiele chciał... i pił wiele dał rady. Jak nie chciał to nie pił. Gospodarz oskrobanego, umytego chrzana dał Matylu, a ten pultnął jego w miskę. Z chrzana żmija zrobiła się i pływa w tej misce. Nikt z jej nie pije, bo bojo się żmija. Tylko Matyl z gospodarzem pijo, bo nie węża a chrzan widzo.

A Kraśnicki wziół białego sera z talerka, na którym Matyl z gospodarzem zakąszal, potrzymał pod stołem w rękach, coś poszeptał, poszeptał i nazad na talerz położył... tak, że nie widzieli.

Matyl nabrał znowusz samogonki... wypił. Wziół sera, włożył do gęby a tu stop... nie może przełknąć ani wypluć. Zaczyna się ykać... yk, yk, yk i jak yknie na stół wielko ropucho. Z sera się dla jego w gębie ropucha stała. I kic, kic, kic po stole, na ziemie i pod kucze w piecze.

AW

Kiedyś strzechy były słomiane i niskie. Siostra we trzy z koleżankami poszli do Matyla i naciągali słomy. Taki zwyczaj był na nowy rok, że ciągali

słome z dachu i sypali „solomiane dorożeńki” - ścieżki od chaty kawalera do panny. I dla kawału naciągały słomy od Matyla do jednej wdowy.

Matyl na ranku wyszedł z chaty, zobaczył „dorożeńki”. Pozbierał słome, zanios do chaty i pod pieczko wydrapał dziure, zakopał zebrano słome. Powiedział nam o tym jego siostry syn, co z nami krowy pas.

- Hooo... mój wujek pozbierał słoma, położył pod kuczu, nakrył kamieniem. Tera te co słome ciągał za mąż nie pójdą, pokąd słoma nie zgnije.

**AB**

Sąsiad Matylu przez ogródek chodził i coś tam podeptał. Ten dla jego mówi:

- Ty chodź tak jakoś drogo żeb mnie szkody nie robił.

Ale ten machnął ręką, może co tam rugnął się i poszedł swojo drogo. Przychodzi do chaty... a u jego małe dziecko było, dziewczynka w łóżeczku leżała. Patrzy się, a na tym dziecku wielka żaba siedzi. I tu żaba i tu żaba. Coraz wiency żab na dziecku siedzi, Zrzucił je, patrzy... znowysz so. A miał taka szwajcha z ruskiego bagneta, żeb swinie bić. Wziół ta szwajcha, żaby jo pozbierał, pozbierał i wynios z chaty. Wraca, a tu ich jeszcze wiency jak przódzi. Dopiero kopnął się w łeb... - Toż ja z Matylem zadar. - Wziół karabina, poleciał do jego.

- Ty! Matyl! Ty zabieraj te swoje żaby, bo jak Bóg na niebie zare rozlicze się z tobą!

- A trzeba było tobie mnie przez zagonek droga robić... a?

- Zabieraj mnie zare te żaby!... bo jak nie, to zrobie tobie drogę nie przez zagonek a na cmentarz!

Karabina sprawia i Matylu lufe pod nos.

- Idź, idź... nic tam już u ciebie w chacie nie ma.

Matyl poprosił sąsiada, żeb do jego klaczki ogiera dopuścił i ten nie zgodził się. No i poswarzyli się.

To zrobił jego córce tak, że wszystko co w domu mieli to jakby nożyczkami niszczyła. Przyjechał z rynku, byczka sprzedał. Pieniędzy wychodzo z kieszenia i się sypio na podłogę, a ta mała rączkami tak jak nożyczkami chłaś, chłaś i te pieneędzy w kawałeczki.

Albo kum ich przyjechał, palto na goździu powiesił. A ten płaszcz na ziemię, gdzie ta mała bawiła się i chłaś, chłaś, chłaś tylko kawałeczki leco.

To mnie szwagier mówił. On był w policji śledczej i jemu to sprawę zdali. Przyszęd do ich i siadł protokół pisać. Pisz, pisze... musi z godzinę pisać. Bierze czytać, a tam jakieś głupoty popisane. Mała podeszła i paluszkami jak nożyczkami chłaś, chłaś... i po protokóle.

Za Sokółko w Malewiczach był Panasewicz i do jego wozili, jak co komu Matyl zrobił czy nie dał rady wyleczyć. Raz się zesłi w karczmie w Krynkach i Panasewicz mówi:

- Ty przysyłasz do mnie na leki... „Jedź do Panasewicza do Malewicz, on ciebie wyleczy... bo ja już tutaj rady nie mam.” I to zawsze jak co komu zadasz. Jak ty taki słaby to ty ludziom nie rób, bo zrobić zrobisz, no odrobić nie poradzisz. Jak ja zrobie co komu to i odrobię. Oooo... zrobie, że ten biały ser stanie się czarny jak węgli.

I zrobił. Ser czarny stał jakby kto gazete spalił.

- Na. Jak ty taki znachor to nazad odrób. Niechaj ten ser białym stanie, jak był.

Matyl peckał, peckał i nic.

- To jest silnie zrobione...

- Silnie? Czy tylko silny to odrobi.

Panasewicz odrobił.

- Ty walszewnik gorszy hada - mówi - ty mnie wiency nie przysyłaj nikogo, bo ja po tobie nie będę poprawiał. I żeb ty zapamiętał, to ja tobie zrobie fokusa.

I zrobił jego z trzema głowami. Głowa Matyla akuratna we środku, a z prawej i lewej na ramionach jeszcze po jednej. Jedzie z Krynek do Ostrowia, przez Talkowszczyznę... wszystkie widzo, Matyl jedzie z trzema głowami. Zajechał do Łaźniska na podwórek, koni wyprzęga. Wychodzi żona i patrzy:

- Ach Boże mój! A tobie co? Oooo... i dograł się.

- Z Panasem pokłócił się i on mnie tak zakałdował.

Nic wiency Matyl nie powiedział, wszed do chaty i znowusz na powrót z jedno głowo zrobił się.

*walszewnik - z ros. wiedźmarz*

*zakałdował - z ros. zaczarował*

Matyl przeżył swoje życie i jak to stary, przeżył się i zachorował. Chorował spory czas i nie mog umrzeć. Dwa tygodni umierał, strasznie męczył się i nie mog zejść z tego świata. I co jeszcze? Kruki i wrony z całej okolicy zlatywali się. Chata ich była słomo kryta, to nie było gdzie palca utknąć, tyle tego czarnego ptactwa zlatywało się.

A on wszystko nie mog umrzeć, tylko tak wył - hyyyy... hyyyy... hyyyy.. - z chaty dolatało. I na koniec jedna staruszka mówi - deske nad im na strych wyrwijcie, to skona.

I on żonie dał taka książka... powiedział co i jak na jej robić i wziół jo za rękę. Wtedy deske wyrwali i on skonał. Ptaki z chaty się zerwali i siadli na drzewach.

Te co tam byli mówili, że taki gwizd się zrobił w chacie, taki świst, że ludzie uszy zatykali. A to z jego diabeł skóre ścigał. Weszli tam, a on tam czerwony bez skóry leży.

**SB**

## Jak z Kisielichy zły duch wyszed

Kisielicha, znaczy Kisielewska, zachorowała. Jake chorobe miała? Ot, prosto sama do siebie gadała. A bo to jedna co do siebie gada? I samemu sie trafi pogadać, ale Kisielicha takie rzeczy mówiła, że od ich strach człowieka brał. A to że widziała złego ducha, że podchodzi do jej, że w ją wchodzi, że z jej skóry łupi i takie o... figli wyprawia. Ona ciągle tego czarta widziała, tak jej się w oczach przydawało.

Zawieźli ją do Kronsztadu... był tam batiuszka Jan Kronsztacki i on złego ducha wyganiał. I ten świąszczenik mówi do tego co w niej jest, że b z jej wyszed. A zły co w niej był odpowiada grubym głosem:

- Którędy mam wyjść? Jak wyjde okiem, to oko straci. Jak wyjde uchem, to będzie głucha jak pień. Jak wyjde nosem...

- Ty jak weszed - kaže dla jego Kronsztacki - tak wyjdź!

I wyszed. Leczyli jej z pół roku... dużo to rodzinie kosztowało i kiedy wrócili się do Supraśla, to już do siebie nie gadała. Tylko czasem jej się wracało...

A po sąsiedzku była kobieta, która ją kadziła ziółkiem. To był czabor - macierzanka. Jak zawołają ją, że okadziła i ta w oknie ją zobaczy, to krzyczy:

- Znowusz choliera łezie... znowusz będzie mnie męczyć.

Do samej śmierci nie była całkiem normalna. Ale zawsze modliła się do Jana Kronsztackiego i kiedy zmarł, modliła się cały tydzień bez ustanku i jedzenia.

Po przyjeździe z Kronsztadu wozili ją co niedziela do cerkwi w Supraślu, ale przestali, bo ludzie się bali wejść do cerkwi. Przywiozła zdolność rozpoznawania, kto jest ze złym duchem w znowie. Na Aleksandra Newskoho najechało do monasteru tych batiuszkow z całej okolicy. Na abiedni stał jakiś nie supraski, musi z Sokółki, i ona podeszła do jego, za chwał i odciąga...

- Odejdź - mówi - ty nie godzien przy stole stać!

To ją pod pachy i wyprowadzili z cerkwy. A ona krzyczała:

- Ja wiem kto czestny, kto nieakuratny! Ja znam, komu na abiedni stać się nie należy!

Potem przywozili ją na odpust, na Jana Bogosłowa. To ósmego maja po starym stylu, a po nowym to będzie dwadzieścia czwarty. Stała pod cerkwio i wykrywała wszystkich znachorów i wiedźmarzy. Stała przy drzwiach i jak kto wychodził, mówiła czym się trudni.

- A to nasz... zdejmuj kołtuna. A ten to nie nasz...

Kiedyś zeszed w kuźdej chałupie, kuźda kobieta coś tam czmonila, a to od bólu zęba, to dziecko od przestachu kadziła czartapatochem, różę wypalała, albo od cugu kaczała popiołem. Jak iść koło jej, to bali się, że b na ich nie padło. Omijali ją jak najdalej. Mój ojciec nie bał się jej, bo jak na ją z góry, to nic nie da rady zrobić. Nie ma mocy na tego, z kim jest w niezgodzie. Ojciec podeszed do jej i spytał się:

- Co ty suko breszesz?

A ta:

- Ty nie, ty uciekaj, ty nie nasz!

Pokazała na Antonowicza z Woronicza. On taki wioskowy lekarz. Przywozili do jego nawet z daleka, z zapola. Ziółka rwał, parzył... on dla wielu pomagał. Palcem pokazała na jego... i nic nie powiedziała.

I ją spytali się o Matyla, wiedźmara z Łaźniska. A Matyl zmarł jak w Kronsztacie u Jana Kronsztackiego leczyła się.

Matyl jak umierał to straszne męczarnie przechodził. Wszystko czym pracował ruszało się. Sieczkarnia sieczkę siekała, żarna same męły, kierat bez konia obracał się. A Matyl krzyczał, że na całą wioskę było słychać:

- Ludzie, ratujcie! Ludzie pomocy! Ludzie wygoncie te kruki i wrony!

Żelazne łózko, co na im leżał, tak poskręcał, że strach było na ją patrzeć i wszystko pomocy wołał. Cała chata kruki obsiedli... A on prosi:

- Zerwijcie deski w suficie! Zerwijcie deski w suficie, że b mog skonąć!

I jak Kisieliche spytali o Matyla, to powiedziała:

- Nasz człowiek. Te kruki co chacie obsiedli to my byli. Jak wynosili ciało i koni się ploszyli, bo pełno na podwórku kruków... to my byli. Jak pod krzyżem trumne odkryli to te kruki co na drzewach i krzyżu siedzieli... to my byli. To my za im aż na cmentarz lecieli... to my byli.

Prawda... tak było. Jak chowali Matyla, to cały czas czarne ptastwo za towarzysza pogrzebowi było. Gdzie z truno nie obrócili się, to wszystko te ptastwo tam latało. Jakby z całego lasu zleciało się czarne bractwo.

MC

## Matylica

Matylica, siostra Matyla, Maryla, wyszła za mąż za Koronkiewicza. Ale on nie żył w zgodzie z Matylem i ją sobie zbrzydził. Ona nie miała przy im życia. Raz jechali saniami... ona była w ciąży... i ten ją do kłaczki przywiązał i jechał jak w dwa koni.

Przyjechali do Kamionki... Ludzie patrzy, chtëp jedzie saniami i do hołobli kobieta przywiązana. Zatrzymali to procesje, odwiązali ją, a dla jego dali po mordzie. Samo z Sokółki żandarmy byli i wzięli tego Koronkiewicza za srake. Zare był sąd i na cztery lat katorzniczych robot do Rosji powieźli. Już wienc ze sobo nie żyli... sama dzieci hodowała.

AW

Jej po mężu było Koronkiewicz. Brat dał jej kawałek ziemi i ona na te dzieci pracowała. Jak porośli, córka jej wyszła za mąż do Ostrynki pod Janowo i tam matkę wzięła i dochowała do śmierci i tam ona umarła. Ale ona... ta Maryla nic tam dla ludzi nie szkodziła. Prawdziwa Matylica, to była żona Matyla... straszna kobieta, wysoka, czarna... Jej naprzeciw nikt nic nie zrobił, bali się. Ją nachodziła taka chwila, że musiała na kogo co

narzucić. Sama widziałam... Robiły my w lesie i siadły jeść... aż wychodzi z lasu na szkółka Matylichy. Nas nie widzi. Podeszła do jedłowca i sie ob jego plecami obtarła i ten odraz zrobił sie czerwony... w oczach secht.

Raz przyszła do ciotki Matylichy. A ona mnie sukienke na lato bez rekawów uszyła i samo mierzyła. Nie spodobała sie sukienka dla Matylichy.

- Na szto ty takuju sukienku chcesz nosić? Biez rukałou? Kab ty majeju doczkoju była, ja by ciebie siokła... no siokła.

- Wszystkie takie noszo.

No i na tym skończyło sie. Ale patrze ja, a u mnie na rencach plamy czerwone porobili sie.

- Mamo - mówie - co mnie porobiło sie? Co to jest? I świąd jakiś taki napad...

- Ach dzieateńka... to Matylichy na ciebie narzuciła. Idź do jej i powiedz:

- Ciotko mnie coś takiego zrobiło sie.

I ja poszła i mówie:

- Ciotko... może wy znajecie sie na hetim. - Pokazała ja ręce.

- Aaaa... ni szto tam. Idzi u chatu, ważmi mochu z tyna, zagotuj, umy sie i dobro stanie.

*tyn - płot*

Tam... ja raz pospierał sie z Matylichy i ta cholera zadała mnie śpiączke... to dwie doby spał. Jak sie obudził, myślał, że samo co przyłożył sie. A wszystko mnie w oczach tumany stajo, no chodźć nie dam rady, odraz zasynam.

A toż ja z to zarazo... my posprzeczali sie. Jak mnie złość weźmie... chwycił siekiera i poleciał do Matylichy. Przez okno widze... siedzo w chacie. Wleciał do kuchni... nie ma! Pod ziemie zapadli sie czy jak? Okna pozamykane... Zajrzał do piwnicy... nie ma. Wyszed na podwórek, spójrzał w okno... so, siedzo za stołem. A niechaj ich cholera... i śpiączka mnie odeszła.

AF

Mojej babce jedna astudu na ręce narzuciła. Całe ręce miała tako luskopokryte. Poszła do Matylichy i ta jej dała maść. Smarowała sie to maścią i przeszło. Potem dla sąsiadki dała, bo jej sie podobnie stało. Jak dała maść sąsiadce to jej odeszło, ale babce nazad ręce obrzuciło. Poszła znouwus do Matylichy, a ta pyta sie.

- A co, dała komu mojej maści?

- Dała sąsiadce.

- No widzi? Nie dała mnie na jej zarobić, to zarobie na tobie.

AP

*astuda - egzema*

Moja mama opowiadała. Szła do dziadka, a po przeciwku Matylichy pędziła świnie. Oddała jej „pochwalony”... jak to sie starszej kobiecie należy, a ta coś pod nosem zamarmytała i poszła. Mama przychodzi do domu i czuje, że jo wszy obleźli. Głowa aż siwo zrobiła sie, samo nadeszła dziadka siostra i przestraszyła sie.

- Ach Marysia... co z tobo robi sie? A skąd tyle wszów u ciebie?

Nowe ubranie nałożyli i tu zaraz po całym wszów pełno. Zrucili... drugie z kufra dostali... Przeszło może pięć minut znouwus to samo. Poszli do dziadka.

- Ty weź i co zrób, bo my już nie radzim... Matylichy na Marysie wszy narzuciła!

- Czekajcie... bedzie ona świnie nazad gnała... zabije jo tu na drodze, jak nie odrobi.

A dziadek był z imi, z Matylami, w niezgodzie. A w niezgodzie wiedzmar nic nie poradzi zrobić. No i dziadek wzięł karabina, przestąpił Matyliche i mówi:

- Zdejmuj wszy z Marysi... bo jak nie, to ja tu tobie zare koniec zrobie.

- Puście mnie Hołownia... puście... już jej nic nie bedzie.

- No, patrzaj... jak z jej wszow nie zdejmiesz, to ja ciebie i w twojej chacie znajde.

I zaraz z mamy wszy przepadli i czysto stała. Ani jednej na jej wszy nie było.

JH

Siostry męża brat... znaczy szwagier przyjechał do Łaźniska na wesele. A to był taki bardzo wesoly chłopak i zaczął trochu dokazywać. Tu panien dużo, to on dawaj popisywać sie. Naraz jemu coś zrobiło sie, że on piercio po podłodze łąził. Ustać na nogach nie mog... myśleli, że napił sie. Ale on taki był, że wódki do ust nie brał. Patrzo, że z im coś nie tak, że źle bardzo, to jego do Matylichy zaprowadzili co za stołem siedziła.

- A co mądry był? Ty trochu ludzi uważaj, żeb i ciebie uważali...

Poszeptala, poszeptala nad im coś i przeszło. Poszed na tańce i dalej sie bawił.

SB

## Pulicha

Była w Wierchlesiu baba Olga Pulicha, czarowała silnie, mleko dla krów odbierała. Przyjdzie krowa z pastwiska do chlewa. Stanie mama doić, ciąga, ciąga i nic. Ale karmi świnie, a za ściano słyszy, jak jej krowe ktoś we wiadro doi. Zachodzi... w chlewie nikogo. Wyjdzie tylko... znouwus dojenie słyszy. Tak raz, drugi...

Ale nastali po Niemcach sowiety i taki stary sowiet zaszed do nas i jeść prosi sie. Odkroiła mama chleba i mówi:

- Dałaby mleka, ale Olga wszystko zabiera. Boże, Boże, pięcioro dzieci i w chacie i mleka dla ich nie ma. - I płacze.

- Ni tarapiś chazajka - mówi sowiet - chodź ze mno do chlewa, tylko zabierz ze sobo siekiere i widły. - Wchodzo do chlewa i słyszno jak ktoś kro-we we wiadro doi.

- Dawaj widły! - sowiet do mamy. Wzioł widły, kopnoł w jednym miej-scu, w drugim... aż wykopał takie wielkie i niemrawe ropuszysko.

- O kto ciebie małako zabiraje. Daj tapor.

Położył żabę na pieńku i siekiero... ciap dla jej łape.

- A teraz idź po chatach i znajdź, kto tobie mleko zabiera. Będzie u jego świeżo odrąbany palec.

Zachodzi mama do trzeciej chaty, do tej Olgi, a ta lamentuje.

- Ach, Boże, Boże palca straciła... aj jaj jaj!

Przyleciał i sowiecki doktor, opatrunka założył.

Jakość tak po miesiącu zesłi sie kobiety i Pulicha płacze.

- O widzi co mnie sie stało? - I pokazuje palca.

- A czego moim dzieciom mleko zabierała?

- Nich idzie do chaty i zrobi sera. Przyniesie... to coś jej pokaże.

Zrobiła sera, przynosi do Pulichi.

- Idzie sąsiadka... pójdziem do zdroju...

Pulicha położyła swój ser koło wody, a obok ser kobiety. Stoją i patrzo.

A ze zdroju, z trawy wyłazi rozmaite hadztwo, węży, ropuchi i jedzo ser Pulichi, a kobiety sera nie tykajo.

- O! widzi sąsiadka? Tak będą jeść mnie po śmierci, a wy będziecie jak wasz ser... w spokoju leżeć.

OW

Opowiadał mnie kiedyś Matwiej... mieszkał tu w Łażnisku... Czut' świt, wziął ze ściany stajni uzdeczke i poszed po konia na wypust pod Wierz-chleś. Patrzy sie... idzie przez wygon Pulicha, włosy rozpuściła i za dwa rogi ciągnie za sobo płachta, zbiera ta ranna rosa. Witko uderza po prawej stronie, to po lewej i mówi:

- To dla ciebie... to dla mienie, to dla ciebie, to dla mienie...

A było ciemno i Matwiej stał za krzakiem. Samo koło jego ciągnie ta płachta... Jak nie haknie uzdeczko po tym płótnie:

- A heto mienie!

Wystraszył jo... ona nogi za pas i w krzaki. Idzie i śmieje sie. Przycho-dzi do chaty, konia puścił na boisko, a uzdeczke powiesił na ścianie stajni. Patrzy sie, a z uzdeczki mleko cieknie. O, jak było...

AP

### Na czary dobre jest cedziłko

Popławski z Przechodów kupił na targu w Sokółce krowę. Zrobili bo-rysz w karczmie, założył bydlęciu postronek na rogi i do chaty. Krowa była niezła, dawała naraz dziewięć litry mleka. Wygnał jo na boisko... pasie sie.

Minął dzień, dwa, pięć jedenaście dni... Pojechała kobieta z nabiałem na rynek do Białegostoku, Popławski poszed do lasu, a w domu została sie tylko córka. Wraca ojciec do chaty, a tu córka beczy.

- Zobaczy tatku co krowa wyprawia.

Poszli zobaczyć. Prawda... krowa nie daje do siebie przystępu. I tak i siak...

- Trzeba matki czekać aż wróci z Białegostoku.

Wraca kobieta z targu.

- Trzeba choć na gnój mleko zdoić, bo krowa sie zmarnuje!

Ale do jej nie ma dostępu. Wreszcie przyparł ojciec krowe do płota i matka trochu zdoła. Ale co robić dalej? Wzioł pół flaszki mleka w kieszeń, na rower i hajda do Mostowian... tam była taka staruszka, co odczynia.

Odszukał babke na polu, dał jej to mleko żeb popatrzyła sie... Pomo-dliła sie i coś tam po cichu hauka, hauka... i mówi tak:

- Zajedziesz do domu i przez trzy dni nic nikomu z chaty nie wydawaj, nie pożyczaj. Bo ten człowiek co tobie to zrobił przyjdzie do ciebie coś pożyczyć, żeby na tym czary odprawić. Pamiętaj, nic nie daj, krowa poprawi sie, ale do wycielenia nie da już tyle mleka co dawała. Trzeba jedłowiec święcony, noży, widelce, igły wetknąć w cedziłko i wszystko to gotować. I ten co wam to zrobił, przyjdzie. Będzie jego rznąło i on przyjdzie. Tylko żona zaczęła robić wszystko to co im staruszka kazała, zaraz przyleciał sąsiad.

- Ja cudzego mleka nie chce... mnie jego nie trzeba... ja tylko chciał zobaczyć. Tak siak... Pożyczno mnie cedziłko.

- Ty wiedźmar cholerny! - syn doskoczył prać i rencami macha. - Zare ja tobie dam przetaka.

I tak odeszło. Krowa sie poprawiła. Ale sąsiad, od tych por, niczego nie może dobić sie... ni krowy, ni nic. Jaka kupi, to u jego skapieje.

CC

*cedziłko - przetak, sitko*

### Jak Onożko Rajzmana od prusaków wybawił

Brali Onożke do ruskiej armii... a on sie śmieje, że u jego nie ma ochoty. Przyjechali po jego i drugich, załadowali na fure z sianem. Patrzo, a tu fure ktoś podpalił. Pozeskakiwali i dawaj gasić... a tu szszszach i cały ogień znik. Siano jak było tak jest, a Onożki nie ma. Wracajo do Supraśla, a ten siedzi w chacie pod pieczko i fajke kurzy. Związali jego fest, rzucili na fure i wiozo. Za Krasnem, pod górę konie ledwie ciągną. Spotnieli, piana z ich płatami odpada. Nie dadzo rady ciągnąć. Oglądnęli sie na Onożke... nie ma jego, tylko wielki karcz leży sznurkami obwiązany. Zwalili jego na ziemię, sznurki zabrali i konie ciągną. Oglądnęli sie... a tam, gdzie karcza zwałili, Onożko idzie i ręką do ich macha.



W końcu matka zaczęła jego prosić żeby poszedł do wojska, bo zagrozili, że chacie i grunt na karcie zabioro. Dali jego po trzech latach do Sokółki i często do matki przyjeżdżał. Raz przywiózł ze sobą kolegę i ten w skórzanym sklepie u Rajzmana zelówki ukradł. Zobaczył to Żyd i za wsiarza żołdatę schwycił, krzyku, gwałtu na cało głównie ulice narobił. Przyszedł rotenkomandir, zelówki zabrali, a jego wsadzili do ciupy w Sokółce.

Zaraz też w sklepie Rajzmana pojawiły się prusaki. Z dnia na dzień coraz ich więcej, niszczyły zamszową skórę i safian. Domyślił się Żyd, od czego to się wzięło i pojechał do Sokółki do rotenkomandira na skargę.

- A idź ty człowieku... jak on potrafi tak robić, to jeszcze i mnie co narzuci. Najlepiej ty sam z im załatw.

Zawołał tego Onożkę i Żyd mówi:

- Nu... Ja poproszę wielmożny żołdat... ja zrobię, że twoje kolegi wypuszczą. Tylko ty zabierz ten zły duch, ten prusak. Ja i zelówki, co on wziął dołóżę, ja jeszcze gorzałkę dam... tylko ty idź i zabierz ten prusak.

Pojechał Onożka z Rajzmanem do Supraśla, weszli do sklepu, chodzili, po kątach zaglądał i gwizdał. Jak zaczęły się wszystkie szpar, dziur prusaki i wszelkie inne hadztwo wyłazić, Żyd taki gwałt podniósł, że Onożka musiał jego ze sklepu wyrzucić.

Potem złapał takiego hojnego, największego prusaka i do nóżki dla jego uwiązał nitkę i popędza gałązko, gwizdże i popędza. Naprzód prusak kręcił się w kółko, aż po chwili do drzwi, na ulicę, za im całe te hadkie towarzystwo wyszło ze sklepu. A na ulicy, jak to po deszczu, była wielka kałuża i on to bractwo do kałuży wprowadził i potopił. O jak było.

WZ

*czmonić - czarować  
wsiarż - żołnierz*

### Żuk rajfurem

Był w Talkowszczyźnie wieźmar Żuk. Jego już nie ma... i rodzina jego dawno wyginęła. On co zechciał to miał. Zdechnie jemu krowa... ot ni stąd ni z siąd już ma. Mówili, że dla jego czort pieniędzy nosi i przez komin sypie. Sama ja widziała jak od młyna hołowieszka leci, iskry się sypio... Leci przez majdan i do Żuka w komin. To domowik dla jego hroszy nosi.

I komedie rozmawiał z dziewczynami robił. To te jego tak nienawidzili, że strach... Przyjdzie do jego chłopak, postawi pół litra, bo lubił się napić... i tak:

- Panie Żukowski zrobi, żeb Marianna do mnie przyszła...
- A gdzie chce żeby przyszła?
- Na siano! Do stodoły!
- Idź do chaty... przyjdzie do ciebie na siano.

I przychodzą. Chciały, nie chciały... szły. Baby jego chciały zabić. Raz nawet, na jagodach, przyłapały jego w lesie... w kilka złapały hada, przewróciły na ziemię i trzymają. Nie wiedzą co z im zrobić.

- Baby - mówi Puciłowska Hańdzia - dawajcie zwłeczem z jeho nohawicy niechaj z cynadrami... na wierzchu do chaty wraca.

- Eeeee to małowato... żeb terpentynie mieli - mówi Czabanówna Hela - terpentyno dla jego pacieroby wysmarować, to by dopiero polatał!

- Terpentynie? Toż tam o, w kubeczkach żywicy ciągną, a z jej terpentynie robio... baby, dawajcie dla jego jajca w żywicy wsadzim...

- I w piasek - mściwie dodała Hela - i w piasek. Będzie dla jego lekcze szorować!

A tu naraz... szań... i nie ma Żuka, żnik. Tylko karcza baby w rękach trzymają.

- Tfff! Zgiń przepadni siło nieczysta!

Tylko kobiety odeszły... słysz: - cha, cha, cha, cha. - Oglądneły się, a z karcza nazad Żuk się zrobił. Baby do jego... Ale tak szybko uciekał, że nie poradziły jego dognać.

AF

*hołowieszka - głownia, pochodnia  
nohawicy - spodnie*

### Skąd Żuk wiedział, że na woła wołali Rabiec

Do Żuka to i mój ojciec jeździł. Opowiadał taka historia. Ojca brat w ruskim wojsku piętnaście lat służył. Jak wrócił, to do żeniaczki trochę stary był i ochoty u niego nie było. Razem z ojcem na gospodarce robili i wszystko mieli wspólne. Mieli dwa woły... bo to kiedyś wołami orali. I uradzili, że jednego sprzedadzą. Poprowadził wuj woła do Sokółki na jarmarek i wziął za jego czterdzieści pięć rubli. Na rynku zeszedł się z kolegami i w karczmie trzy ruble przepili... reszta zgubił.

Ojciec dla jego niedowierzał, bo jak to żołnierz lubił pociągnąć gorzałki. Wziął i pojechał do Żuka. Żuk wyszedł przed chatę.

- Oooo... Co tak rano Wilczeski przyjechał.

- Rano?... Żeb ciebie w chacie zastać.

- To co ty tam masz? Z czym przyjechał?

- Z biedo przyjechał.

- Tu każdy z biedo przyjeżdża. Jak tobie powiedzieć? Na węglu i wodzie, czy na karty.

- Na karty.

Żuk rozłożył na stole karty. Po imieniu nazwał cała rodzinę ojca, a nawet krowy, kota i psa.

- Powiem tobie teraz, po co ty przyjechał. To był twój brat. W Sokółce sprzedał Rabca, woła. Wziął za jego czterdzieści pięć rubli. Z tych pieniędzy na obiedzie w karczmie przepił trzy ruble, a resztę jak wyszedł miał przy

sobie. Wyjechał do Woronicza i za Staro Kamionko zgubił. Szli dwa ludzie i znaleźli. Potem naradzali się, oddać czy nie...

Nalał Żuk wody w miske, wyjął z plity dwa węgle, pultnął w wodę i się pyta:

- Chcesz ich widzieć? Chcesz zobaczyć, kto pieniądze znalazł? Ja tobie pokażę.

Ojciec tak się zląk, że nie chciał w misce spojrzeć.

- Panie Żukowski, czy ja chce szatana zobaczyć? A nu jego i z pieniędzmi. Mnie starczy, że brat ich nie wziół i honoru nie stracił.

Dał Żuku jajek... nacisnął czapkę na oczy i pojechał do chaty. **AF**

### **Córki Żuka**

Żuk miał trzy córki. I wszystkie były brzydkie jak zaraza, nieporządne takie i ciągaliby się z chłopami. Jednej tu po sąsiedzku sąsiad zrobił bachurę i się z nią nie ożenił. Dziecko za jakiś czas zmarło, a sąsiad z inno brał ślub. Jak jechali do Szudziałowa do kościoła, to ona wyszła na drogę i na młodą sypnęła ziemię z mogiłki dziecka. To jemu wszystkie dzieci chorowały i umierali. Dojdo wieku bachurę Żuczycy i umierają.

Moja siostra była jej koleżanką. Z jednej równi były i tak dobrze ze sobą żyły. Siostra wyszła za męża i urodziła dziewczynkę. Przyszła ta Żuczycy, popatrzyła i coś się dla dziecka stało, wszystko tak jakby umierało. I jej wyszła do Bohonik... tam był Tatarin i zawieźli ją do jego. Popatrzył się i mówi:

- Tobie to koleżanka zrobiła. Jak będziecie wracać, ona wyjdzie na drogę świnię.

Oni jado. Przed wioską na drogę wychodzi świnię i nie daje jechać. Mąż zeszedł z fury, wziół kółka i palnął ją swinię w nogę i przegnał.

Przyjechali do wioski, dziecko wesole, zdrowe, śmieje się. Patrzcie, idzie ulicą Żuczycy i kuleje.

Te wszystkie córki zeszedły ze świata przed Żukiem. I on po tym, jak jego batami zbili, też umarł. Ale długo umierał. Dopiero jak deski w suficie wyderli, to skonał. Na jego chacie ciągle kruki siedzieli... na inno nie, tylko na Żuka. I ten... pójdzko. Wieczorami siedział i wołał... - pójdz... pójdz. Pójdz, znaczy, na mogiłki. Bo czasem woła powij... powij... to w tej chacie kobieta urodzi. **AP**

### **Cieśla Daszuta**

Był tu bardzo dobry cieśla, Daszuta. Znał sposoby... no znaczy potrafił czmonić. Zrobić mógł każdemu co chciał i każdy, co on chciał, musiał zrobić. Stawili dom w Sokoldzie... ciągnęli podwaliny... a to trzeba uważać żeby kto nie urzekł. A łązi jedna z naszej wsi i cały czas zagląda do nas i zęby suszy. Daszuta mówi:

- No ja dla jej zrobię, że wieniec tu nie przyjdzie!

Patrzył na nią, patrzył i krzyknął: - HUUUUUU! I machnął na nią ręką.

Jak zerwie się wiatr, jak jej spadnice na głowę zakręci... A kiedyś zeszł nic pod spodem nie mieli... tylko tymi, białymi zaświeciła i poleciała do chaty. Wienc się nie pokazała.

Albo znowus siedzim na górze i oczepy zakładamy, a przez podwórka idzie baba z nosilkami. Daszuta się pyta:

- Chłopcy, chcecie widzieć, jak baba nosilki w zębach niesie?

Coś tam poszeptał, poszeptał, machnął ręką. Baba nosilki w zęby i idzie. A pomocnik majstra, taki Mundek się odzywa:

- Iiiiiiii. Co za fokus kiedy wiadra puste.

- No to idź naładuj wiadra wody.

Mundek schodzi na ziemię, zabiera babie nosilki, i niesie do studni. Naciągał wody we wiadra, bierze nosilki w zęby i niesie.

A niech jego cholera... bali się jego. Ale tak tylko komedie takie wyrabiał, a żeby kogo skrzywdził, to nie. No chyba żeby jego zaczepić...

A inne cieśle zajzdrosne byli, że jego biuro do roboty, a ich nie. Jak tam który potrafił czmonić, to paskudził robotę drugiemu. Raz dom przynosili z Łaźniska do Wierchlesia. Poznaczyli sztuki i ściany, rozebrali w kolejności żeby pomyłki nie było, przywieźli do Wierchlesia. Bierzem się składać... nic nie pasuje. Sprawdzili znaki, zgadzają się... no nic nie pasuje. Co i raz któraś sztuka wychodzi krótsza.

- Daj świda... - mówi Daszuta. - Wziół w belce dziurę wywiercił. Zastrugał kołeczka, jakiegoś zielka w dziurę upchał i kołeczkiem zatkał. Odeszedł na stronę i coś tam do siebie pomarmycał, pomarmycał, machnie ręką... jak machnie, to chłopcy kołeczka pobiją. Jak pobiją, to wiatr się robi. Dobijali do końca, to już taki wiał, że ledwo na nogach ustali. Na ostatku Daszuta kołeczka dobił sam, to już tak wiało, że się drzewa do ziemi kłoniły. A z wiatru doleciał krzyk: aauuuuuuuuu! A taki bolesny, że ciarki po plecach poleciały. Na jutro dowiaduję się, że jednego majstra w Kamionce pokręciło.

**SB**

### **Jak Daszuta dał konkurencji żaru**

Było tak... Stawili my dom w Góranach. Zaczęli podwaliny obmierzać. Zarobili węgla... składać bierzem się... a tu podwalina o jakie dziesięć centymetry krótszo się stała. Co robić? Zepsuli materiał. Ale idzie Daszuta i śmieje się:

- Musi po znaku nie z tej strony co potrzeba rzneli?

- Cieli dobrze. O, jeszcze ołówka widać...

- Szedł kto, jak zacinali?

- Szedł... ale jakiś nieznamy.

Daszuta zaczepił do podwaliny łańcucha i ciągnie jego zębami. A pomocnikowi kazał obuchem drugi koniec pobijać. Za jakiś czas leci ten obcy i krzyczy:

- Nie bijcie mnie w plecy! Nie bijcie mnie w plecy.  
- O widzisz jego, jaki mocny.... A czego nam robote paskudzi? - Daszuta wyjął fajkę z ust, żar wysypał na belkę i mówi: - Nie chcesz żeb ciebie po plecach bili?

- Niechaj odrobi, już wienc nie będzie.  
- Pewno, że nie będziesz... ale żeb zapamiętał to dostaniesz po dupie.  
Wziął siekiere i jak nie palnie obuchem w węgielki... Ten zawołał... zawył wilczym głosem, zawiszczął, złapał się za tyłek i poleciał.  
- No... dla jego dosiść. Bedzie miał w portkach ciepło pokąd ich nie zruci.

SB

*zawołał - zawył wilczym głosem*

### Jak Daszuta trafił na swego

Ale raz i Daszute strach obleciał. Szed sobie chłopczyk... ile dla jego było? Może ze czternaście lat. Stanął pod ściano na któro my, samo co, oczepe wciągneli i woła:

- Hej! Majster! Może jaka robota sie dla mnie u was najdzie?  
- Może i by sie naszła... a co potrafi robić?  
- A co zechce.  
- Obciosa sztuke, tam sznar jest na jej.

Majster rzucił dla jego skluta... siekiera wbiła sie w belkę koło nogi chłopaka. Wziół skluta i prowadzi. Wiór odchodzi równo po sznarze... jakby heblował. My robote przerwali i patrzym. Majster dziure wiercił... ale nie wytrzymał i pyta sie.

- Gdzie sie tego nauczył? Tobie musi czort pomagaje?

- Dziadko cieśło byli - zaśmiał sie chłopak - a ja stał na stronie i spoglądał.

Skończył ciosać i odrzucił siekiere na góre. Wbiła sie tuż koło dłoni Daszuty.

- To robi mnie raz dwa czopa.

Chłopak wyjął swojo siekierkę, co jo miał z tyłu za pasem i chlaś, chlaś kołeczka wyciosał i szmyrnoł jego na góre... Popad sie prosto w dziure, co jo Daszuta wywiercił. I to tak głęboko, że jego majster wydostać nie mog.

- O nie... ty ze mno robić nie bedziesz. Masz tu za robote - rzucił mu Daszuta rubla - i idź z Panem Bogiem. Wiem, u jakiego ty dziadka praktykował. Idź swojo drogo.

AP

*sznar - blizna, znak, narysowana linia, do której należy ciosać*

Raz jechało wesele od Trzciannego... Daszuta popatrzył sie za imi i mówi: - Takie młode, piękne ludzi... szkoda, ale życie im sie nie ułoży.

I prawda... Pierwsze dziecko umarło. Drugie dziecko podhodowali... w Stójce utopiło sie. Potem urodził sie im podmianek, a ona po porodzie

długo chorowała i umarła. A jego drzewo w lesie zadusiło. Daszuta miał takie oczy, że widział w przód.

AP

*podmianek - kiedy tojma ukradnie ładne dziecko, a w zamian podłoży swoje*

### Jak Malienda z Daszuto sie probował

Kiedysć Daszuta zeszed sie z drugim cieśło Maliendo w karczmie Profitkina w Talkoszczyźnie. Wypiwali sobie i Malienda, żeb Daszute spróbować, zrobił jego ser czarnym.

- Odrób nazad - mówi Daszuta - bo chce zakąsić.

- A co? Sam nie poradzi? Jak nie poradzi, to odrobie.

Ale peckał, peckał i nic nie poradził... ser jak był czarnym, tak sie i został.

- Nie dam rady. Musi ty co przeciw zrobić - powiedział Malienda i rozłożył ręce na stole. I odraz jemu ręce zdubiel. Jak kłody ciężkie porobili sie. Siedzi, patrzy i wstać nie poradzi. Jakby je kto do stoła przykleił. Przychodzo wszystkie, dziwio sie. I tak pod północ Daszuta mówi:

- Ty człowiek gorszy hada... Chciał ja, żeb ty tak do rana siedział, ale mnie ciebie szkoda zrobiło sie. Jak tu zare obiecasz, że wienc nikomu nic nie zadasz, to ciebie odpuszcze. Malienda przysięgał, że pokąd zycia nikomu nic nie robi i Daszuta jego odrobił.

AP

*zdubiel - zdębiały*

### Wiedźmarz co jakiś czas musi z siebie zło zrzucić

Raz z kumem i Żukiem szli my przez las. I więcej tam ludzi było. Żuk mówi:

- Idźcie przódzi albo zostańcie sie z tyłu... Mnie nie można tera z wami iść. Poszli my przodem i nawet o nic nie pytali.

To blisko Poczopka było, pod tako fajno brzozo... Wracamy już, a brzoza cała żółto stała. Wszystkie listeczki na jej żółtymi zrobili sie.

- O Boże, a co z jej? - krzyknął kum. - To musi jaka nieczysta sprawa?

- Jak by wy ze mno w ten czas byli, to takimi jak ta brzoza by stali.

Na jutro brzoza czarna zrobiła sie jak węgli w ognisku. Na jego taka chwila nachodzi, tak jego czerci męczo, że musi to z siebie zrzucić, musi komu co zrobić.

Raz jak z Krynek jechali furami, to dla jednego z naszej wsi tak zrobił... To tak jego batami schlastali, że z pół duszo w odkosie został.

- Wienc had nikomu nie będzie szkodzić.

Przyjechali my do Talkowszczyzny, a on już w chacie w łózku leży i jęczy. Czerci jego przynieśli i pod chato rzucili. Ludzie bali sie pod jego chate podchodzić. Ale on już po tym długo nie pożył.

AP



## WILKOŁAKI

### Wilcze wesele

*Przemiana weselnego aktu w wilkołaki często powtarza się w opowieściach. Wilkołak z Puszczy Knyszyńskiej nie jest krwiożerczą bestią stworzoną na potrzeby komercyjnej kultury. To raczej postać tragiczna, nieszczęśliwie uwikłany w zemstę albo nieszczęśliwy przypadek. Budzi litość swoim losem. Często jest uczestnikiem wesela, zamienionego przez wiedźmarza w wilkołaki. Najłatwiej mogło się to przytrafić przy pełni księżyca, w południe, albo o północy. To dwie pory doby, w których zło jest najbardziej aktywne i silne.*

*Indywidualnie przed zamianą chronił ząbek czosnku w kieszeni i igła wpięta w kołnierz koszuli. Ale było to niebezpieczne. Zgubienie igły w czasie tańca mogło się skończyć zeszczywnieniem nóg w takiej pozycji, w jakiej one były, gdy igła wypadła z ubrania.*

**Wilkołak...** to takie stworzenie całe pokryte skórą i na dwu nogach, a łeb u jego z jednej strony wilka, a z drugiej człowieka. To wiedźma tak zrobi, jak na kogo ma złość. Wilkołak nie weźmie ani świni, ani owcy. I koń się jego nie boi. On kilka lat będzie chodził w skórze. Tyle na ile jego wiedźma zamówiła. Przed wojno carsko mój brat strzelał do wilka, a zabił dziewczynę.

AK

W Talkowszczyźnie na weselu raz ojciec pana młodego obraził Matyla. Ten wstał zza stoła i zawołał:

- A nu goście padnijcie chwości!... idźcie w las!

I wszystkie, cały akt weselny zamienił w wilki... i polecili w las.

AP

Zamieniony w skórę wilkołaka chodzi pełny rok. Czar traci moc w pierwszą pełnię najbliższą rocznicy przemiany. Chyba, że wiedźma specjalnie zamówi na kilka lat. Zamienieni nie stawali się potworami, nie jedli nawet mięsa, byli godnymi pożałowania stworzeniami. Podkradali się pod ludzkie chałupy żeby ukraść coś do jedzenia. Usiłowali zbliżyć się do ludzi, ale robili to ostrożnie, wiedząc jak silny budzą lęk. Zbliżenie do człowieka dawało wilkołakowi szansę pozbycia się uroku. Wystarczyło żeby ktoś, kto rozpoznał w nim wilkołaka, nie zląkł się i nie uciekł, a wołał do niego po imieniu.

O tak. Przychodzisz do chaty, a tam ktoś chowa się. Albo na podwórku wygląda i chowa się... wygląda i chowa się. To w ten czas tylko odezwać się.

- Ty wilczuk Jaśko, Staśko czy jak tam... Ty nie chowaj się. Wychodź!  
Jak popad w imię, to wyjdzie człowiek. Obłeci z jego skóra i wyjdzie człowiek jak był.

AF

Jedna była przy nadziei i poszła na wesele. Jechali do kościoła w Szudziałowie... A tam po drodze wiedźmar był i on zrobił, że całe wesele wilkołakami stało. I ona też wilkołakiem stała.

Aż przychodzi jej czas i ona chciała urodzić dziecko w domu. Przyszła do chaty i zaczęła wyć pod drzwiami. Jej mąż wyszedł z chaty i go strasznie zbił... tego wilka. Zbił, że wilk zdechł...

Na rano wychodzi i patrzy, leży nieżywa wilczyca, a koło jej tylko co urodzone dziecko. Nie rozumieli, co jest. Jak zaczęli z wilka skórkę obdzierać, to okazało się, że pod jej dziewczyną jest... ta żona jest.

JS

Jak jado na wesele, to dobrze ze sobą wziąć kogoś co umie czmonić, żeby młodym kto czego nie zrobił. I jechało raz wesele przez Staro Kamionkę i na pierwszej furze wieźli młodą. A tam wiedźmar mieszkał... i z nim kto tam z rodziny młodej wadził się. Oni jado... a ten wychylił się z okna i zawołał:

- Udźha! Udźha! Udźha!

Cała fura wilkami stała. Koni i ludzie wszystkie wilkami porobili się, skórkę pozalatali, wilkami porobili się i do lasu, chowają się po krzakach.

Spójrzał na drugą furę i też...

- Udźha!

Ale tam siedział drugi wiedźmar, swat... Rency przed siebie wyciągnął i krzyknął:

- Byyyyyyś! Byś! Byś!

I u tego wiedźmarza bycze rogi wyrosły. Wryli się w futryny i nie może ani w te, ani we w te. Nie może łba z okna dostać. I stoi byś.

- Nu... stać bykiem będziesz - mówi swat - pokąd ich nie odrobisz!

Zaraz młoda z druhami nazad ludźmi porobili się i powyłazili z krzaków.

- Nu... odrobił ty ich sprawiedliwie... ale żeb całkiem sprawiedliwie było, postoi sobie w oknie pokąd my z kościoła nie wrócim się.

OW

Byli takie wiedźmary jak Matylewicz, Panasewicz, co potrafili wesele wilkołakami zrobić. I było tak: W jeden dzień dwu szlub brało i zaczęli sporyć się, kto będzie pierwszy. A chaty stali nos po dwu stronach ulicy.

Jedne siedzą za stołem i drugie. I u jednych mocny wiedźmar w rodzinie, i u drugich. I te i te boją się pierwsze ruszyć. Pokąd siedzą w chacie, jest bezpiecznie.

Ale w końcu jedne ruszyli się. Tylko na ulicę wyjechali, niedźwiedziami i wilkami porobili się i w las. Leco przez wioskę ulicę niedźwiedzi i wilki. Ale młodemu nie dali rady i młody został się... To tak zrobił, że z tamtej chaty młody bykiem stał się. I nikt jego nie dał rady odrobić. Cały dzień siedział byk za stołem, pokąd z Łazien nie przyjechał Matylewicz i nie odrobił.

- Który to napekał? - spytał się Matyl - musi Panasewicz?

A jak! Patrzy, a za studnią chowa się kto... Tylko głowę wystawi i nazad się chowa. Matyl do jego zawołał:

- Ty, Panas. Ty, Anton wychodź i nie chowaj się.

I wyszedł Panasewicz i razem to wszystko co napekał, odrabiali. O, jak było.

SB

### Raz do roku skarb się czyści

Pieniądze w ziemi raz do roku się przeczyszczają. Palą się ogniem w kolorze złota i tak wysokim płomieniem, jak je głęboko zakopano.

W domu, gdzie mama przyszła do męża, byli świekry. Ale źle ze sobą żyli. On ją bił, a ona jego też lała, jak pijany z karczmy do chaty przyszedł. A ten, co od swojej kobiety wziął, na jutro jej oddał. Ciągłe z sinimi oczami chodzili.

I tak targali się całe życie, żeb tylko drugiemu przeciwieć się. Kiedyś przyszedł podpity do mamy i powiedział:

- Ech ty Marysia... ja ciebie bardzo lubię. Wie co? Ja mam dużo pieniędzy i ja dla ich nic nie dam... ty ich sobie po mojej śmierci wykopiesz. Pokazał całą garnuszek złotych rubli, zanios do sadku i zakopał. A to tak robił żeb wszystkie widzieli. Właz na taką wysoką, dziką gruszkę i powiedział:

- Jak ja siedzę wysoko tak wy leżcie głęboko!

Złaził na ziemię, wziął i zleciał. Pobił sobie kręgosłupa i długo już nie pożył, parę dni i pierdnął w jamkę.

Co rodzinka tego złota nie naszukali się, nie nakopali... i nic. Ale mama parę razy widziała jak się ono pali i to tak na jakie dziesięć metry. Raz nawet wryli taką jamę, ale nic w niej nie znaleźli. O, jaki drań jeden był.

AW

### Jak Marianna dostała się spadku

Teściowa Marianny miała w poduszce schowane spore pieniądze, a chora taka była, że już chodzić rady nie dała. Ale spała na tych pieniądzach jakby je ze sobą na tamten świat zabrać chciała. Bo jest niektóre

takie, że umrzeć nie mogo, tak dla ich majątku żal. Męczo sie, męczo... nie umro pokąd nie znajdo sposobu, żeb swoje dobro zabezpieczyć.

Ale słyszy synowa przez ściane, że teściowa wstaje ze ślabanka. Podpatrzyła przez szpary w drzwiach i widzi, że stara idzie do pieczki. Siadła na ziemi i pod kuczo, gdzie zimowo poro kury siedzo, grzebie coś tam i mówi:

- Leżcie tu pieniążki moje, pokąd was moja ręka nie dostanie.

No i zare odłożyła łyżkę, znaczy zmarło sie jej. Odras Marianna z mężem pod kucze szukać... a tam nic. Nie ma pieniędzy... nawet śladu. Pół chaty rozryli i nic.

- Mówiła co, jak je chowała - pyta sie mąż Marianny.

- A coś jakoś tak... żeb leżeli pokąd ich jej ręka nie dostanie.

Zwlekli staro z łóżka, pod piec zaciągneli, bo już na chałtury na marach leżała. I tylko jej ręką grabneli, odras pieniądze dostali. Ale rozeszli sie dla ich tak, że nawet nie wiedzieli, na co wydali. O, jak było...

SB

*chałtury - śpiewy żalobne przy nieboszczyku*

### Jak „Jasiek Beznogi” żono orać

Było tak... Za carskiego czasu pieniądze srebrne i złotne byli. Jaśka „Bez nogi” ojciec wszystko co miał w sadku zakopał i nie powiedział gdzie, tylko tak:

- Pieniądzy nie znajdziesz, pokąd nie wyjdiesz w pole żono orać.

A „Beznogi”... bo kiedyś, jak w lesie robił, noge stracił. Po śmierci ojca szukał Jasiek tych pieniędzy... cały ogród przekopał i nic nie znalazł. Ale jak samemu żyć? Poznał dobro dziewczynne, pokochali sie, pobrali... ale wszystko jego te pieniądze gnębio, a najwienc to co powiedział ojciec - że musi żono orać.

Jednego razu wziół sie na odwagę i powiedział żonie co i jak...

- Choć pójdziem... będziesz pługa ciągać.

I ona poszła, bo bardzo była za im. Tylko wyszli w pole, założyła sie do pługa i pieniądze sie znaleźli. Bo wtedy rodzina żyje dobrze, kiedy wszystkie żyjo dla rodziny.

SB



## O CYGANACH

### Klątwa Cygana

Najela baba Cygana żeb jej siano skosił. Poszed Cygan na łąka, położył sie i usnął. Przynosi baba śniadanie, patrzy sie Cygan, śpi i chrapie tak, aż sie wkoło trawa kołysze.

- Ty! Wstawaj i bierz sie za robota. Ja biedna kobieta i darmożadu płacić nie będę!

- Oj matka... ja ubił sie wczoraj jak Czabanu łąka kosił. Twoja łąka niewielka... dwie godziny koso machać i na wieczór zdążym.

Poszła. Cygan troszke podkosił i znowusz uwalil sie spać. Kobieta przynosi obiad, a tu had dalej śpi. Rozzłościła sie i dawaj jego rugać.

- A ty hadzie przekłety!... to tak pracujesz? Od obiadu do wieczora tako mnie łąke poradzisz skosić?

- Oj matka... niechaj spojrzy, w pięć minut tyle skosił. - I pokazuje to, co tam trochu podgryz.

- Do wieczora zdążym... niechaj sie nie boi.

Pod wieczór przychodzi Cygan do chaty.

- No matka... robote zrobił. Daje hroszy jak było umówione.

- A jak mnie znać, czy ty robote zrobił, czy tylko cyganisz.

- Cyganisz... cyganisz... Widziela, ile w pięć minut zrobił? Pójdzie na pole to zobaczy, że wszystko skosił.

Prawda... jak tyle w pięć minut skosił, to przez te kilka godzin na pewno zrobił wszystko, i zapłaciła Cyganu. Dała jeszcze kolacje, a ten marudzi, że kiepsko zapłate dostał.

- To choć matka wienc sadła do kaszy doda.

- U mnie bieda. Nie ma sadła ani słoniny. A i żeb ty wienc robił jak spał.

Cygan wstał, obtarł gębe rękawem i w drzwiach mówi:

- No to jak tak... to niechaj wam trawa nazad odrośnie!

I poszed. Na jutro baba przychodzi na łąke... i co widzi: trawa nazad rośnie.

- Ot jaka ja durna. Żeb dała Cyganu sadła, to by nie przekłot.

CA

### Chitrość cygańska

Chomczyk z Czabanem wieźli kłody ze zrębu. Na skraju lasu kłocy zwalili i siadli papierosa skręcić. Wyjeli machorke, bibułki... zrobili po skręcie. Czaban skrzesał krzesiwem iskry na pulwers... rozczmuchał żar i przytkneli do jego skręty. Siedzo i kopco. Podchodzi do ich Cygan i mówi:

- Dajcie zakurzyć.

- To sobie zakurz. - Tu Czaban nogo kopnoł pył drogi i zrobił chmure kurzu.

- A co zrobisz - spytał Chomczyk Cygana - jak dam zapalić?

- W kloca właze, do środka.

- Co ty, Cygan? Durny... Myślisz, że i my głupie? Jak w kloca wleziesz?

- No zobaczo... niechaj dadzo dwa złote to przez całego przelaze. Poszperali po kieszeniach i znaleźli groszy na niecałe dwa złote.

- No hroszy jest ... tera Cygan leż w kloca!

Patrz sie... prawda,...- a niech cie cholera, Cygan w kloca włazi, już tylko dla jego tyłek widać.

Samo drogo jechał z sianem sąsiad Malewicz i nie mog przejechać.

- Hej! Dajcie droge! - zawołał - Czego postawali i jak kołowate... czego na Cygana sie gapio?

- Czeka niechaj i patrzy... Cygan w kloca polaz, już tylko jego dupa sterczy. Zare i nóg nie bedzie widać.

- Oj żesz durne wy.... On wam w oczy czmuta puścił i za klocem lezie.

A Cygan zza kloca, do Malewicza:

- Patrzaj frajerze, twoje siano sie pali!

Oglądnoł sie Malewicz... Jasna cholera... fura pali sie. Zlaz... za siekierę i żeb choć konia uratować... ciach, ciach po użwach. Porąbał użwy, patrzy... a fura jak stała tak stoi, żadnego ognia, nawet dymu.

Tera Czaban z Chomczykiem śmieli sie z jego. A za dobry fokus dali Cyganu dwa złote i zapalił machorki tyle co z kieszeni wyskrobali. Cygan sie rozłościł, splunał i poszed swojo drogo.

Przyjeżdżajo do chaty, pojedli, bioro sie zapalić, zaglądato do maszonki, a tam zamiast machorki trawa. O, jaka chitrość cygańska.

AM

### Spowiedź Cygana

Przyszedł Cygan na plebanię. Gospodyni kapustę w kuchni gotowała i wyszła do ogródka po majeranek, a proboszcz samo zaś z pogrzebu wrócił, przyłożył sie spać w sypialni. Zaglądnął Cygan do sieni. Na wieszaku, przy obrazie, wisiała futrzana czapa proboszczca... schował ją za pazuchę. Wsadził głowę do stołowego pokoju, a tam na stole zobaczył zegarek ze złotą dewizką... schował do kieszeni. Patrzy... w kuchni, na płycie kapusta kipi, a z niej wystaje okórek szynki. Wyciągnął szynkę z kapusty, zawinał w ściereczkę i ukrył pod połę. Nikogo nigdzie nie spotkał, więc szybko poszedł do domu.

Minął czas jakiś, ale sumienie, że księdza okradł, nie daje mu spokoju. Żyda w karczmie oszwabiać pół biedy, chłopu co podiwanić to prawie nie grzech, ale żeb osobe duchowno okraść? To jak potem u jego o rozgrze-

szenie prosić. Ciężko Cyganu na duszy, coraz ciężej robiło sie. W końcu któregoś dnia poszedł sie Cygan wyspowiadać.

Mówi pierwszy grzech:

- Zdjąłem czapkę przed obrazem...

- To uważasz za grzech? Tak czynić wypada i należy.

- Wygnałem świnię z kapusty.

- Toś zuch. Na pewno by ci gospodarz podziękował. Ale powiedz, jaki masz grzech?

- Ukradłem.

- No wreszcie... a co ukradłeś?

- Złoty zegarek.

- O, to duży grzech. Aby otrzymać rozgrzeszenie musisz zadośćuczynić i zegarek zwrócić.

- Oddać? - Cygan wyjął zegarek z kieszeni i podał księdzu. - No to proszę.

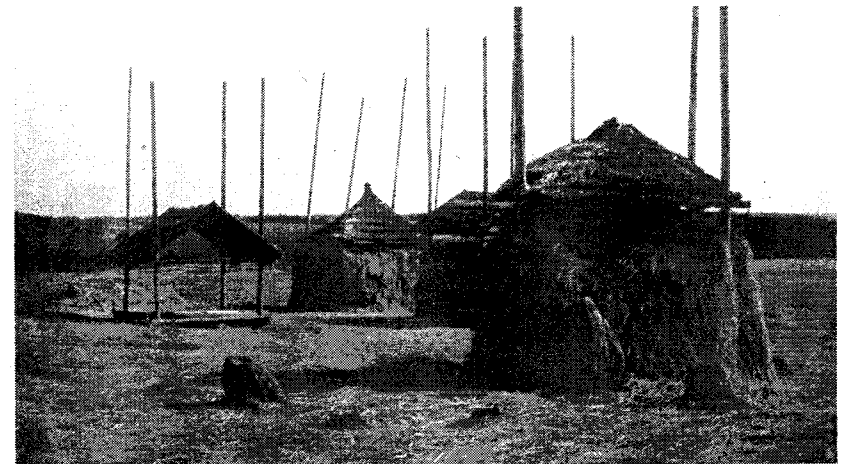
- Nie, nie... - odepchnął ksiądz rękę z zegarkiem. - Nie mnie! Właścicielowi.

- Kiedy właściciel nie chce przyjąć.

- Skoro tak, to go zatrzymaj.

Dał ksiądz rozgrzeszenie Cyganowi i poszedł na plebanię. Po drodze jakiś mu sie przypomniał lament gospodyni, że ktoś szynkę z kapusty ukradł, a do tego zginęła księdza futrzana czapka i złoty zegarek ze stołu w stołowym pokoju.

- No i ocyganił mnie Cygan. Licho tam z zegarkiem, w czapce było zbyt ciepło... ale jak paskudnie było jeść kapustę bez mięsa? AF



Nowosiółki – „Mogiłki” zapomniany unicki cmentarz

# ŻYDZI

## Jak krawiec Jelczyk burkę szył

Żył u nas krawiec Boruch Jelczyk. Przez całą zimę pracował w mieście, w Supraślu. Ale późną wiosną i latem umawiał się z gospodarzami po wsiach. Zawoził do wioski maszynę do szycia i obszywał całą rodzinę. Kiedy skończył u jednych, przenosił się do następnej chaty i tak mu schodziło lato i jesień... w listopadzie wracał do Supraśla.

Tego roku szył burkę dla gospodarza w Łażniach. Kiedy zrobiło się już tak ciemno, że nie dał rady szyć... zjadł, co gospodyni zostawiła na stole w kuchni i poszedł spać na wyszki w chlewie. Wchodzi powoli po drabinie i na ostatnim szczeblu czuje pod ręką coś mokrego. Powąchał i stwierdził... krowie łajno.

- Nu... łajno jak łajno... Ale czego krowa po drabinie łazi i fajda?

Sprawa ta nie dała Boruchowi zasnąć całą noc. Wiercił się na swoim postłaniu i całą noc oka nie zmrzył. Rano nie zszedł na śniadanie, tylko leżał i myślał, jak by tu do rabina w Krynkach pojechać. On na pewno znajdzie odpowiedź na pytanie... jak to może być, żeby krowa po drabinie chodziła?

Dzień już mija, rodzina siada do kolacji. Widzi chłop, że Jelczyk przewał robotę i nie złązi ze strychu. Poszedł do chlewa i woła Żyda na kolację.

- Może Boruch ty chory? - spytał chłop.

- Dawaj Hańdzia - zwrócił się do żony - Arciszewsku poprosim... niechaj poszepecze, poszepecze i lekczej się dla jego stanie. Może wam na żywocie ciężko? Szeptucha i na to ma sposoby.

- Nu, idź ciemny chłopie. Na żywocie ciężko? A kto tobie powiedział, że życie ma być letkie? Nu... a co ty możesz wiedzieć, jak ty ni czytały ni pisaty?

- Coś niecoś wiem.

- Nu jak ty taki mądry to ty mnie powiedz, czemu u ciebie krowa po drabinie na strych łazi paskudzić... aaa?

- Oj Boruch, Boruch... a nie przyszło tobie do głowy, że przódzi drabina stała osranym szczeblem do dołu? Potem ja wziął jo do sadu jabłka rwać i jak narwał zanios nazad do chlewa i postawił osranym szczeblem do góry. Ot i wsio. MB

*burka - wierzchnie okrycie z kapturem i obszernymi rękawami, z grubego sukna samodzielnego spłósnianego w foliuszu, które wkładano na kożuch do długiej jazdy saniami*

## Potargane pieniądze

Był w Szudziałowie Żyd Słowik, handlarz, który skupował wszystko co tylko chłop sprzedać zechciał. Znany był z tego, że potrafił każdego podejść. Mówiono o nim: - Słowik za „potargane pieniądze” wszystko kupi.

A było tak. Po dziesięciu latach służby w wojsku wrócił Czaban Józef do wsi. Na odchodne wypłacono mu żołd i oszczędności w dość pokaźnej kwocie. W Odessie Żydzi zamienili mu złote ruble na papierowe jekatierynki, bo to łatwiej schować przed złodziejem i trudniej zgubić.

Ukrył Józef pieniądze za stodołą. Nawoskował papier, natłuścił szmalt, zapakował do słoja i zakopał w ziemi. Pech chciał, że ryjąca za stodołą świnią coś poczuła. Wygrzebała stój, rozbiła i potargowała cały skarb Józefa. Pozbierał Józef potargane resztki, siadł w kuchni za stołem i jak baba się rozbechał. W tym czasie do drzwi Czabana zapukał Słowik, wszedł i widząc rozpaczającego Józefa spytał, co się przygodziło takiego, że wielki, silny chłop siedzi i płacze. Czaban nic nie powiedział, tylko ręka wskazała na uwalane w gnoju i błocie szczątki fortuny.

Obejrzał Słowik to co się zostało z dziesięcioletniego żołdu i zaproponował, że kupi cały ten gnój, za dziesiątą część jego wartości. I jak Czaban się skrzywił, dodał:

- Nu... panie żołnierzu... czy ja za te „potargane pieniądze” mam dać mój majątek? Czy ja mam odjąć od ust chleb mojemu Mosze, Lejbe, Gitle, Fejge, Fajbel, Celke, Ester, Hawie? Czy ja mam patrzeć jak głodny lata po podwórku Chaim, Ida, Chaja, Jankiel, Szmul? Czy mój Boruch...

- Zgoda, zgoda, zgoda panie Słowik - przerywa Czaban. - Daj mnie dziesiątą część!

- I będzie git, panie żołnierzu?

- Git - zgodził się Czaban.

Słowik przekrzywił głowę i już zaczął żałować, że dał zbyt wysoką cenę. Przyjechał do Szudziałowa, wymył, wysuszył pieniądze... wyprasował elegancko je żelazkiem i takie zawoził do banku w Białymstoku. Tam rozczytali wszystkie ocalałe numery banknotów i zwrócili Słowikowi 80% wartości józefowego żołdu. I byłoby wszystko w porządku gdyby nie Hawa, żona Słowika. Pochwaliła się sąsiadce Lei, jaki to dobry interes zrobił ostatnio jej mąż. No i poszła w świat historia o tym, jak Słowik Czabana oszwa bił.

Od tego czasu kiepsko szły Słowikowe interesy na wioskach. Jak tylko zaproponował cenę, słyszał: - Znowusz Słowik chcesz kupić majątek za „potargane pieniądze”?

MB

*jekatierynki - papierowe ruble*

## Jak Gamza za dwie kopiejki do domu przyjechał

Zdarzyło się, że w Ostrowiu Północnym Boruch Gamza z Szudziałowa kupił furę niemiłoczonej pszenicy i wyprawił z nią syna do domu, a sam został w Ostrowiu. Prawda, że do Szudziałowa niedaleko, ale Żyd, mocno



w latach posunięty, był już bardzo zmęczony, więc zaczął kombinować jak by tu wynająć wóz z furmanem. Wiedział, że wozak zedrze z niego skórę, więc wymyślił, jak podejść chłopu. Pyta się.

- Gospodarzu, czy to wasze kamienie leżą tam pod płotem?
- Moje. A bo co?
- Chcę kupić tan największy, nada mnie się.
- Wiele dacie?
- Wiele chcecie?

Zmarszczył chłop czoło i udaje, że myśli. A tak naprawdę boi się cene powiedzieć, bo Słowik pójdzie do sąsiada i kupi u niego ten sam kamień taniej. Przecież lichy wie, kiedy i kto tą krusznią kamieni usypał.

- A ile on dla was wart? - zapytał chłop chytrze Żyda.
- Nu... ile by wam dać? Może jakie cztery kopiejki?
- Zgoda. Bierzcie jego sobie.
- Nu gospodarzu... cena dobra?
- Niczegowata.

- Nu to dołóż kopiejka, niechaj weźmie konia i zawiezie jego na mój podwórek.

Załadował chłop zakup... siedli na koźle i wiozą kamień do Szudziałowa. Dojeżdżają do chaty Słowika, a ten mówi:

- Nu... wie gospodarzu, mnie on się zdał niesposobnym. Zabierz ty jego sobie nazad.
- A pieniędzy? Wy kupili, zapłacili, a ja przywioz za kopiejke.
- Twoja prawda. Ty mnie oddaj trzy kopiejki. Ja tobie dobawie kopiejke za fatygę.

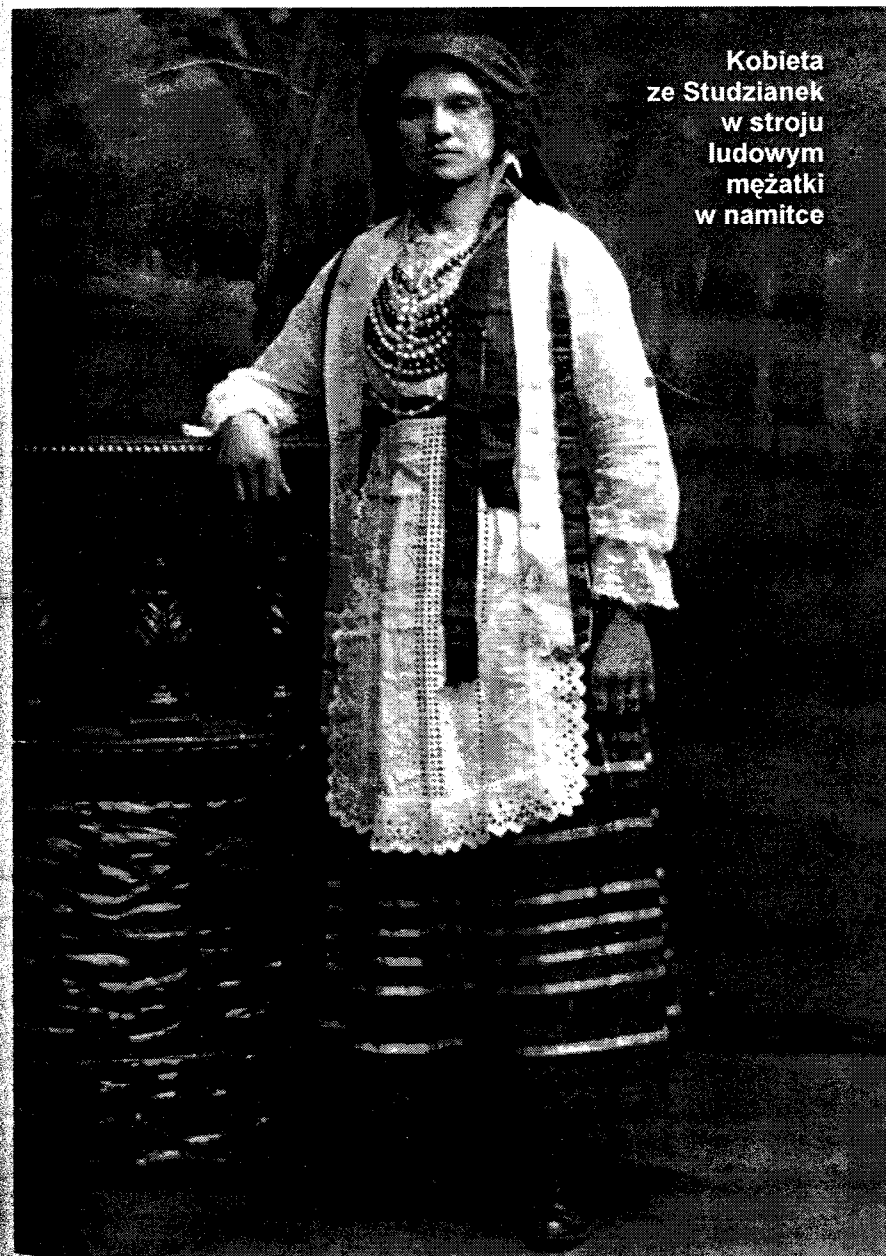
I tak przywióz chłop Gamze z Ostrowia do Szudziałowa za dwie kopiejki.

AK

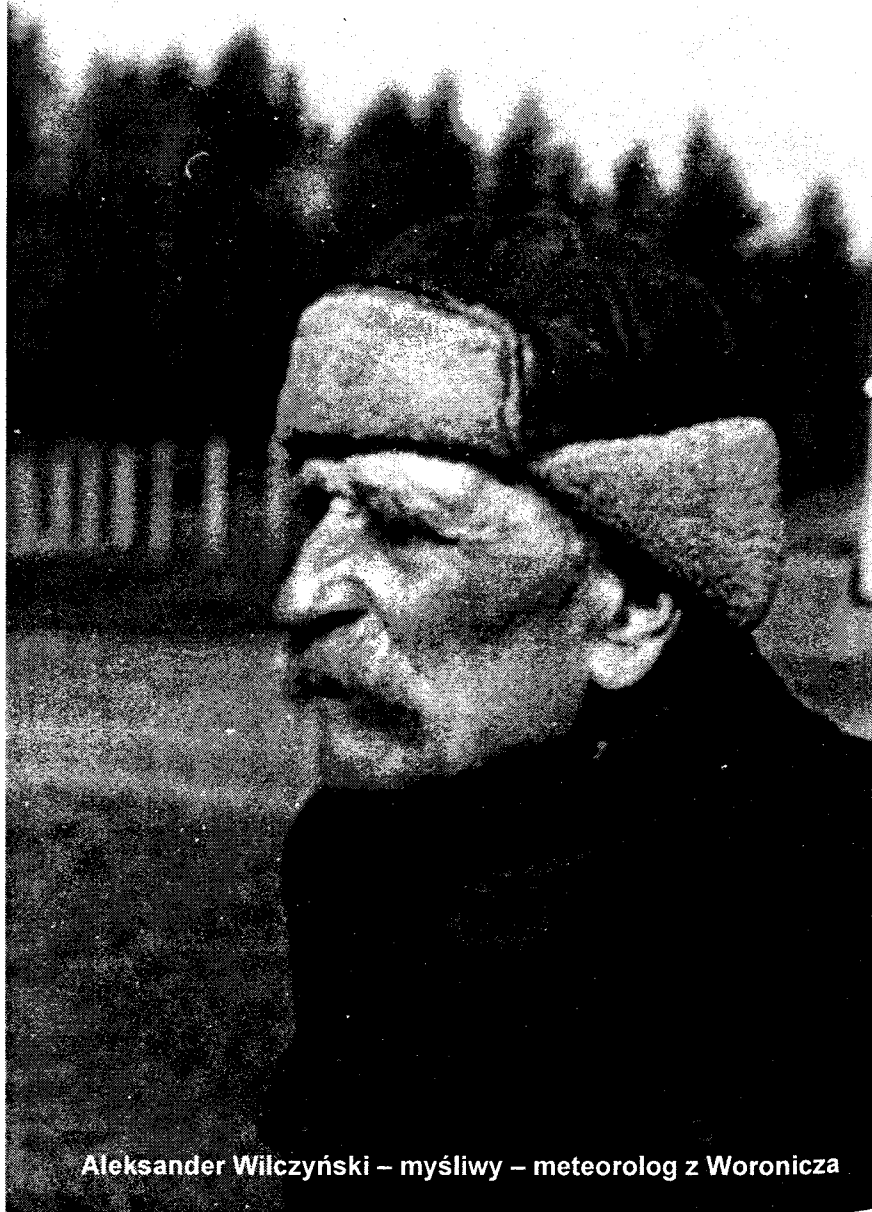
### Jak drwał z Żydem wędrowali

Spotkał w drodze Żyd drwala, obaj wędrowali za pracą. W Talkowszczyźnie na podwórku leżał stos popiłowanych pieńków. Najął się drwał u gospodarza do porąbania. Stanął na szeroko rozstawionych nogach, zamachnął się szeroko i stęknąwszy - uch! - uderzył siekierą. Pieniek rozpadł się na dwa polana, potem znowu na dwa i nim się Żyd obejrzał, drwał porąbał cały stos. Tak to dla drwala lekko i sprytnie szło, że kiedy ruszyli w dal, szo drogę mówi Żyd do niego:

- Nuk... wiesz co? Jak sie nowa robota trafi, to może zróbmy ją we dwóch?
- Dobrze - zgodził się drwał.
- Nu ty mie powiedz... jak ty rąbiesz, to czego ty za każdym uderzeniem stękasz - uch!
- Bo mi lżej.



Kobieta  
ze Studzianek  
w stroju  
ludowym  
mężatki  
w namitce



Aleksander Wilczyński – myśliwy – meteorolog z Woronicza

- To wiesz ty co, zrobimy tak... Ty rąb, a ja będę wołał - uch!  
- Zgoda.

W Pawełkach znaleźli taką robotę i drwał się z nią w mig uwinął. Co drwał podniesie siekierę, to Żyd woła - uch! Przyszło do wypłaty i gospodarz na rękę drwala wysypał monety, a ten schował do kieszeni i nimi zadzwonił.

- Nu drwał... jaka była umowa? Oddaj moja zapłata!

- Ty już swojo odebrał.

- Nu co ty mnie mówisz? To jest gwałt! Czy ja nie uczciwie wołał - uch!

- Prawda, uczciwie ty wołał. Moja była praca... twój był jęk. Pieniądz mój - tu drwał znowu zadzwonił monetami w kieszeni - a twój brzęk.

SB

### Sądna noc Jelczyka

To jeszcze za mikołajewskiego czasu było. W Podsokołdzie karczma trzymał Żyd Jelczyk. Ten dom jak do Podsokołdy od Supraśla wjeżdżać, pierwszy po prawej stronie, to była karczma. Ale starsza karczma, co spaliła się przed pierwszo wojno, stała bliżej lasu.

U Jelczyka był stary, stareńki ojciec. „Muszka” jego nazywali we wsi. Taki chudzieńki... wienc na komara jak na człowieka podobny.

Na „kuczki” Żydzi wierzyli, że to jest „sądna noc” w którą przychodzi szatan i jednego z ich gminy zabiera do piekła... za grzechi całego żydowskiego narodu. W ten dzień ido nad wodę i patrzy - czy ich widać? Jak Żyd nie ma odbicia w wodzie znaczy, że to po jego przyjdzie „chapun” w to noc. I właśnie tego „Muszke” upatrzył sobie diabeł. Porwał z karczmy i zanios w takie trzęsawisko na Imszarze, od tej strony jak z Wierchlesia jechać. Wepchał jego w błoto i tam męczył. Napchał dla jego łoży w usta, w uszy... pozakręcał razem z brodą dookoła głowy... no czysto zaprząg jego jak kobyłę, siadł na jego jak na konia i dalej jeździć. Piętami bodzie jego w boki:

- Nuuuu! Nuuuu! Wioooo! Wio stara szkapo!

Ale co w takim człowieczku siły, tyle co w komaryku. Upad w bagno, a szatan jego dawaj wdeptywać w te karczmy... w te błoto.

Jechali tamej chłopcy z Wierchlesia. Deszcz drobnieńki kurzył. Skulili się na furach, burki na głowy ponaciągali i fajki palo, żeb trochę choć ręce ogrzać. Panas, co w pierwszej furze siedział, miał samogonkę... i choć jej szkodował w duchu, zatrzymał konia, obrócił się do kolegów i zawołał:

- Dawajcie staniem i dla rozgrzewki zrobim po łyczku!

Jak o gorzałke idzie to dwa razy nie trzeba powtarzać. Zeszli się do Panasa. Kto tam co miał, chleb, słonine położyli i czekają. A typy im wiszo jak Siedleckiego kobyłę. No... wypili po łyku, ciepło się po kościach rozchodzić samo zaczęło... a tu z lasu słyhać... ktoś jęczy.

- Aj waj! Aj waj! Ajajaj! Ajajaj! Aj waj, waj, waj!

Popatrzyli po sobie. - Iść... nie iść? Coż tam wyrabia się? Człowieku coś jest... Człowiek pomocy woła.

Wypili jeszcze na odwagę, wzięli baty... A baty kiedyś byli takie, że jak im lańiesz, to skóra na plecach popuści.

Podchodzo powoli... a Żyd już nie krzyczy tylko cicho jęczy... nad im diabeł stoi wielki jak budynek i chwoszcze tego „Muszke” jak konia.

- O zesz ty!... Chłopczy przeżegnali się i jak nie zaczęto kropić czorta batami i wołać:

- W imie Boże! W imie Boże!

Był z imi Pucitowski z Talkowszczyzny... A miał tako rękę do bata, że muche do ściany przylepiał na trzy metry od jej stojąc. Ten, za którymś razem, trafił szatana w oko. Zabłyzczało się, oko wyleciało i upadło. Szum poszedł po lesie, tylko leszczyna gięła się do ziemi, gdzie czort uciekał. Panna schylił się, podnios, patrzy a to złoty pieniądz. Rzucił jego w błoto.

- Oj dumny... Takie pieniądze zmarnować.

- A mnie diabelskie hroszy na co? A nu jego... żeb się potem od szatana odczepić nie mog? Chcesz to weź i grzeb, może i najdziesz.

Patrzy, a pieniądz błyszcz na błocie, nie utonął... Jakoś nikt się jego wyjąć nie śpieszył. Wyciągnęli Żyda z bagna. Boże mój... zbity do niepoznania.

Przywieźli jego do karczmy na Podsokółdzie... Jelczyk syn z radości cały rok im wódkę za ojca stawiał. Ale i tak w rok później „Muszka” przepad bez śladu. Wyszed do lasu i nie wrócił.

JK

### Kupiec wezwany przez zmarłego na sąd rabinacki

W Talkowszczyźnie karczmarz Lejzor Profitkin, jak zarazy, jak wie-przowiny nie znośił karczmarza Naftalego Glazera z Krynek. Tak mu swą obecnością na tym parszywym świecie Naftali nadojadł, że postanowił go wyprawić do świata lepszego... samemu pozostając na tym gorszym. Udał się więc do Ostrowia, gdzie za 500 zł wynajął znanego rzeźmieszka „Kiszkę”. „Kiszka”, zgodził się na udział w tym miłosiernym uczynku. Ale gdy w karczmie Glazera napił się gorzałki, wypaplał wszystko karczmarzowi.

Naftali najpierw przeraził się nie na żarty. Postawił rzeźmieszkowi jeden, drugi, trzeci kruczek wódki. Po szóstym kieliszku i obietnicy hojnej nagrody „Kiszka” zgodził się powiedzieć Profitkinowi, że zamówienie wykonał i że Glazer jest zimny trup pogrzebany przy drodze z Krynek do Ostrowia.

Jeszcze tego dnia Naftali poszedł do rabina i wszystko mu opowiedział. Rabin wysłał do Talkowszczyzny posłańca z kartką, na której napisał, że Glazer wzywa Profitkina na sąd rabinacki.

W krótkim czasie przed dom rabina zajeżdża bryczka z przerażonym Profitkinem. A gdy mu rabin zakomunikował, że to naprawdę duch karcz-

marza z Krynek wzywa go na świadczenie prawdy... o mało nie zakończył żywota. Ze strachu tak się trząś, tak zaczęło nim rzucać po izbie, że nie dali rady go zatrzymać. A tak się zaykał, że nie mógł z siebie wydusić słowa. A gdy zza drzwi dobiegł go głos Glazera:

- Lejzor... nu co ja ciebie winien, co ja ciebie zrobił, że ty mnie „Kiszce” zgładzić kazał?! - Profitkin znieruchomiał pośrodku izby i osunął się na podłogę. Rabin ukląkł, przyłożył ucho do piersi Lejzora i z uśmiechem stwierdził:

- Żyje stary łobuz... nawet się dobrze ma.

Ale nie była to cała prawda. Zawieziono go do szpitala żydowskiego w Białymstoku, w którym leczyli go przez miesiąc i odesłali do domu. Karcznię dalej poprowadził najstarszy syn Profitkina, Aron. A starego Lejzora widzieli, jak czasem snuł się gościńcem z Krynek do Ostrowia i patykami kopał dziury przy drodze.

AP



Dziewczyny z Jeziora

## Przechodzący człowiek

### Jak przechodzący człowiek czmuta w oczy puszczał

Było tak. Do Żukowskiego chaty przyszedł przechodzący człowiek i zanocował. Zjedli kolacje i zaczęli gadać. Bo nikt tyle świata nie widział co taki przechodzący. Opowiadał o duchach i upiorach, zrobiło straszno. A żeby zrobiło się wesoło, kazał z sieni przynieść beczkę i postawić w kuchni, przy płicie. Zrobie, że sie w beczce będą Żydzi bili. Coś nad ję poszeptał, coś poczmoniał... Jak sie zaczęło z beczki dobywać głosy... no Żydzi sie klóco... Ale bali sie zaglądnąć. Z kubka luchnął na chatę wodą. Pełna kuchnia wody zrobiła sie... na stolki, na ławy włożyło. Spod plity wziął połano, rzucił na stół. Po stole węży sie wijo. Ciotka wiszczy jakby ję kto ze skóry łupił. A tu z pieczki zeskoczył Cygan i w korycie do sieni płynie. Aż wujaszek zaczął ję prosić żeb przestał. Ten klasnął w ręce i wszystko stało jak było, tylko na podłodze błyszcząca plama wody z kubka.

JK

### Człowiek ze świata

Kiedys dużo było takich przechodzących ludzi, dziady proszalne, Cygany, Wiengry. Za niedalekiej pamięci i niedźwiedzie na łańcuchu prowadzali. Każę niedźwiedziu tańcować i niedźwiedź tancuje. Wiengry to byli od żywiny specjalisty, głównie te... byczki czyścili. Byczka dłono w kark uderzy i ten stoi ani drygnie. Jajka dla jęgo wyrznie, da ręko po karku i byczek idzie. Znaczy... już nie byczek... a wół. To znouwusz te co pijawki stawili. Pokąd do chaty wejdzie już na ulicy woła:

*Pija... pija... pijawki!  
W niebie biją dzwony  
Niech będzie  
Chrystus pozdrowiony!  
Za króla Sasa  
pełno było mięsa  
A za pruskiego  
nie stało konskiego.*

I tam gadał, gadał, gadał. Stawił pijawki na bolące miejsce... zła krew odciągnę i przestaje boleć. Potem siadał za stół i gadał, gadał... jadł i gadał. To był człowiek ze świata i tyle naopowiadał, że straszno było spać iść.

WP

### Zaparte drzwi od uroku nie chronio

Raz szedł taki przechodzący człowiek. Może i niestary, bo w łachach wszystkie paskudne sie zdajo. A takiego odprawić z niczym to strach... bali sie, że za sobo dostatek pociągnie. No to tam choć jajko, czy kromke chleba trzeba i idź z Panem Bogiem.

Ale ten miał takie nieprzyjemne oczy. Dali jemu słoniny i poszedł. A tu po sąsiedzku Szymczycha była... zobaczyła dziada i dzyg, dzyg do chaty i zamknęła sie. Dziad do ję zaszed i stuka w drzwi, bo widział jak sie zamknęła. A ta nic... udaje, że ję nie ma. Postukał, postukał kosturem i poszedł. Za jakiś czas - słyszym - ta w chacie jęczy, no wprost wyje. Krosty ję swędzące sie porobili... porozdrapywała... krew sie leje. Mąż ję do Sokółki woził do lekarza i potem do takiego, co zamawia.

- Klóciła sie z kim? - pyta szeptun.

- Nie, tylko dziad jakiś chodził... zamknęła sie od jęgo i od tych por ję tak robi sie.

- Nic ję nie będzie - mówi szeptun - to letko zrobione. Koński szczaw co po rowach rośnie parzyć i tym zmywać. I przeszło dla ję, tylko dzioby sie na zawsze zostali... jak po ospie.

AP

### Źle języka za zębami nie trzymać

Zachodzi do jednej przechodzący człowiek i prosi sie przenocować. A ona przy nadziei... samo „babka” na świat dzieciaka sprowadzić sie spodziewa i odprawiła dziada do swojej chaty po sąsiedzku i on sie tam został. Jak odchodził, w drzwiach powiedział do „babki”, niechaj spojrzy w okno i powie... co tam widzi?

Wraca babka do chaty i ten przechodzący pyta sie:

- Co widziała w oknie?

- Ksionżki i wszystko takie nabożne.

- A co przyjęła?

- Chłopca.

- To będzie duchownik.

A tu znouwusz w okno stukajo, do rodzącej proszo jechać.

- Niech jedzie... i też spojrzy w okno.

Wróciła i ten ję pyta:

- Co widziała?

- Sochi, brony...

- To będzie rolnik.

Ale znouwusz zajeżdżajo konie. W Wierzchlesiu kobieta rodzi!... babka potrzebna. Wraca i mówi co widziała:

- Kosy, noży, siekiery.

- Tego nikomu nie może mówić... to będzie zabójca.

Nikomiu nic nie powiedziała. Ale wiadomo, niech się babie tylko okazja trafi... Zeszły się wszystkie na pielenu upraw w lesie i siadły obiad zjeść. Wszystkie z dziećmi, bo nie miały komu zostawić. Babka opowiedziała im o dziadzie i o tym co on jej w oknach pokazał:

- Twój, Olesia, będzie duchownik. Twój Hańdzia - rolnik. Ale twój Jasia,... oj biedna ty biedna! Twój będzie zabójca.

Ta wracała do chaty, po drodze dziecka udusiła.

- Jak ma być zabójca, to lepiej żeb nie żył.

Udusiła i schowała jego pod krusznio kamieni, a w chacie powiedziała, że łojma dziecko zabrała, jak je na skraju lasu w płachcie na drzewie powiesiła. Za jakiś czas szła tamtędy babka i siadła na kamieniach odpocząć. Przypomniał się jej ten przechodzący człowiek. Usłyszała jego głos:

- A co ja tobie mówił? Żle języka za zębami nie trzymać.

Ziemia się roztorzyła i baba poleciała w to dziure. Tera... jak iść tamtędy wieczorem, słyhać płacz dziecka i starej kobiety. **SB**

### **Pięć złote to nie dziesięć**

W Talkowszczyźnie nad Stójko stał młyn. Do młynarza przychodził obtagany człowiek i tak mówi od razu:

- Daj mnie pięć złote.

- Zdurniał ty? Won mnie na podwórek!

- Daj mnie pięć złote, tobie opłaci się.

A pięć złotych przed wojną to kawał grosza było...

- Wie ile się narobić, wiele potu wylać, żeb kto dał pięć złote - rozłóścił się młynarz. - Ty skurczybyku myślisz, że mnie złotych z dachu spadało? Na drzewie jak jabka rosło!... A może moja stara w ogródku jak cebule sadzi? Na... tam stoi motyczka, bierz ją i sobie nakopaj!

- Nie dasz pięć złote, to dasz więcej.

- Poszed cholero bo Cygana z fańcucha puszcze! - nie na żarty rozłóścił się młynarz.

- No to patrzaj co będzie... - powiedział obszarpaniec i odeszed.

A samo woda nie szła na koło, kamienie stali i nie mielili. A tu naraz cały młyn chodzić zaczął jakby duża woda szła. Kamienie tak się obracać zaczęły, że zdawało się młynarzowi... jeszcze chwila, a z leży wyskoczą i cały budynek rozbiją. Wyleciał za dziadem, dał mu dziesięć złotych i od razu wszystko ustało.

- A co, mówił, że opłaci się? **SB**

### **Znowusz polecisz jak zawoła**

Była panna w Łażniach... Gienia. Ładna dziewczyna, jak to młoda, wysoka, postawna, no po prostu obrazek nie człowiek. Umiała chłopaków nawinać na palec i chodzili koło jej jak chciała.

Czy to który zemścić się chciał i podłcił przechodzącego człowieka... Ale było tak. Zeszły się raz na kądzieli dziewczyny z całej wioski. Wesoło w kuchni, pod plito ogień trzeszczy, kołowrotki furkoczo... a tu wchodzi jakiś nieznajomy i fert, fert, fert palcem z kołowrotek sznurki pozrucał. Stał koło tej Gieni, w oczy popatrzył i poszed do gospodarza do białej izby. Tam pogadali coś - do widzenia - i poszed.

A Gienia przęśliwe odkręciła, wstała, złożyła fartuszka i biegom za im.

- Gienia! - wołają za ją. - Gienia, ty oszalała?! Wracaj!

A ona za im aż za wieś. My za ją. A ten przechodzący oglądnał się i mówi.

- Wienc nie dokuczaj chłopcom, bo drugim razem rozdziejesz się i na golasa do wioski wrócisz. A tera przekręć fartuszka z przodu na tył.

A ta stoi jak słup i gapi się na jego.

- Przewiąż fartuszka na tył.

Podbiegły my do jej, przewięzały fartuszek. Zrobiła się czerwona jak wieczorne słonko i biegom do chaty. A ten za ją krzyknoł.

- Pamiętaj! Nie dokuczaj wienc chłopcom, bo znowusz polecisz, jak zawołam! **TM**

### **Śmierć proszalnego dziada**

Chodził dziad po proszonym i jak to dziad, nie miał nic prócz torby i kija. Kij był duży, od ziemi grubszy i ciężki, a od góry cieńszy i zagięty. Przyszed do Kisiela na Brzozówce i poprosił o nocleg. Kiedyś inne ludzie byli, nie pytali się dokumentów ni nic. Położyli go spać na piecu. Rano wstają, a on nieżywy. Gospodarz pobożny człowiek był, bo kiedyś ludzie bali się Pana Boga, poszed do księdza Głodonia i pyta się.

- Co mnie robić? Przyszed do mnie człowiek po proszonym i został się na noc. Na ranku patrze się... nieżywy na pieczie leży. Co mnie robić? Ja dla siebie ledwie na trumne mam.

- A miał co ze sobą? - pyta ksiądz.

- Nic nie miał, tylko jak to dziad, pusta torba i kij. Ciężki i gruby kostur.

- Ciężki kostur, mówisz... A czego on ciężki? Weź i rozrąb jego.

Przyszed do chaty, kija rozrąbał... a tu jak się złote pieniądze sypno... W kiju była dziura i utkane w ją ruskie czerwienicy. Poszed do księdza znowusz i mówi.

- Księżę proboszczu, w kosturze wielkie pieniądze znaszed.

- Teraz kochany kup wszystko co do pogrzebu potrzebne. Kup jak najdroższe ubranie, trumne, żeb jak najwienc wydać, zrób stype i pochowaj tego człowieka jak się należy. A co się zostanie, to przyjdź do mnie.

Po pogrzebie podchodzi do księdza i mówi:

- Zostało jeszcze trochu. Wszystkiego nie wydał. Nie było jak...

- Tak. No to teraz kup wieprza i co tam do karmienia potrzeba. Karmi jego aż wszystkie pieniądze przeje. Tylko nic dla jego ze swojego nie dawaj. Pamiętaj, nic dla jego, co twoje. I nic co jego dla siebie nie weź.

Kupił on tego wieprza, wykarmił. Upas tak, że ledwie wstawał. Aż pie- między całe wyszli... wtedy poszed do proboszcza. Miał nadzieję, że teraz zabiję i jak to po świniobiciu, zdrowo pojedzo... A tu ksiądz mówi:

- Idź do wieprza i powiedz - chodź pójdziem w droge, już czas.

- Po co mnie ta bieda? - pomyślał Kisiel jak do chaty się wrócił. Ale co miał robić? Poszed do chlewa i zaprasza wieprza: - Chodź... pójdziem w droga. - Powiedział i wyszed z chlewa. Wieprz za im, do bramy i Brzo- zówko, aż za Uciekaj. A tam na końcu ulicy, tak pod las, był murowany, kamienny sklep, piwnica. Kiedyś tam karczma stała. Wieprz prosto w ten sklep włązi... w ta piwnica.

A tam stoi ten dziad co umar i zaczynają ze sobo walczyć. Ten tego wali, ten tego wali... Ten tego wali, ten tego wali... aż wpadli w piwnica i od raz cicho stało się. Wszystko przepadło, nawet ta piwnica znikła.

Wrócił się gospodarz do chaty, rozpalil pieczkę, bo się na dworze ziąb zrobił i do siebie mówi:

- Ot ile dobra daremnie spaskudził. Takiego wieprza uhadował i nawet z jego skwarki pożytku nie miał. Tera sam nie mam co zreć. Ale patrzy się, a tu pod pieczko coś błyszczący. Węgielek, nie węgielek? Schylił się... złota pięcioróblówka pod pieczko leży. Jak rozrąbał kostura, to jeden pieniążek musiał tamęj zatoczyć się. Strach jego wziół, żeb co paskudne z tych sza- tańskich pieniędzy nie wyszło.

Popędził do księdza Głodonia i na Msze Święto za dusze dziada dał. Wraca do chaty, patrzy się... a pod pieczko znowusz te paskudne pięć rubli leży. Do końca jego życia w domu dla ich pieniędzy nie brakło. A i dziś, te co na tym miejscu żyjo, nie upracujo się, a majo... i dobrze żyjo. Chate ma- jo nowo, ale pieczka w jej stara stoi.

TM

### Jak jeden w karczmie w Krasnem nocował

Postawił Żyd Samuk karczmę w Krasnem. Pierwszy na nocleg zjawil się stary żebrak. Karczmarz podejrzewając, że nie będzie miał czym zapa- cić przegnał go przed nocą. Dziad odchodząc powiedział:

- Niechaj w tej karczmie tylko jeden zanocuje!

Karczmarz kładł się spać i myślał - co ma znaczyć... jeden zanocuje? Tylko północ nadeszła... jak na strychu coś nie zacznie wyrabiać... jakby tam konie brykały i krzyczy:

- Waluuuuu! Waluuuuu!

Karczma jak dzwon nowa, duża, a przyjdzie noc... żyć nie idzie, tak czarci szaleją. I cała rodzina dalej mieszka w starej, ciasnej chacie.

Akurat Piłsudski gnał bolszewika spod Warszawy i legionisci uwolnili Białystok od czerwonej zarazy. W Krasnem i stanął oddział porucznika Bar- tosiewicza. Kwatermistrz rozprowadzał żołnierzy po kwaterek.

Przyszli do chaty Samuka. Karczmarz wyszedł przed próg i mówi:

- Panie oficeru, u nas kwatere? My sze same... - tu pokazał na sporą gromadkę dzieciaków tłoczącą się w głębi sieni - ledwie w domu pomiesz- czamy, ale tam... - pokazał palcem na stojącą pod lasem nową karczmę - sze pomieści sporo. Nu... tylko tam sze nie da spać. Tam na kwatere sze wprowadził jeden taki... z całą kompanią.

- No to go wykwaterujemy. Gdzie on jest?

- Uj... panie żołnierz, jego nie trzeba szukać... on przyjdzie w środek nocy... bo przyjść musi... a jak musi to przyjdzie... A jak on przyjdzie, to panowie żołnierze same sze na podwórek spać wynioso...

- Co to za gość, że tak się go boisz, Żydzie?

- Ciśś... sza... - tu karczmarz ściszył głos i rozglądając się trwożliwie dodał - panie żołnierz... jego imie jest niewymowne. Jak je powiedzieć w zły czas... i jak on polubi tego co imie jego powiedział... to on tego nawet na tamtym świecie nie opuści.

- Oj, Lejbe - wtrąciła się żona - ty mów panom oficerom ludzkim języ- kiem! Czerci się nam zaprowadzili i noco tak paskudnie grasujo, że nikt nie da rady wytrzymać - wyjaśniła.

- Mów, że dybuk ci się wprowadził? - zaśmiał się oficer. - Poradziliśmy sobie z czerwonym to i czarnemu diabłu radę damy.

- Samuk na słowo „dymbuk” najpierw zatkał uszy, a potem szeroko roz- łozonymi dłońmi zaczął zaganiać dzieciarnię do chaty.

Tuż przed północą zaczęły się hałasy, jakby kto beczki po strychu ta- czał, jakby tabun koni zerwał się do biegu i cwałował po łące. Starszy, siwo- włosy legionista wszedł po drabinie na górę, ale nic tam nie zobaczył. Wziął siodło i wychodząc z karczmy powiedział:

- Nic tam nie ma. Ale w chacie nie idzie wytrzymać, bo duszno... wołę spać na dworzu.

Zaraz drugiemu, trzeciemu zrobiło się duszno...

- Duszno wam łajzy batalionowe? - odzywa się jeden, który do wyjścia się nie kwapił. - Cykora macie... Wojsko się spietrało, aż się zesrało? Za- kład o tytuń, że do rana wysiedze!

Wychodząc rzucali swoje maszonki z tytoniem na stół przed chełpli- wcem i wynosili się z karczmy.

Ranek był chłodny. Mgły od stawu zasnuwały świat różowym oparem. W karczmie panowała zatrwająca cisza. Legionisci wchodzą... a tamten oparł głowę o stół i spi... a tytuń ktoś rozsypał po całym stole. Tracony w ramię osunął się na podłogę... był zimny.

Porucznik stracił dobrego żołnierza. Zaczął nawet podejrzewać karcz- marza, ale ten przysięgał na głowy swych dziesięciu dzieciaków, że nie ma z tym nic wspólnego. Porucznik nie całkiem uwierzył, ale powiedział, że drugą noc sam zanocuje w karczmie.

- Ale... - zastrzegł się Żydowi - jak dożyję rana, dasz moim żołnierzom wieprza.

- Nu - zastanowił się karczmarz - nu dam, tylko jak, z przeproszeniem, pan oficer ranka nie doczeka... to co z tego Lejbe Samuk będzie miał? Tylko kłopot...

- Masz zegarek... starczy?

Żyd rękę wyciągnął i czeka.

- Co jeszcze?

- Nu... zegarek. Jak on panu poruczniku.... tfu, tfu,... co nie daj Panie Boże, szyja skręci... to tu powstanie taki gwałt, taki tumult, że ten zegarek, co jego wystaje z kieszeni pana porucznika... nie powie, że on jest Lejbe Samuka.

Bartosiewicz wyjął zegarek i włożył do ręki karczmarza. Wieczorna czerń tak zgęstniała, że światło fanarka z trudem rozpraszało mrok i wszyscy udali się na spoczynek, tam gdzie któremu spać wypadło.

Siadł na ławie za stół, odpasał szablę, postawił między kolanami, wsparł na głowni dłoń, oparł na nich czoło, oczy zmrużył i usnął snem czuwającego zająca. Śni się mu, że czterech brodatych starozakonnych szarpie go za mundur i wszyscy chcą od niego zegarek.

Otworzył oczy, patrzy, nic nie widzi, ale kłótnie słyszy. Słyszy, że czarci się o jego duszę spierają. - A niech tam sobie wrzeszczą - pomyślał, czoło z powrotem na rękach oparł i usnął. Czarci tak się kłócili, tak wrzeszczeli, że pobudzili żołnierzy na podwórku.

- Co się tam dzieje?

- Czerci waszego porucznika kończą - wytłumaczył hałasy Samuk i wyjął z kieszeni zegarek, żeby nacieszyć oko. Porwali się żołnierze z pięściami do Żyda, ale stary sierżant ich powstrzymał.

- Zaraz, zaraz chłopaki. Co się karczmarza czepiacie? A z czym on na czorta poszedł? Z fajką i maszonką tytoniu? Szablę miał?

- Miał.

- A wiecie, co ma wypisane na szabli... dewizę rodu Bartosiewiczów...  
**W OBRONIE PANA.**

- Eeeee... na czorta trzeba srebrno kule w święconej wodzie studzono... a nie te nasze ruszta - powiedział legionista spod Sokółki, patrząc na szablę, które kilku wiarusów wyjęło z pochew i trzymało oparte o ziemię.

- Póki co to nasz porucznik radę sobie daje - przerwał sierżant.

- Prawda. Żeby jego kończyli to by nie było takiej draki, a tam jak we młynie, żydowskiej szkole i na jarmarku naraz.

Tymczasem na śpiącego kamiennym snem porucznika z powąły prochy się sypią. Nastąpiła cisza. Porucznik od tej cichości ocknął się, podniósł głowę i nasłuchuje. Naraz ciszę rozdarł przeraźliwy głos:

- Walu, walu, walu!

- Wali, jak taka twoja wola! - powiedział porucznik, wyjął z kieszeni fajkę, krzesiwo i pulwers, zgarnął rozsypany na stole tytoń i upychał w cybuch.

- Walu, walu ręką! - znowu drze się ten na górze.

- Wali... ma' twój frak!

Z góry na stół spadła ręka w grubej, skórzanej rękawicy... Kurczy się i otwiera. A co się ręka otworzy, to złoty pieniądz się po stole toczy. Żołnierze cybuchem zepchną ją na podłogę, skrzesał krzesiwem iskrę, rozdmuchał ją na pulwersie i zapalił. Dym rozszedł się po izbie... A tu z góry znowu:

- Walu, walu, walu noga!

- A wali, mówię ja tobie! Wali durniu jeden!

Z góry spadła noga w bucie z cholewą i skacze po chacie. Porucznik spokojnie pociągnął z fajki raz drugi i zawołał:

- Hej! Durniu, jak będziesz rzucał głowę... to pamiętaj żeby była w czubaryckiej czapce z gwiazdą!

Na strychu spierano się o coś. A potem spadła na stół sakiewka pełna starych złotych monet. Porucznik położył żarzącą się lulkę obok złotych monet. Wyjął z pochwy szablę i zza ucha ciął kuszący mieszek. Czerci na górze zawyli straszynym głosem i sypiąc snopami iskier wylecieli kominem.

Od drzwi pociągnęło wiatrem tak, że żar z fajki spadł w rozsypane przez żołnierzy do spania siano.

Spaliła się nowa karczma. Dziś... jak jechać z Supraśla do Białegostoku, na skraju lasu, po lewej stronie widoczne są fundamenty traktierni, w której „tylko jeden zanocował”...

AM

## Dusze pokutujące

W Wierchlesiu, tu po sąsiedzku, żył dziad z babo. I żadne w tym dziwo.. żeb nie byli takie skąpe, że drugich na ich podobieństwo po całym świecie daremnie by szukać. Takie skrepcy, takie skrobidupy... spod siebie by zjedli, żeb nie śmierdziało. Wszystko do siebie gartali. A żeb jaki przechodzący człowiek wody dostał albo dziad proszalny chleba? Nie! Nic nikomu nawet nie pożyczali.

Aż jednego dnia zmarło sie im... grabarz dał im łopato po zadku i razem odłożyli łyżki. W Łażnisku mówili: - w jeden czas ze światu zesłzi, żeb ich taniej w jednej trunie pochowali.

Na bogatej gospodarce został się syn, jedynek. Ale jakiś wyrodek... całkiem do rodziców niepodobny. Drzwi chaty u jego otworem stali i nikt od proggu głodny nie odeszedł.

Raz drogo do Supraśla na odpust szło dwanaście dziadów proszalnych i zaszli do tego jedynaka na podwórek. Ten zaprosił ich do chaty, na stół postawił co miał w komorze... nakarmił, napoił. Siedzieli jeszcze za stołem... a tu spod kuczy wychodzo dwa węży i na ogonach, przez cało izbe, kamień włoko. Dziady popatrzyły na siebie i pytajo najdosjniejszego... co za stołem na poku'tu siedział:

- A coż to za fokusy, panie, te węży?

- To rodzice gospodarza - odpowiedział najdostojniejszy - za to, że byli nieużyte i paskudne dla rodziny i sąsiadów, tera tak pokutują. A tobie - odwrócił się do gospodarza - za to, że jesteś inny, żeś nas godnie nakarmił i napoił, jak przyjdzie pora, przyślę po ciebie białego konia. Nie bój się jego. Śmiało na niego siądź i niechaj ciebie wiezie. On wie gdzie... zawiezie ciebie gdzie trzeba.

Któregoś ranka pod oknem zarżał koń. Chłopak siadł na jego i jada. Zatrzymali się koście rozprostować... patrzą... a tu po zielonej łące w trawie do pół boków, chodzą tłuste, wełniste owieczki, ale trawy nie skubią... jakies takie smutne. I jedna pyta się:

- My znamy tego konia. Ty do Pana Boga jedziesz. Zapytaj tam, jak długo przyjdzie nam jeszcze pokutować?

- Dobrze - powiedział chłopak i pojechali dalej.

Aż zobaczyli na wypalonej słońcem łące z pożółkłą trawą stado ostrzyżonych owiec tarzających się w pyle... I jedna prosi:

- Jak będziesz u Pana Boga spytaj, jak długo będziemy jeszcze żyć w tej rozkoszy?

- Zapytam - powiedział i pojechali dalej.

Przejechali kawał ziemi... a tam psy uwiązane targają łańcuchy, wyją, ujadają. Jedzie dalej... a tam inne, spragnione, pod górę się drapią. Na samej górze stoi kopańka pełna mleka... już, już so przy niej, już im języki z gardel wylażą... i... i ześlizgują się na tyłkach... znów pod górę się drapio. Jeden pies prosi chłopca:

- Spytaj sie Pana Boga, jak długo będziem tu jeszcze pokutować?

Przyjechali na koniec do Pana Boga i chłopak opowiedział co po drodze widział i spytał, jak długo mają pokutować.

- Widziałem - mówi - tłuste owce, ale smutne...

- A to wszystko grzeszne dusze...

- I chude owieczki....

- To dusze sprawiedliwych. Co jeszcze widziałeś?

- Psy wyjące na łańcuchach, drapiące sie na górę, żeby ugasić pragnienie...

- A to wiedźmy i wiedźmary, co sie owcami zajmowali, co im dobro i zło czynili. Teraz idź zjedz i odpocznij.

Chłopak zjadł obiad, pospał, pobył trochę, porozglądał się i mówi:

- Mnie Panie Boże pora do gospodarstwa wracać...

- A no to jedź zdrowo!

- A co z moją matką i ojcem będzie? Jak długo jeszcze będą ten kamień włóczyć?

- Jedź... na miejscu zobaczysz.

Pojechali znano już drogą, a co miną pokutujących... to te przemieniają się w białe ptaki i lecą do nieba.

Przyjechali do wioski. Chłopak zsiadł z konia... ale nic nie poznaje. Chaty jego nie ma... inne chałupy też nie takie jak przodci. Pyta się pierwszego napotkanego, skąd te zmiany?

- A ty kto? - pyta pytany.

- Ja ten i ten...

- Ty? Ten i ten? Ten i ten... będzie jake sto lat temu... znik ze wsi i nikt nie wie gdzie zginął. Tam już inne ludzie żyją... a z chaty tylko kamieni zostali.

Spójrzal... prawda, ta chata była, tu próg, leży jeszcze kamień po którym do chaty wchodzili, tu kamień węglowy, tu kamieni na których pieczka stała, tu kamieni z żaren na których mąkę mielili.

Z kamieni zerwali się dwa ptaszki, okrążyli chłopaka, radośnie zaśpiewali i polecili w chmury. Po sąsiedzku dali dla jego lustro i on w jego spójrzal i zobaczył starego człowieka. Wtedy im opowiedział to historie i zaraz umarł.

HZ

## Podpaleniec

Był w Łaźnisku taki strach... jego Podpaleniec, albo Spaleniec nazywali. Pochodził z Wierchlesia, ale jak jego nazwisko... dalibóg zapomniał. To był wredny człowiek. O coś tam sie w karczmie Profitkina w Talkowszczyźnie z jednym posprzeczał i na drugi dzień spalił dla jego chate. W ogniu nie tylko chata, ale wszystkie zgineli. Spaliła sie cała rodzina, a z jo małe, jeszcze nie ochrzczone dziecko. Na nie ochrzczone śmierć sprowadzić to straszna rzecz, to jest grzech śmiertelny, od którego ratunku nie ma. Co noc na tym pogorzeliśku dziecisko płakało. Strach było tam iść.

Przyszli po jego żandarmy, zakuli w kajdany i zabrali z wioski. To jeszcze za carskiego czasu było. I tak parę lat było cicho, tylko te dziecko nocami płakało, gdzie chata stała. Chyba ze trzy lat, tak przed Boże Narodzenie... pożar w Łaźnisku. Wylatują ludzie na ulice, a pali sie tam gdzie ta spalona rodzina żyła. Ogień przenosi sie za wieś i idzie łąkami na Podłaźnisko, na Wierchleś. Całe lato tak chodził, nic nie palił tylko chodził. Wszystkie widzieli. To był cień człowieka. Widać jego od nóg do głowy, ale gdzie głowa i ramiona tam na kilka metry ogień sie palił.

Jedziemy raz z bratem siano z łąki zabrać. Patrzymy sie, idzie... rzeczka nie rzeczka, krzaki nie krzaki, idzie przez to... prosto przenika. A tu koń nam ustał. Koło między pieńki sie dostało i ani w przód ani w tył. A on na nas idzie.

- O Jezu...

- Nie bój sie - mówi brat - on nikomu krzywdy nie robi. Za życia sie do syta nakrzywdził.

Stoim sztywne jak dwa kołki w płocie, a on nas minął i poszedł dalej. Tylko takim lodem powiało. Tu ogień pali, a od jego chłód ciągnie. Podobnie sie dla wuja i wujenki przygodziło. Jak Spaleniec podeszed blisko, wuj wyjął spod kozła siekiere i mówi:

- Rzuć i raz temu diabelstwu koniec zrobie, skończę to diabelskie wesele.



Bo kiedyś wierzyli, że jak nagle wir się pokaże, tak nagle liściami i słomą zakręci w powietrzu, to jadą czerci do ślubu. To było „diabelskie wesele”. I w ten wir trzeba czymś ostrym rzucić... nożem, siekiero... co tam pod ręką jest.

- Zdurniał ty? Nie wolno, Jaśku - mówi wujenka. - U jego taka pokuta jest i on jo musi odprawić.

Ot, taka cień idzie. Chata nie chata, drzewo nie drzewo... przejdzie, pójdzie dalej, dalej i dalej. Człowieka nie widać, tylko taka wielka cień.

A chodzić zaczął w ten dzień jak Podpaleńca osądzili i powiesili w Kronsztacie.

SB

### Jak Sokołda nie została siedzibą rodu Skorochodów

Było to niedługo przed odsieczą wiedeńską. Król Jan III Sobieski wracając z Litwy, a ciekaw będąc, jak to Bazylianie w środku dziewiczej puszczy siedząc niedźwiedzim książką drukują, a że to prawie po drodze wypadało, postanowił odwiedzić supraski klasztor.

Z Grodna wyruszyli rano, zjechali na „tatarski gościniec” i przez Kryniki, Ostrowie, Talkowszczyznę pod wieczór przekroczyli bród na rzece Sokołdzie. Powyżej brodu usadowiło się kilka chałup zamkniętych w obrębieniu tyna zbudowanego z grubych bali. Widać, że mieszkańcy nie tylko uprawą ziemi byli tu zajęci, ale i strzegli przeprawy. Czasy kiedy mogli skutecznie spełniać swoje obowiązki minęły dość dawno, ale widok ogrodzenia tak solidnej konstrukcji budził szacunek i grasanci na tym brzegu Sokołdy chyba raczej się nie pojawiali.

U przeprawy poczet królewski witał skromnie ubrany jeździec, opat supraskiego klasztoru, Michniewicz. Podjeżdżając bliżej król po szatach rozpoznał zakonnik. Wyżej, u koworotu, bramy blokującej gościniec, kilku jeźdźców trzymających w rękach nie zapalone jeszcze pochodnie, wyraźnie miało kłopoty z okiełzaniem dosiadanych wierzchowców, co wskazywało na brak serca dla tej sztuki.

Od północy z łąk wracało stado krów kotłując balonami wymion. Rozbrykane cielaki co chwila wyłamywały się z ordynku. Za nimi pośpieszały psy i zaganiały je do stada delikatnie, ale zdecydowanie. Pastuchy kłęły tak szpetnie, że gdyby owe przekleństwa miały się ziścić, żadna krowa w okolicy co najmniej do nowego roku nie dałaby mleka... gdyby przeżyła.

Król wciągał w rozdęte nozdrza chłodne, ostre powietrze. Zamknął oczy i rozdzielał woń wilgotnych, rosujących traw od zapachu świeżego mleka.

- Wasza Miłostko, ruszajmy nim nas głęboka noc ogarnie. Tam już z posiłkiem czekają - ponaglał opat.

- Nie śpiesz się fater, tak piękny wieczór smakować trzeba jak dobrego węgryna. - Król wskazał ręką purpurowe niebo na zachodzie. Chaty osady

poczerwieniały, znikły szczegóły i kolory. Tylko chmury w tle robiły się coraz czerwieniejsze i ciemniejsze.

- Jest i węgryn w naszych piwnicach, wcale przedni - podchwycił z nadzieją opat. Ale król wyraźnie przedłużał delektowanie się mistyką zachodzącego słonka.

- A ja ojciec świeżego mleka prost ze skopka bym popił. Takiego żeby szum na wąsach jak piana z piwa osiadł.

I zaraz do królewskich uszu doleciało głośnym szeptem wydane polecenie:

- Mleka dla króla! Migiem, niezguły!

Nim echo odbite od ściany lasu za rzeką powróciło i skończyło powtarzać niezguły, niezguły, niezguły... już przed monarchą stał chłop w białej lnianej koszuli, przewiązanej wełnianym fioletowo - czerwonym pasem, z drewnianą konewką mleka w rękach.

Król pił długo. Długo nie odrywał konewki od ust. Wciągnął powietrze i głośno przełykając pił, pił, pił nieskończenie.

- Wasza Miłostko! - Opat usiłował przerwać picie. - Wasza Miłostko, dla Boga, nie napełniajcie lada czym żywota! Wieczera czeka w refektarzu.

Król odjął wreszcie naczynie od ust, wyjął z rękawa sporą, jedwabną chustę i otarł z białej piany wąsy.

- Delicje, kochaneczku. Delicje, powiadam. I na wasze ojciec też przyjdzie pora, nim dojedziem wszystko jeszcze nam się utrząsie i obśiądzie.

Pochylił się do chłopca chcąc oddać konewkę i spostrzegł, że coś jest nie tak. Chwilę przyglądał się stojącemu, aż uświadomił sobie, że chłop nie zgina się pokornie, a stoi z podniesioną głową... i jeszcze włosy. Przy zupełnie siwej, białej czuprynie twarz okalała czarna, gęsta broda. Spytał więc:

- Jak to bratku jest, że łeb masz siwy, a brodę całkiem czarną?

- Bo broda, panie, o piętnaście lat młodsza.

Milczał przez chwilę zaskoczony rezolutnością wieśniaka. I spróbował go podejść innym pytaniem.

- Ja jestem twój król, twój pan. Gdybyś miał mnie sprzedać, ile byś żądał?

- Dwadzieścia dziewięć talarów - odparł chłop bez namysłu. Słyszając to dworzanie obok zbieżeli i zamachnął się harapem...

- Jak śmiesz, chamie!

- Ani się waż! - Król uchwycił za koronki rękawa uniesionej ręki. - Nie ciekawi cię, czemu mnie tak mało ceni?

- Bo Judasz, panie - odezwał się chłop - Chrystusa sprzedał za trzydzieści srebrników... a ja nie Judasz i miłościwy pan nie Chrystus.

Król roześmiał się widząc, że w tej puszczańskiej guszy na wcale sprawnego franta trafił.

- Czyj ty?

- Boski i królewski.

- Nadałbyś mi się. Pojedziesz ze mną?
- Jakże by nie, przeciwnie królewski. A za królem dobry los z dostatkiem w parze chodzą.
- Jak cię wołają?
- Skorochoda, panie.
- Dać babie dobrą sakiewkę, a hultaja na koń i w drogę.

Dobrze po zmierzchu dobrnęli do Supraśla. Przed klasztorem stała grupa zakonników z pochodniami. Blask ognia wyluskiwał z granatowych łupin mroku potężną bryłę pałacu opatów, po prawej stronie czerwone mury gotyckiej bazyliki gdzieś w górze łączyły się nocą z królestwem niebieskim.

- Umęczeniście, panie? - zatroskał się opat. - Może wieczrę do spania podać?

- Ależ fater? Zważ, że do wojennego człowieka mówisz, którego za sobą nie takie ma pochody. A do tego w takiej kompanii - tu król ręką wskazał Skorochodę - czas płynie wartko.

Refektarz suto oświetlały świece. Migocący blask kominka ożywił postaci malowane na płótnach, których sporo wokoło wisiało na ścianach i nie były to bohomyzy wędrownych partaczy. Nawet straszliwa śmierć, patrząca z plafonu na suficie, przypominała wszystkim raczej o potrzebie rozsądnego życia niż budziła trwogę. Powaga jej na tym malowidle była bardzo ludzka i oglądający odnosił wrażenie, że da się z nią trochę potargować.

Po zawieszistej polewce podanej dla rozgrzania trzewi wniesiono białe pieczywo, mięs rozmaitość i sosy pikantne w których maczano chleb, by smak wyostrzyć. Dla płukania gardła z tłustości i ze smaków stało na stole w cynowych konwiach złociste piwo z wasilkowskiego browaru, mile język szczypiące.

Z dzbanów, srebrne udających, stojący za plecami pacholki nalewali wina jak krew czerwone, ciężkie, wyleżakowane w chłodnych klasztornych sklepach.

Ciepło idące od kominka wraz z wypitymi trunkami rozleniwiło biesiadników. Ten i ów głowę wsparłszy na rękach drzemał czuwanie udając. Boć przecie ni jak było przed monarchą od stołu powstać, chyba że za potrzebą.

Skorochoda posadowiony w bliskości króla, onieśmielony światłem którego ani przeczuwał, oglądał z wielką uwagą błękitne mankiety kaftana, w który na rozkaz króla odziali go studzy. - Jezusie - myślał - za same te złote tasiemki, co je mam przy kaftanie, ile by Jelczyk stary gorzałki w karczmie postawił?

Tymczasem dworzanie, który przez Skorochodę łaski królewskie był nadweryżły wymyślił wielce szatańską zabawę, którą sobie zazwyczaj po tęgiej gorzałce przypominano. A polegała na tym, że jeden drugiego walił w gębę wołając - podaj dalej! Pozostali dworzanie w lot pojęli sens zabawy i czekali, czym się zakończy.

Po pierwszych plaśnięciach w ucho i okrzykach - podaj dalej! - umilający czas muzykanci odłożyli instrumenty i patrzyli w napięciu, co będzie?

Kolejne - podaj dalej!.. i solidne wycięcie w pysk doszło do Skorochody. Na policzku wykwiatało mu pięć czerwonych palców, a następny w kolejce był król. Zapadła cisza, przerywana trzaskiem osikowych polan na kominku.

Wszyscy patrzyli w napięciu - dowali królowi czy nie? Skorochoda ścisnął oburącz cynowy kufel i potrząsał nim, jakby zaraz z niego miał wyrzucić kości. Po chwili wyprostował się, kciukiem otar pot z czoła i zaczął mówić.

- Jednego razu jechał mój sąsiad Michał po drzewo do lasu. Załadował fure i chce wracać. Ale utknął, koło zaczepiło o karcz i ni jak nie da się ruszyć do przodu. Jak myślisz panie, co Michał powinien zrobić?

- Nazad, kochaneczku! Nazad! - zawołał król w lot pojmując intencje Skorochody.

- I mnie się tak widzi panie, że trza dać nazad. - Odwrócił się w kierunku dworzana i jak nie wytnie go w pysk, aż się nogami nakrył i z ławy pod kominek pokocił. Bo Skorochoda nie tylko dowcip ale i rękę sposobną miał.

- Podaj dalej! - zawołał.

- Widzę kochaneczku, że dowcip masz znacznie lżejszy jak rękę - rzekł rozradowany król.

Śmieli się wszystkie tak długo, aż król zaykał się i dostał czkawki. Od tamtej pory tak sobie chłopca z Sokółdy upodobał, że zabrał go na dwór i ilekroć znalazł się w trudnej sytuacji, cicho go pytał - to jak kochaneczku, podaj dalej, czy nazad?

Po „wiedeńskiej potrzebie” Skorochoda wraz z pocztą królewską przywiózł do skarbcza na Jasnej Górze wojenne trofea królewskie. Zaopatrzone sowicie przez monarchę i mając wcale solidne łupy własne, osiadł w Krakowie na stałe.

I tak to Sokółda nie stała się siedzibą rodu Skorochodów.

SB

### Po co ty moja głowa pobili

Kiedyś kawalerka kulasy, no łaski takie, nosiła. Opędzali się imi od psów, a i pobili się czasem. Ale to słabe bicie było, bo te kulasy cienkie takie były. Szedł raz wuj od Lipowego Mosta przez las... a przy drodze ludzka głowa leżała. Taka stara, z mogiły co jo może lis wykopał... i wuj swojo kulaso jo od ścieżki odkocił. Przyszedł na wieczór do domu, kolacja zjadł i położył się spać w stodole.

I przychodzi do jego człowiek w białej koszuli. Kołnierz u koszuli duży taki... Sam sini, ręce u jego sztywne tak że sie nie zginajo i zaczął wujka bić. Zwalili się na klepisko. Wuj usiadł, bo już nie miał sił sie bić, koszula

u jego potargana w trepeczki... tylko z jej trepeczki wiszo. W piersiach dla jego świszczce. A ten potępieniec stanął nad im i mówi:

- Po co ty moja głowa pobił. Po co mnie nie uszanował? Ja pobity, moja głowa wala sie, bo nie było komu schronić jo... pochować. Nikt na moja mogiła nie przychodzi modlić sie. Nikt ognia nie pali. A ty jeszcze moja głowa pobił? Idź tam i pochowaj jo, bo tam też jest moje ciało. Pochowaj i krzyżyka postaw. Nie zrobisz jak mówie, to jutro znowusz przyjde.

Raniutko wziół ze sobo młodszego brata, poszli na tamto miejsce i ta głowa pogrzebali i wienc ten potępieniec do wuja nie przyszed.

**MB**

### **Biały koń i czarny pies**

W Sokoldzie, gdzie pobite powstańcy leżą, jak z góry schodzić, krzyż jest. Tam dęby rosno i krzyż... To wieczorno poro strach iść. Tera asfalta zrobili i wszystko zginęło. Tu byli piachy... koni strasznie się mordowali. Temu nazywali to górze Kopna Góra. Wtedy krzyż jeszcze drewniany był, nie z bietona. Od krzyża biały koń i czarny pies wychodzili, nie było wieczora, żeby kto nie widział... To wyjdzie ten biały koń, to tak jakby dusza mieieżnika, a za im wypada czarny pies... to jakby ruski... i goni za koniem po łące. Zatoczy takie koło i nazad do mogiły... i tam znikajo.

Raz mój ojciec szed z Kopnej Góry i modlił sie w duchu, żeby ich nie zobaczyć. I tak myśli, jakby to było, jakby wyszli. No i biały koń wyszed. To tak dla jego ze strachu włosy na głowie stali, że czapka spadła. Do chaty przyleciał... to dłuższy czas nic powiedzieć nie mog. Sam jego ja takim widział.

**JA**

### **Łzy ciężarem dla duszy**

W 1831 roku została przywleczone przez wojska rosyjskie w okolicy Supraśla cholera. Zmarły na nią w osadzie trzy osoby: w maju pięćdziesięcioletni Marek Kowalewski, w czerwcu dwuletnia Rozalia Szykuć i we wrześniu jedenastoletnia Antonina Skabałowicz, jedynaczka, która pozostawiła po sobie pogrążoną w ogromnej rozpaczce matkę, Annę.

Przez okres żałoby... a i po roku, można było spotkać w bazylice ubraną na czarno kobietę klęczącą przed ołtarzem Matki Boskiej Supraskiej. W modlitwach czyniła Panu Bogu wyrzuty, że skrzywdził ją i jej córkę. Z żalu swego spowiadała się zakrystianowi, mnichowi Hieronimowi Wnorowskiemu.

Zakonnik nie mógł kobiecie wytłumaczyć, że grzeszy oskarżając Pana Boga o bezdusność i za pokutę kazał jej pozostać na noc w bazylice. A był to dzień zaduszny, w którym zakonnicy zostawiali na noc otwarte drzwi do świątyni, by pokutujące dusze miały dostęp do ołtarza.

Tego roku jak zwykle, tuż przed godziną dwunastą, zapłonęły wszystkie świece i do świątyni zaczęły się schodzić dusze zmarłych zakonników, fundatorów, dobrodziejów zakonu... Szła okoliczna szlachta, dostojnicy kościoła i urzędnicy królewscy, senatorzy i biskupi, na końcu zmarli mieszkańcy osady. Ostania szła mała Antonina i w koromysłach niosła dwa wiadra wody. Szła z wielkim trudem, uginając się pod ciężarem. Przystawała co kilka kroków i stawiała wiadra. Jeśli woda wylewała się na kamienne płyty świątynnej posadzki, klękała i starannie wycierała zdjętą z głowy chustką. W tym czasie z zakrystii wyszli dawno umarli księża i odprawiali mszę. Gdy rozpoczęła się komunia, mała Antonina nie mogła do niej przystąpić, bo wciąż jej z wiadra wylewała się woda i musiała ją wycierać.

Przeżrana matka, chcąc pomóc, podbiegła do córki. Ale ta powstrzymała ją gestem i powiedziała:

- Mamo... to nie woda, to twoje łzy. Chcesz mi pomóc? To przestań płakać... twoje łzy nie dają mi odejść do Pana.

**HZ**

### **Jak szeptucha księdza z Szudziałowa leczyła**

Jedna kobieta nie miała z czego żyć, myśli - albo kraść, albo sie zabić. Ale wystraszyła sie swoich myśli i poszła spowiadać sie dla księdza w Szudziałowie. Uklękała w konfesjonale i mówi:

- Proszę księdza... nie mam z czego żyć. Co robić? Co lepiej, kraść, czy sie zabić?

- Oj córko, córko... zważyłaś w opiece Bożo. Siakiego takiego zielska nazbieraj, zaparz i lecz. Kto nie przyjdzie, daj wypić i szeptaj po cichu:

*Pomoże, nie pomoże  
Zapłać nieboże.*

I tak zrobiła. Nawarzyła trawy i zaczęła leczyć... *pomoże, nie pomoże*... Komu samo przeszło to wierzył, że pomagało, a komu nie pomogło to drugi raz nie jechał. Uznali jo za znachorkę, jak to u nas mówio, szeptuche.

Za jakiś czas i na księdza przyszła bieda. Zrobił sie dla jego wrzód w gardle i tak przybrał aż bali sie, że księdza zadusi. Aż w końcu gospodyni radzi:

- Tam w Podlipkach jest szeptucha, co z każdego choroby poradzi. Poszeptaj, poszeptaj, ziółka da i ludzie zdrowiejo... to i dla księdza pomoże.

- A już tam baby szeptaniem naleczo...

Rad niewola... gospodyni widzi, że nie przekona proboszczka. Pojechała do Podlipki po babe. Szeptucha weszła na plebanie do kuchni. A to wieczorem było, ksiądz siadł przy oknie, żeby lepiej widziała. Ta każe usta roztworzyć. Zagładnęła i po cichu mówi: *pomoże, nie pomoże, zapłać nieboże.*

Ksiądz dosłyszał zamowe szeptuchy i poznał, że to ta kobieta co jo leczyć uczył. Jak sie zaczął śmiać, jak sie zaczął kiwać w przód i tył na krześle... wrzód w gardle pękł i odraz lżej sie zrobiło.

- O, stara znajoma... - śmieje sie pleban - lepiej kraść czy sie powieścić?

- Widzi ksiądz... dobrze przódzi powiedział - żeb wierzyć w opieke Bożo.

Zapłacił ksiądz hojnie... tak jak sie hojnie śmiał... w końcu szeptucha wyleczyła.

NK



Żniwa – Supraśl – dziś centrum miasta

## PRZYCHODZĄ WIECZORNĄ PORĄ

Gdy w Supraślu, poprzedzając zmierzch, zapalały się uliczne latarnie, na stołach pod oknami naciagała w szklankach wieczorna herbatka. Sąsiedzi składali sobie niezapowiedziane wizyty, siadali za stołem i wpatrując się w gęstniejący za oknem mrok kontemplowali wpadające z ulicy daremne światło latarni. Wyglądały się pomarszczone ręce i czoła, przywracając jurną młodość.

Wszystko... czasy przeszłe i przyszłe znów są na „ty” i tak znów jest niedaleko do człowieka. Cienie w kuchennych kątach pogłębiają czerni wspomnień własnych, cudzych, powielanych pokoleniami. Tyle wskrzeszanych zdarzeń, anegdot, ludzi przywróconych do życia światłem ulicznych latarni.... tyle twarzy wylaniających się z orzecha nieskończoności, powołanych do istnienia trzaskiem płonących świerkowych polan. Spalane drewno sycząc przeciągle daje znak, że są już wśród nas ci, co pozostawili nam czas do końca niedokonany i rzeczy, z którymi nie wiemy co począć, bo tak bardzo zbędne, że aż naznaczone stygmatem ważności, jak płomień trzaskających polan w otwartych drzwiczkach plity...

Tyle ich ulatywało w przestrzeń... dzień po dniu, każdego wieczora.

- Pani Halinko, czy można jeszcze troszkę herbatki?

- A może drinka chce? Chce drinka?

Nie ma Henia, Wacka, pani Haliny, Kuryłowiczów, Kauców, Leszczyńskich, Rudzików, Malewiczów, Gibińskich, Kmitów. Są już nowi... ale nie składają wizyt, na ulicy Cegielnianej nie tołkują na winklu, gdy się coś ważnego stanie... a gdyby im powiedzieć, że w Supraślance woda po deszczu tak wartko płynęła, że dla Staśka kobyły też urwało, jak chciała się w rzece wody napić... nie uwierzą.

### Koncert na studnię, siedem psów i trąbkę

*Poświęcam pamięci p. Haliny Zdrójkowskiej, zmarłej 7 lipca 2003 roku, i wszystkich sąsiadów, którzy w pokorze odeszli do Pana, pozostawiając nam w testamencie ulicę Cegielnianą... serdeczne Bóg Zapłać.*

W. Załęski

...gdy Stasiiek późnym popołudniem wracał do chaty... jego głowa, osadzona na cienkiej długiej szyi, z grdyką sterczącą nad kołnierzem flanelowej koszuli, migiała między sztachetami. Migotanie tworzyło rytm i zdawało się, że słyhać taki dźwięk - trrrrrrrrrrrrrrrrr - jakbyś ciągnął patykiem po parkanie.

...a gdy głowa Staśka wystawała nad płotem po sterczącą grdykę, znaczyło to, że piwo dziś było nieświeże, a rozmowy na winkle z kumplami durne.

Gdy piwo było dobre, a rozmowy na odpowiednim poziomie... ponad płotem pojawiał się i znikał, jak płynący po wzburzonym morzu okręt, wypływały beret Staśka. W taki dzień na Cegielnianej wszyscy mogli się spodziewać, że wieczór będzie artystyczny i dostarczy sporo wzruszeń. Stasiak, po dniu pracy i zmagania z piwem, nie mógł wracać w postawie wyprostowanej. Daleki od dumnego wypuczania piersi, brnął mozolnie do chaty. Pochylony pod ostrym kątem do roweru... za co rower odwzajemniał się mu, serdecznie, nachylając ku niemu. Smętnie zwisająca z ramy teczka wyznaczała pomiędzy nimi pion... podstawę ładu, porządku i bezpieczeństwa.

Na moment fioletowy beret z zadziornie sterczącą antenką nikł za krzakiem bzu, by pojawić się na podwórzu „Matuski” i wychynąć zza pedantycznie ułożonej przyzmy polan. Dalej był złocisty, zalegający ulicę pył, zbezczeszczony plackami krowiego łajna. Na samym środku ulicy Cegielnianej stała studnia... „psie nieszczęście”... z której czerpano orzeźwiająca wodę.

...od tej wody ludzie gadali wierszem. Na tej niby drodze, niby ulicy... rysowały się wyraźnie dwie koleiny, które rozdwały się przed studnią, by po ominięciu betonowej, odaszonej cynkowaną blachą cembrowiny zejść się ponownie. Na drewnianej ławeczce pokornie stało do cna sponiewierane wiadro z przywiązaną do pałąka wielką podkową belgijskiego perszerona i żelaznym sworzniem z wozu Giby. Wiadro na jednej trzeciej wysokości miało przestrzelinę.

W czasie wojny major Sobakin, celując z nagana do ojca Staśka, trafił w wiadro. Dziurze po kuli i mocy samogonki ojciec Staśka zawdzięczał życie. A do tego dziura służyła wygodzie syna, gdy ten wracając do chaty zatrzymywał się na chwilę przed studnią. Z hukiem spuszczał w mroczną głębię wiadro i nawijając łańcuch na niemilosiernie skrzypiący wał wyciągał wodę. Stawiał je na drewnianej pokrywie i łąpał w usta sikający z przestrzeliny lodowaty strumień najwspanialszej na świecie wody. Picie jej powodowało, że ludzie stawali się lepsi, a nawet gadali wierszem.

- Wie, od czego zepsiało się życie na naszej ulicy? - zapytał mnie niedawno „Mały” Henio. - Że hady zasypały naszo studnie!

I coś w tym musi być... bo wszystko na Cegielnianej toczyło się przewidywalnym losem... dopóki nie zasypali studni, a pylistej nawierzchni nie pokryli trelinką.

Od położenia tej trelinki ulica Cegielniana zaczęła kapieć. Dotąd starzy bez trudu przeżywali w czerstwym zdrowiu „dwie kosy”, znaczy 77 lat. Oczywiście, jeśli sami sobie nie szkodzili urokami życia czerpanymi z „butelki, łulki i cipulki”.

...ze studnią było tak. W czasach kiedy ulica Cegielniana, ze względu na osiadłych przy niej garmcarzy, nazywała się Garmcarską, przepadająca za karpim w śmietanie po żydowsku Adela Buchholtz poleciła na strumieniu Brzozówka wykopać dodatkowe stawy.

Strumyk wówczas toczył tyle wody, że dziewczyny z całej „Brazyłki” i ulicy Nowej mogły się swobodnie kąpać na golasa w „babskim dołku”... udając, że nie wiedzą nic o podglądających je chłopakach. Stąd małżeństwa dokonywały się bez niespodzianek, z pełną dominacją kobiet. Pod tym względem panowała tu absolutna harmonia. Gdzie indziej bywały „szewskie poniedziałki”, a na Cegielnianej poniedziałek był babi.

Schodziły się do którejś z sąsiadek z całej Brzozówki, nawet te które wyszły za mąż do miasta... przychodziły na „babi poniedziałek” na „chapluka”, znaczy kieliszek gorzałki. Smażyły wielką patelnię jajecznicy, jadły, śpiewały i napiwały się *sprawiedliwie*. Nie, nie... nie to, żeby było „rozumie, bywaj... spotkamy się pod ławą”... ale i owszem... bywały „całkiem wypite”.

...ubocznym skutkiem inwestycji Buchholtzowej był zanik wody w studniach na Garmcarskiej. Klęli ją ludzie w żywe kamienie, ale wejść na białe, marmurowe schody pałacu i upomnieć się o krzywdę nie mieli odwagi.

Zdarzyło się, że po dziesięciu latach służby dla cara i macochy Rosji, wrócił z wojska na Cegielnianą *rotnik pierwowo razriada*, Wincenty Dargiewicz, ordynans dowódcy 63. *Chotnowo Uglickawo Połka*, w świecie bywały, nie mający przed marmurowymi schodami pani Adeli żadnych zapań... bo nie po takich się w życiu deptało. Zamiast gadać, rozważać, opracowywać strategię... poszedł i sprawę załatwił... od ręki.

Pani Adela dała na wykopanie dwu studni w najodleglejszych od siebie krańcach ulicy Garmcarskiej sumę dość skąpą... ale i sporowatą.

Nazajutrz samozwańcza grupa inicjatywna sprowadziła z Międzyrzecza studniarza Panasewicza. Fachowiec obejrzał teren, wyrwał pod płotem garść rumianków, roztarł je na dłoni, powąchał i po głębokim namyśle podał cenę. Targ był krótki, rzeczowy i z rozmachem dobitny szerokimi uderzeniami w dłonie. Na jego potwierdzenie i szczęśliwy początek wypito borysz w karczmie arendarza Lejby Mortkielowicza na „Psiej Górze”.

Ustalona suma, choć nieznacznie przekraczała wyasygnowaną przez Buchholtzową kwotę, to jednak ją przekraczała tworząc deficyt, co w każdym rodzaju pytania: - kto pokryje braki? Czy też: - co zrobić z pozostałą resztkówką? Pytanie zawisło gradową chmurą nad każdym domem przy ulicy... wówczas Garmcarskiej.

Tymczasem Panas, znaczy Panasewicz, zzuł buty, sznurowadła związał starannie luźnym supłem i powiesił wysoko na wiśni. Z wiśni odciął kozikiem rozwidloną gałązkę w kształcie litery V i starannie ocierzył z liści, ujął

cieńsze końce i złączoną stroną wystawił do przodu jak ulańską lancę. Przycisnąwszy łokcie do boków ruszył przez podwórko Zdrójkowskich. Szedł wolniutko... *tam i nazad, tam i nazad...* potem przez posesje Czarokowskich, Leszczyńskich, Dargiewiczów... *tam i sam, tam i sam...* Za nim, w absolutnej ciszy, mężczyźni z ulicy Garncarskiej posuwali się zbitą gromadą krok w krok... potracając się nawzajem.

Baby podejrzane czynności różdżkarza obserwowały z bezpieczniejszej odległości... sąsiedniej posesji. Psy i dzieciaki, z naturalnej głupoty zagłuszające lęk ciekawością, maszerowały tuż za Panasem. Gdy ten przystawał, stawali ciasnym tłumkiem, zadzierając głowy, przeszkadzając nabożnym patrzyeniem mu prosto w oczy. Za którymś nawrotem studniarz nie zdzierzył tych wielu wlepionych w siebie oczu... puścił różdżkę, ujął w dwa palce, jak baronowa filiżankę herbaty, lakierowany daszek maciejówki i palnął nią w wygolony łeb najbliższego Tewielowego Jaśka. Brzdące, jak muśnięte cieniem jastrzębia stadko kuropatw, rozbiegły się po podwórku Dargiewiczów i zatrzymały aż pod stodołą.

A on, Panas, szeroko stawiając bosc i nad wyraz wielkie stopy, jak czapla kroczył od płotu do bramki, od chaty do sklepiska, od świronka do sadku... i aż na ulicę...

Mężczyźni wzdychając w swym gapiostwie zawstydzające podobieństwo z reakcjami dzieciaków, nie wyszli na ulicę. Stanęli przy płocie, oparli łokcie o czubki sztachet i osłaniając oczy daskami dłoni, patrzyli pod słońce na chudą sylwetką chybotającą się we wzniecanym wielkimi stopami pyłe ulicy Garncarskiej.

- Spójrzto niechaj, ale u jego nogi... jak u podolskiego złodzieja - odezwał się Mały Henio, dowodząc w ten sposób, że od nabożnego podziwu do zakompleksiałej ironii tylko krok.

- Nooo. W jednym jego *tufniaku* twoja stara mogłaby jeść świniom nosić, a w drugim... ty kurdupłu... mog by jak w *duszehubce* po rzece za rybo pływac - dogryzł Małemu Heniowi Tewiel.

- Zlezie sam z Henia... - wtrącił się Chyżeński. - Nie pod to gruszko psa pogrzebali... Jak grosza nie dołożym, to na drugo studnie zbraknie... i *kalapitus*... Ciszaki, Szypluki, Malewiczcy wody mieć nie bedo. Mus sie dołożyć...

- Zdurniał? - siedzący na cegle Mały Henio aż podskoczył. - Dołożyć?... blia!... A co? pieniędzy na sznurku do bielizny moja wiesz? A może... blia... w burakach kopiem? Na... niechaj bierze... tam motyczka... na! kopaj!

- Ja tylko pytam. Czego ty odraz taki kołtun robisz sie? Jedno studnie wykopiem, to trochu groszy zostanie sie... i co z imi zrobim? Nazad Bucholcowej odnieść?

- Co ty? Abaldziel? Żeb zmarnowali sie u jej? - oburzył się Tewiel.

- Zare, zare, a poczęstunek... blia na odkrycie i zamknięcie roboty majstru należny... to.. za co zrobim blia? - warknął Mały.

- A i same krzywy ryj zamoczmy? Choć cudza wódka kiepsko wchodzi, to tobie Heniu ona zawsze smaczna... bo daremna! - dodał Tewiel.

Mały poczerwieniał na gębę i nerwowo zaczął się rozglądać za czymś... Awantura wisiała na włosku. Szczęściem podwórko, jak wszystkie na Cegielnianej, było starannie umiecione i nic Heniowi nie podchodziło, co by się na łbie Tewiela rozwalić dało.

- Dobra, chłopcy... wam nie idzie bez kłótni żyć... Ale teraz kombinujcie, gdzie kopiem... żeb Panas darem nie laził. Wykopiem od Ciszków, to z tego końca bedziem, jak jake durne, przez cało Garncarsko dymać. Wykopiem po naszej, to tamte całe życie nam pod oknami pliąć sie bedo.

- Zare całe życie... To na tera, a potem to każdy sobie wykopie.

- Jeden wykopie, a drugi ooo... blia! - tu Henio zgiął rękę w łokciu i pocałował paznokić kciuka.

- Studnie wykopiem jedno pośrodku, żeb nikomu z chodzeniem krzywdy nie było - powiedział Panas, który od dłuższej chwili stał w bramce i przysłuchiwał się dyskutantom. Wbił szpadel w usypaną pod płotem przymę żółtego piachu, stare wiadro odwrócił denkiem do góry i usiadł.

- Wy tu chrzanicie byle chrzanić... a ja wode znaszed. Kopać wypada na samym środku ulicy.

Po tym oświadczeniu Panas z kieszeni marynarki wyciągnął maszonkę z machorką i bloczek bibulek, napłuł w dłoń, na ślinę nasypał tytoniu, wymieszał „*żeb dym był gęściejszy*”. Zawinał skręta, przesunął po języku bibułką, skleił i wetknął papierosa za ucho. Z drugiej kieszeni wydobył czerwoną chustkę, a z niej kabłączek krzesiwa, krzemyk i kawałek spalonej weinianej tkaniny - *pulwers*. Z niezwykłą wprawą skrzesał iskrę, rozdmuchał ją na *pulwersie*, zza ucha wyjął skręta i zapalił.

Wyciągnawszy przed siebie wielkie stopy, postukiwał jedną o drugą. Głowę spowijała mu potężniejąca błękitna chmura.

- Pali kto? - spytał i wyciągnął w kierunku zamilkłych sąsiadów przybory do palenia.

Porozsiadali się na przygotowanych do rąbania brzozowych pieńkach i z większą lub mniejszą wprawą zapalili. Machorkowa chmura rosta nad bezwietrznym podwórzem, ogromniała, aż durne gołębie, nieświadome cywilizowanego dobrodziejstwa, zrejterowały na sąsiedni dach, pokastując ukradkiem.

- Nie ma jak „*Prymka*”, dobry tytuń. A jak jo jeszcze indyczym fajnem dla krzepkości doprawić... Nie, Mały?

- Czego ty Tewiel jego dziś uwiesił sie? Jej bohu jeszcze sie doprosisz, że tobie toporkiem przedziałka zaczesze.

- No i prawda. Ty jego lepiej nie *dżaźni*, bo małe jak zaraza zajadłe jest. O... jaki pies najlepiej podwórka pilnuje?

- Co zza płota silnie bresze?

- E tam, bresze... Mały... capie jeden... mały najlepiej chaty pilnuje. Ot, popatrz na mojego Pikusia. - Tu Chyżeński brodą wskazał siedzącego obok kundelka o maści w kolorze piasku.

Pies... nie pies... choroba wie co? W kieszeni palta by się zmieścił. Pokurczowate to to. Kot jego by z myszą pomylił i na kolację wtrząchnął.

A Pikuś, jakby chcąc zaprzeczyć tym domniemaniom i potwierdzić opinię swego pana o sobie, zerwał się i z przeraźliwym jazgotem wybiegł na środek ulicy, po której majestatycznie kroczył wielki Rex Rudzików.

Prawda... maluch bohatercko rozkraczył się przed nim i nic sobie nie robiąc z wagowej dysproporcji ubliżał mu jak psu w talerz. Nie bał się... miał za sobą pana i całą siedzącą na pieńkach ferajnę. Każde szczenięcie podrywało go na czterech łapach do góry wraz z naiwnie dzielnym sercem.

Wielki Rex przekrzywił dobroduszenie wielki łeb w prawo... w lewo i... zdecydowanie kłapnął szczękami. Jazgot ustał jakby szablą ciął. Podwórko zamarło. Nawet machorkowy dym stwardniał i znieruchomiał w powietrzu. Z pyska Rexa zwisały jak sznurówki, smętnie podrygując, dwie łapki Pikusia. Zapachniało zbrodnią.

- Cholera... - jęknął Chyżeński.

- Cha, cha, cha... - zataczał się Tewiel - ot tobie masz pilnowacza chaty... ot tobie masz! No Chyżeński... jaki pies lepszy? Jaki?

Śmiech wyraźnie spieszył Rexa. Stał patrząc ludziom w oczy z durnym wyrazem mordy, z której zwisały podrygujące łapy Pikusia. Chwilę bez przekonania miętosił je, potem splunął z obrzydzeniem i prezentując postawę: - *no... który mi tu jeszcze podskoczy* - pomaszzerował w dół Garncarskiej.

Uwolniony z paszczy lewiatana rozdygotany Pikuś przycupnął w cieniu swego pana, pod wbitą w piasek łopatą.

- Oj, Chyżeński... hadko robi się patrzeć na takiego pilnowacza. - Tewiel splunął z obrzydzeniem, przy okazji wypluwając tłący się niedopatek.

W całym tym zamieszaniu łopata, w cieniu której przycupnął sponiewierany maluch, chyliła się do upadku i z premedytacją przedmiotów martwych końcem trzonka celowała w małą psią łepetynkę. Działo się to szybko... coraz szybciej, szybciej... aż z rozmachem palnęło w maleńką czaszeczkę. Rozległo się niegłośne - puk! i skowyt.

Lamentujący Pikuś odskoczył i... usiadł na tłącym się wciąż pecie Tewiela. Siedział chwilę i ta chwila dopełniła miary psych nieszczęść na ten dzień. Pikuś zawył i z wrzaskiem znikł między chlewkami... dyskretnym zapleczu ulicy Cegielnianej.

Tewiel spadł z pieńka i ocierając mankietem koszuli łzy z oczu rzęził: - Ot tobie masz, Chyżeński, swojego pilnowacza. Ch, cha, cha! Nie dość, że pokurcz, że karakan, to jeszcze jaki pechowy. A niech cie!... Ty Chyżeński patrzaj, żeb od jego do ciebie nie przylepiło się jakie nieszczęście... on taki pechowy. Wie sam, że biedak gorzałke pijący na kości zęby straci.

**...biedak gorzałke pijący na kości zęby straci.** - Dość durnia hamań - przerwał Panas radość Tewiela. - Szpadli w łapy i do roboty.

Wyszli na ulicę i spojrzeli na miejsce, gdzie mieli zacząć kopanie. W słonku osikowy kotek błyszczał prowokacyjnie, co też nie uszło uwagi Rexa i wszyscy zobaczyli, jak had sobaczy podnosi łapę i ostentacyjnie leje im w sam środek studni.

- O żesz ty w torbę biedny kundlu! - porwał Panas z drogi kamień... i w psa. Nie trafił. Łaps za drugi... ale czuje... jakiś letki...

Chłopcy w śmiech.

- Odrz widać majster, że ma miętkie serce i sobaki skrzywdzić nie chcesz letkim kamieniem rzucając. Jednym razem - zaczął Tewiel, co na każdą okoliczność opowieść miał - Hańdzia skarży się matce: - Mamulu, mamulu, Jasiek się do mnie zaleca!

- A jak on się do ciebie zaleca?

- Gówniakami końskimi za mno rzuca!

Spojrzał Panas na „letki kamień”, co go w ręce miał. Cisnął nim o ziemię i rozdarł się na supraskich hultai:

- Do roboty!... moczomordy prancowate!... darmozjady! Mordy nieskrobane! A może chco dalej po wodę do rzeki zaiwaniać? To ja wracam na wioskę.

- Zare, zare... co taka gorączka zrobił się? Tylko jak tak? Na samym środku drogi kopać będziem? A bo można tak?

- Można nie można... A woda gdzie? Tu! No to tu będziem kopać. Zreszto... ulica szeroka i z lewej i prawej fura siana koło studni się zmieści... z okładem. A i na oba końce ulicy po równi wychodzi. Zamiast marudzić, Chyżeński, dziękuj Panu Bogu, że tak sprawiedliwie dla wszystkich wypadło.

- Za to Małemu Heniu najsprawiedliwiej bo pod chatą.

- Spójrzy Tewiel na nogi Małego Henia... na nich do studni pod domem będzie szed ile ty z końca ulicy.

**...wypili flaszczone, no, dwie.** Zakąsili, zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Nawet im dobrze szło... bo chwala Bogu, za przyczyną „buchholtzowej resztkówki”, chętnych do kopania nie brakło. Zmiany były częste i nadzwyczaj skuteczne.

Nazajutrz, pod południe, woda zaczęła się sączyć z piaszczystych, żółtych ścianek coraz obficie. Do wieczora wypełniła studnię na cztery kręgi. Była smaczna, zdrowa i zawsze dla wszystkich, choć od pechowego Pikusia i parszywego Rexa starzy ludzie nazywali ją „psie nieszczęście”.

**...wracając do Staśka...** Zza studni wyłonił się człowieczek. W świetle słonka zachodzącego za las nad „Kobylą Głową” na jego nosie błyszczały „roweryki”, okulary o szklach grubych jak denka butelek. Promieniował cały miłością do świata we wszelkich jego przejawach. Z tą miłością Stasiak dobrnął przed swój dom, do studni zwanej „psie nieszczęście”, do gaszącej

go pragnienie wiadra wiszącego na gwoździu, wewnątrz cembrowiny, a zastrzelonego w okupację przez ruskiego majora.

...a z zastrzelonym wiadrem było tak. Przed wojną wodę ze studni czerpano okutym drewnianym ceberkiem, lecz gdy w 39 roku sowietci i nas objęli cudem gospodarczym nowego ustroju, we wszystkich supraskich studniach ceberki wymienili na ocynkowane, nowe, sowieckie wiadra.

- Nu sztoż? Charosze... da? - prowokacyjnie pytał Staśkowego ojca kwaterujący u nich major Sobakin, pukając palcem w ściankę wiadra. - Eto ruska tiechnika... panimajesz Paliaczok? A technika... eto komunizm! A komunizm eto Stalin... A Stalin eto nasz atiec.

- To wasz Stalin inżynier?

- Tak toczno Paliaczok... inżynior.

- Inżynior?... chaj budzie. Ale żeb atiec? Wsim atiec? Znaczy wsiech was ponarabiał? To musiał wsie waszy matki tego... - tu wykonał gest piłowania drewna.

Sobakin nie miał poczucia humoru, podobnie jak Staśka ojciec poczucia realizmu. Major wyrwał z drewnianej kabury nagana i kilkoma strzałami zakończył dyskusję. Szczęściem był równie kiepskim strzelcem jak agitatorem.

Po najważniejszym argumencie sowieta pozostała dziura... szczęściem nie w plecach ojca Staśka, a w wiadrze, dwadzieścia centymetrów nad dnem.

Niemniej po tym incydencie i tak stał się przymuszonym turystą zwiedzającym uroczyska tajgi, a Stasiak po czterech latach pólsierotą.

Ilekróć teraz Stasiak gasił pragnienie sikającą z przestrzeliny wodą, tyle razy mógł westchnąć do Pana o wieczny odpoczynek dla duszy ojca.

A gdy ugasił pragnienie, wieształ wiadro na gwoździu, odpychał się od studni, by jak pocisk wpaść w rozwierające się drzwi pobielonej wapnem chaty. Jańcia, inaczej Staśkowa, zawsze wyprzedzała jego zamiar o mysi wąs. Zielone drzwi zatraskiwały się za nim z hukiem. Po chwili Jańcia wychodziła pod studnię... zabrać rower.

...tymczasem słonko na sochwały spuskało się. Kiedyś, gdy wół był żywicielem, a nie dziwolągiem, o purpurowej porze dnia był uwalniany z jarzma i od sochy. Mówiąc prościej... uwalniany na ten dzień od harówki i puszczany na pastwisko. Spuskali z soch woły - na sochwały.

Zaraz po tym jak Stasiak ugasił pragnienie, całą szerokością ulicy, dźwigając pomiędzy nogami pękate balony pachnącego trawą mleka, wracały z pastwiska krowy. Słonko wielkie, czerwone, podskakiwało i huśtało się na rogach. Kopyta wzniecały tumany ryżego pyłu. Porykiwania zlewały się z akompaniamentem tańców wleczonych ulicą Cegielnianą.

Wszystko cichło, spokojniało, zagęszczały się zapachy i kolory. Jeszcze zaskrzypiała gdzieś korba studni, jeszcze puste wiadro tłukać o cem-

browiny barbarzyńsko przepędzało ciszę. To Chyżeńkie, jak zwykle ostatnie na Cegielnianej, poły żywiłke.

Pył ulicy powoli opadał, brązował po krzakach bzu, łopuchach, między sztachetami szczerbatych płotów. W powietrzu snuł się zapach wieczornego udoju. W bramce stał mały Walek z aluminiową kwartą mleka w rączce. Białe jego rzęsy i brwi ryżały w zachodzącym nad zębatym lasem słońcu. Rękawem ocierał mleczne wąsy.

Znów rozwarły się drzwi Staśkowej chaty. I to była ta chwila, na którą wszyscy na Cegielnianej czekali... od najpaskudniejszego wycierusa wróbla po dostojnego w swej pełnej głuchocie seniora rodu Chyżeńkich.

W progu chaty stał Stasiak z mosiężną sygnalówką w rękę rozbłyskującą ciepłym złotem, niemilosiernie pokancerowaną i promieniejącą słońcem uczepionym dnia.

Z najbliższych chałup wypadały psy Rudzików, Kauców, Zdrójkowskich, Szypluków, Leszczyńskich, Malewiczów, Kuryłowiczów, Maksimów, Ciszaków, Nowakowskich i w obłąkańczym pędzie galopowały nie dotykając prawie łapami ziemi. Zatrzymywały się przed Staśkiem, wlepiły w niego swoje bursztynowe oczy i zasiadały w „pierwszych rzędach krzeseł” na drodze. Czekają.

Gołębie cisnęły się do okien gołębników i znając Staśka repertuar na pamięć, przytulały miłośnie do siebie małe łebki. Stara Munia w oknie poprawiała na parapecie poduszkę - żeb jo w łokci nie gniotło. Tylko koty wiały ile tchu w piersiach, byle dalej od ulicy Cegielnianej vel Garncarskiej. Ale stworzenia te nigdy, w swym egoizmie, nie miały zrozumienia dla ludzkich słabostek.

Stasiak powoli mrużył oczy, powoli unosił instrument, powoli przywierał ściśniętymi ustami do ustnika i... i myliłby się ten, kto by myślał, że wydmie policzki jak kumkająca w buchholcowym stawie żaba... Nie. On wydmuchiwał w trąbkę powietrze prosto z serca.

Dookoła słuchaczy przestrzeń wibrowała szczęściem, gęstniała wraz z nadsciągającym mrokiem i nikt nie wiedziałby w końcu, czy on dalej gra, czy wieje wiatr, czy to tylko pusta radość rozpięra pierś, gdyby nie psy...

Psy podnosiły łby pionowo w górę, że zdawało się - odskoczą im od karków, i jak strzały, jak rakiety pomkną zataczając na niebie tęczy łuk wprost w słoneczny otwór Bożego pieca. Z psich pysków zwiniętych w komiczne trąbki wydobywało się cienie, grube, dychawiczne, wibrujące, ale zawsze subtelnie modelowane wycie.

Stasiak szedł ulicą... nie... kroczył... dostojnie kroczył osiłą Garncarskiej jak, przed laty, szukający wody Panasewicz. Szedł tam, gdzie jeszcze przed chwilą nad brunatną ścianą lasu majaczył życiodajny skrawek słońca. Za nim, na miękkich łapach, stapały psy wyjąc majestatycznie do księżycyca... co to niezauważenie wychynał znad Szuchniczej Góry. Pochód nikt w gęstniejącym mroku.



Od srebrzystej tarczy nocnego włóczęgi wiało miłym chłodem, odbijała się od niej, wewnętrzną tęsknotą za pięknem, tkliwością i utraconym rajem, pieśń: „...vaja condyos, kochanie, vaja condyos mój śnie”.

### Czarna procesja

*Roku 1503 Zaczęto Cerkiew Murować Wielką za tegoż Hegumena Pafnucjusza Siehienia. Długo ją murowano, nie zostawiono o tym wiadomości.*

z kroniki unickiego zakonnika, Radkiewicza

Mówili starzy, jeszcze za młodości mojego ojca, że klasztor pójdzie w ziemię... bo tam mnichy nie żyli jak się godzi... i co? Nie poszed? Dziś tam tylko szurgańcy chodzą i gwizdzą, śmieją się i nikt nawet nie pomyśli, że cuda na tym miejscu się odprawiali. Nawet kości ich chłystki roznieśli po okolicy.

Taki od nas, ze Studzianek... Kardasz, bożył się, że widział te duszy jak remont w klasztorze robili. Wypity trochu był... i owszem... ale nie tyle, żeb nie być trzeźwym.

Bez to nie pojechał do domu w Studziankach i z jednym tam zostali się na noc. Zjedli co mieli i położyli spać na trzciniowych matach co ich na podbitkę używali... Ale wracają się z boku na bok. Sen nie nadchodzi.

Za to śpiewy daleko słychać, jakby dochodziły z kaplicy, gdzie dziś malunki ze ścian cerkwi pokazują. Potem bliżej, jakby na korytarzu...

Roztworzył drzwi i wyglądał... a tu procesja idzie... niosą obrazy, chorągwie, ogni zapalone. Suno się takie w chałatach czarnych długich do ziemi, przepasanych skórzanymi pasami... Suno się i śpiewają. Ale głosu nie rozróżnisz. Tylko tak... z przodu zaczynają, to gdzie się z tyłu głucho kończy. Wszystko zarośnięte, brodate. Doszli do drzwi w końcu korytarza, gdzie była część niespalona w wojnę i tam weszli. I tak tylko takie jeszcze aaaaaaa... aaaaaaa... było słychać. I po haławieszkach co je nieśli i po świecach swąd się pozostał.

Ta procesja to sporo ludzi widziało... ona po całym klasztorze chodziła. Co nie robili... nic nie pomagało. Jak przychodziła dwunasta noco, otwierają się drzwi, wychodzą te mnichy i idą. Na ostatku wychodził archierej.

Kiedyś byli męzne chłopcy i jeden poszed tam na noc. Założył się, że stanie koło drzwi tego pokoju archimandryty, skąd cieni wychodzą.

Ale jak się drzwi otworzyli to takiego fefru dostał, że gęby nie roztworzył, tylko przez zęby spytał się jego:

- Kto ty jest?
- Mikołaj - odpowiedział cień.
- Pokój z tobo - powiedział.
- I z tobo bracie.

W jednej chwili wszystko szaaaaś... znikło, przepadło. Potem salezja- nie odprawili tam msze i do dziś tam spokój jest.

TM

### Ostatni raz widział Ich Malewicz

W nocy ja miętusa łapał pod klasztorem i pod północ szed z ryb do chaty. Jak zaszed pod dzwonnice, podnios głowę i spojrzął w to duże okno na górze pod zegarem. Widzę, że ktoś tam jest... Jakieś czarne cieni sznurki ciągną, widzę jak dzwony kołochają się... a nie dzwoni. Wziół mnie strach... Rzucił ja co miał i chodu biegiem do chaty. Rano po wędkę przyszed... kiji byli, ale miętusy koty pociągali.

### Braciszek Efrem

Braciszek Efrem miał tajemnicę. Tajemnica z pięciorgiem umorusanych brzdąców żyła za rzeką na uroczysku Dębówik. Dobrze było Efremowi z tą tajemnicą latem i zimą. Zimą, kiedy zamarzały rozlewiska, po lodzie skracał drogę do Dębówika. Przez ostrożność czynił to rzadko i pod pretekstem załatwiania czegoś w papierni.

Brat Efrem nie lubił wiosny i jesieni, czasu gdy rzeka wylewała na łąki niosąc wyrwione drzewa, potopione zwierzęta, fragmenty płotów, strzechy porwane gdzieś w górze rzeki w Soroszkowie, Borkach czy Zasadach.

W takie dni brat Efrem wsunawszy dłonie w szerokie rękawy habitu przechadzał się od okna do okna klasztornej biblioteki i spoglądał na ogromną taflę wody. A teraz ta woda sięgała pod dom Marianny. Dzień po dniu oczekiwał opadnięcia wód i chwili, w której będzie mógł odwrócić na góry dnem łódź spuścić na wodę. To był czas jego najgłębszej tęsknoty. Gdy spoza mgieł wyłonił się na Dębówiku dom Marianny, tęsknił już tak mocno, że...

...Bowiem ogromne jest pragnienie nieosiągalnego.

Latem gdy tylko wody Supraśli opadły nisko, skoro świt porannym brzaskiem zaróżowił policzki tęsknocie, brat Efrem upychał poły czarnego habitu za szeroki skórzany pas i łyskając białymi miskami pośladek przeprawiał się na drugą stronę.

Lubił, obojętne, latem czy zimą, kiedy chatę Marianny po brzegi wypełniała cisza, a głos niewidzialnej dzieciarni, przeplatany szczekaniem psa i dźwiękiem klasztornych dzwonów, dobiegał z dalekiej głębi lasu.

Czas letni był mu szczególnie miły za poranne zbieranie ziół i radość częstego odwiedzania domu Marianny. Braciszki w nieświadomości podziwiali jego pracowitość, bo gdy oni pod muzykę skrzypienia owsianej słomy w siennikach obracali się na drugi bok, on stał na szeroko rozstawio-

nych nogach w wąskiej duszehirbce i pchał czółno do Marianny wdowy pod prąd rozlewiska.

Lubił otwierać drzwi jej domu. Stawał w nich, nieruchomiał i przez dłuższą chwilę mrużył oczy, aż przywykłe do mroku panującego w izbie rozpoznały jej, Marianny, sylwetkę.

- Tak się musiał czuć ojciec powracający z orełki - przypuszczał brat Efrema. Pachniał wiatrem, wodorostami i wypitym piwem. Wracającego ojca spotykali na drodze całą szarańczą. Z daleka dostrzegali jego wysoką barczystą sylwetkę i puszczali się pędem, na wyścigi poprzez pył gościńca. A ojciec klękał, rozpościerał muskularne ramiona i łapał w nie całą piątkę. Były identyczne jak dzieci Marianny. Przytulał oblapiające go pośpiesznie, całował każde radośnie, zatapiał twarz w ich zasmakanych koszulach. A ścisnął tak mocno, że powietrze głośno świszcząc uchodziło im z płuc. Sięgał do przewieszanej przez ramię lnianej torby i wyjmował z niej gościńce kupione w tykocińskich kramach.

Kiedy wreszcie fala radości opadła, dzieciaki siadały rządkiem na zwalonym pniu olchy i wilczymi kłami kruszyły twarde obwarzanki. Siostry wyciągały przed siebie dłonie i oglądały miedziane pierścionki z rubinowymi i turkusowymi szkiełkami oczek, które potem szybko gubiły przy pielieniu warzyw czy w czas żniw.

Powitania z matką nigdy brat Efrema nie widział, ale musiało wyglądać jakoś tak:

Z mroku izby wyłania się znajoma, niewyraźna postać kobiety. Ojciec piętą zamyka drzwi i tyle. Kobieta w mroku raz ma twarz matki, a raz Marianny.

Ale powitania z Marianną za każdym razem były inne. Raz ciemne wnętrze kipiało radością jak wrzosowisko w upalne południe cykaniem polnych koników. Innym razem wypełniało się świąteczną powagą klasztornego dzwonu - bammmm, bammmm, bammmm.

Siadali naprzeciw siebie i przez stół prowadzili rozmowę okrągłymi słowami. Nie wypowiadali tego co mieli w myślach i wszelkie padające na stół między nich słowa nie miały znaczenia. Myśli ich ponad ramionami łączyły się w pomost i trwały przytulone do siebie w południe swojej radości. Płonący pod trójnogiem na płycie ogień czerwono połyskiwał we włosach Marianny i w siwych nitkach czarnej brody brata Efrema. Dłonie bezwiednie błędzące po stole trafiały na siebie i wtedy przytulone myśli odsłaniały gwałtownie jak przyłapani na spaniu wartownicy.

Braciszek Efrema już od lat nie przypominał greckiego herosa i nazywano go braciszkiem kłóciło się z powagą jego wieku. Po prawdzie to i Marianna była tylko niechlujnym, mocno podstarzałym babskiem pozbawionym wiotkiej kibici. Ale dla braciszka Efrema była uosobieniem piękna, niejako cudem jawiącym się na tym najsmutniejszym ze światów.

Ilekrót w jego myślach Marianna pojawiała się jako dar niebios, zęgał się szybko z widocznym na twarzy pomieszczeniem. Przytrafiało mu się to coraz częściej, ostatnio nawet podczas medytacji.

- Co ci to, bracie Efrema? - pytał go któryś z braci.

- Co ci to, ojczu? Co ujrzały twoje uważne oczy, że zatrzwożyła się dusza? - pytała Marianna, gdy policzki brata Efrema nagle krasniały same z siebie.

- Radość, Marianko. Radość, że cię widzę, którą mąci myśl, iż chwila bywa jako i życie całe złą lub też dobrą. Jednakowoż w sercu smutku dłużej jak radości i nie zawsze mam pewność... więcej w mej duszy dobra czy też zła? Samo nieczynienie zła jest walką z nim, a nieuczynienie go zwyczajem dobra.

Czasem Marianna pytała:

- Ojczu, jak to było w czas, kiedy człeka, za brak pokory i ciekawości nadmiar, Pan z Raju wygnał? A serca Adama i Ewy taką napelnił troską, że nie spostrzegli nawet, czym swój wstyd okrywają?

- Listkiem figowym - odpowiadał braciszek Efrema uśmiechając się z wyrozumiałością wyższością.

- Nie, ojczu Efrema. To były liście z drzewa wiadomości dobrego i złego. Czy aby nie od tych liści bierze się cała radość i smutek świata tego? Przecie to tylko z nimi Pan z Raju wyjść pierwszym rodzicom dozwolił?

Tu Marianna zaśmiała się płochy jakby ktoś kielichami leśnych dzwonek potrząsnął. Jednak nawet ten dźwięczny śmiech nie był w stanie rozproszyć jego obaw.

W duszne dni wychodzili z mrocznej chaty, siadali na ławeczce, opierali się plecami o nagrzaną słońcem ścianę domu. Ich ramiona przywierały do siebie mocno, wpierały się coraz mocniej, aż przyduszana między nimi tajemnica była o krok od wyjawienia. W takiej chwili brat Efrema szybko schylał się do koszyka, wyjmował z niego prezent dla Marianny, albo wstawał i zęgał się pośpiesznie.

Czasem Marianna przynosiła z chaty dwa kubki złocistego maliniaka i suszony, poźółtki ser. Jak słoneczniki wystawiali do słońca twarze i w bezruchu łowili szczytki szczęścia.

Efrema sączył mocny miód, gryzł twarde ser i rozmyślał nad definicją tego szczególnego stanu ducha, którego właśnie doświadczał. Był to stan osiągniętego szczęścia. Zło nie jest w stanie dać szczęścia człowiekowi - myślał - bo szczęście jest łaską Pana. Ale zło potrafi tworzyć pozory szczęścia. Może z tej przyczyny stan ten nie daje się definiować, jako że każdego inaczej i w innym miejscu doświadcza i z innego każdemu rodzi się powodu.

Tego dnia Efrema nadszedł nie jak zwykle z łąk, a od strony lasu, od starorzecza gdzie rozległe błoto porastały kępy dorodnego tataraku. Przed

sobą niósł kosz aromatycznych kłaczy, oczyszczonych, opłukanych starannie w wodach zakola.

Zatrzymał się przy węgle świronka, postawił na ziemi kosz i wiechciem trawy oczyścić uwalane błotem sandały.

Potem obrócił się do studni, aby umyć z błota nogi. Już sięgał po drewniany, okuty żelazną taśmą ceber, już miał go spuścić w głąb kamiennej studni, już miał się ramienia żurawia, gdy zobaczył wychodzącego z chaty ubranego na czarno mężczyznę. Mignęła mu spod spuszczonego kaptura biała przeraźliwie twarz. Brat Efrek instynktownie kucnął za studnią przestraszony, choć i tak skutecznie zasłaniały go słupy podpierające podcień świronka.

- Gdzieś już widział tę przerażającą twarz? Gdzie ja ją widział? Ależ tak, przecie codziennie przyglądam się jej na plafonie sufitu refektarza podczas każdego posiłku. To wodzirej „tańca śmierci”.

Mężczyzna trzymanym w rękę podróżnym kosturem zastukał w drzwi. Drzwi otwały się szeroko i stanęła w nich Marianna. Nagle cofnęła się pół kroku, znieruchomiała. Stała, wyraźnie pomieszana, nerwowo miętosząc na piersiach koszulę.

Mężczyzna o coś pytał. Marianna uważnie odpowiadała. Potem przybysz odwrócił się powoli, czarnymi jak dziury oczami lustrował podwórko.

Efrek skulił się tak mocno, że prawie zrównał z ziemią. Wzrok mężczyzny błędząc po podwórku zatrzymał się na koszu tataraku stojącym pod studnią. Podniósł głowę, patrzył uważnie na świronka, potem szerokim ruchem zarzucił na ramię połę opończy i oddalił się.

- Niemożliwe! Przecież nigdy nie odchodzi z pustymi rękami.

Braciszek Efrek wychylił się z chaty i wytrzeszczonymi oczami niedowierzania śledził oddalającego się wędrowca. Gdy ten już znikł w brunatnozielonej ścianie lasu, wstał, podszedł do zastygłej w bezruchu Marianny i aby się upewnić, spytał:

- Marianko, kto to był?

- Nie wiem - odparła trzęsącymi się ustami. - Nie wiem, ale nie był to nikt z tego świata. Wiało od niego lodem.

- Co chciał?

- Ciebie, ojczu. Chciał ciebie.

Weszli do izby i jak zawsze usiedli za stołem naprzeciw siebie. Bez wiedzy Efrek wziął jej ręce w swoje, a ona pierwszy raz ich nie cofnęła, tylko pochylała się ku niemu i przytuliła policzek do jego pachnącej tatarskim dłoni.

- Boże mój, on tu jeszcze wróci, on widział twój kosz. O Boże, gdzie ciebie skryjem?

- To na nic, Marianko, przed tym gościem nikt się jeszcze nie skrył, to i mnie się taka sztuka nie uda.

- Ojczu ty wiesz, kto to był? Kto po ciebie przyszedł?

- Wiem, Marianko. Śmierć.

Marianna zerwała się z ławy, stanęła pośrodku izby i we wszystkich zakamarkach myśli, szukała w popłochu kryjówki dla Efreka. A on siedział za stołem zupełnie pozbawiony woli walki.

- Boże, Boże, Boże... Może za piec? - Nie, tam pierwszej zajrzy. Może za komin? Nie, za gruby.

Przerażenie jej sięgnęło pułapu, gdy usłyszała ponownie trzy twarde uderzenia kosturem w drzwi.

Tym razem brat Efrek zerwał się na równe nogi, padł na kolana i zaczął się wpychać pod ławę.

- Tu cię widać. - Marianna chwyciła Efreka za pas i zaczęła go spod ławy wyciągać.

- Właż tam. - Zdecydowała rozkazującym głosem, wskazując na stojącą w głębokim półmroku kołyskę.

- Jak mnie tam pomieścić się? - spytał płacząco braciszek.

- Właż mówię - syknęła zniecierpliwiona. I ten wielki mężczyzna potulnie położył się w kołyskę. Wszystko byłoby dobrze, ale od kolan nogi zwisały mu za kołyską do ziemi.

Marianna ściągnęła z pieca kozuch i narzuciła na kołyskę. Na głowę włożyła mu swój czepek.

- No, ujdzie z biedą.

Tymczasem stukanie powtórzyło się znowu i znowu.

- O Boże! Broda! - naciągnęła kozuch aż pod oczy Efreka i poszła otworzyć drzwi.

Gość wszedł do chaty, minął Mariannę, podszedł prosto do kolebki. Stał nad nią i przyglądał się nad wyraz staremu dziecku.

- Ułła, ułła, ułła, ułła! - rozplakał się malec. Gość pochylał się nad kołyską i patrzył coraz bardziej zdziwiony.

- Niamku, niamku, niamku! - poskarżył się dzieciak jakimś niskim chrypiącym głosem.

Gość z belki, z tramu, zdjął garniec miodu, z policy suszącą się lnianą torbę do wyciskania sera, oderwał z niej kawałek lnianej szmatki. Z leżącego na stole chleba ułamał kęs, umoczył w miodzie, włożył do ust i żuł dłuższą chwilę. Potem wypluł to w szmatkę, zakręcił robiąc z niej soskę, possał znowu, odchylił kozuch z buzi oseska i dziwiąc się temu co ujrział, wraził soskę w zarośniętą gębę pomiędzy zdruzgotane starością zęby brata Efreka.

- No to bratku rób szybko niamku, niamku, niamku, bo pora nam ruszać - tepku, tepku, tepku. - Potem gość odwrócił się ku gospodyni i rzekł z wyrzutem: - Oj Marianno, Marianno, czyżbyś zapomniała? Tyle lat już minęło, jak wodziłem z niej do Pana. Twoja kołyska powinna być pusta?

Martwego brata Efreka znalazły dzieci Marianny wracające od Kryżowej przez łąki i zakola Supraśli. Obok stał kosz pełen kłaczy tataraku. Na twarzy zastygł wyraz ogromnego spokoju i pogodzenia.

Brat Marcus z bratem Tychonem przerzucili przez ramiona prowizoryczne szleje i pociągnęli brata Efrema na prowizorycznych saniach zrobionych ze ściętych świeżo młodych brzoźek. Trzeci brat, Arseniusz, siedział z tyłu i patrząc na podskakujące na kępach traw stopy martwego brata Efrema medytował głośno:

- Jak na nieboszczyka, to nogi ma zbyt czyste. Widział kto pół dnia po bagnie chodzić i nóg nie uwaląć?

- Co tam mamroczesz? - zawołał z przodu brat Marcus.

- Mówie, że po błocie pół dnia chodził i nóg nie uwalął. Jak tak może być?

- Ty bracie Arseniuszu to we wszystkim problem widzisz.

- A co ty myślisz, że z brudnymi nogami do Raju wpuści jego Święty Pióter?

Na zwalonym przez niedawną wichurę pniu olchy siedziały rządkiem dzieciaki Marianny i wilczymi zębami gryzły odpustowe obwarzanki z makiem brata Efrema. Gdy się dobrze im przyjrzeć pod słonko, można dostrzec wystające zza ich pleców przeźrocyste zielone i ultramarynowe skrzydełka nadrzecznych ważek - świtezianek.

JR

## Monstrancja w ścianie

*Opowiadał to Wackowi Zdrójkowskiemu Józef Halicki, mieszkaniec Brzozówki, którego syn został postrzelony w czasie strajku 1933 roku razem z Ulmanem i Budkiewiczem. Józefowi Halickiemu opowiadał ojciec, który tę opowieść od swojego ojca słyszał.*

W Konnym żyła rodzina Plicickich tak starożytna jak sam klasztor. Któryś z ich przodków, bodajże Józef, w Powstaniu Listopadowym dostał się stopnia pułkownika. Młodym chłopcem trafił do Kościuszki i całe życie zeszło mu na wojnie. Gdy już się postarzał, rany i trudy wojenne obróciły się w zniszczone zdrowie i skłoniły go do powrotu pod dach rodzinny w Konnem.

Wracał do domu wraz z kilkoma starymi wiarusami, którzy własnych domów nie mając, mieli nadzieję na dożycie swoich dni w małym mająteczku Plicickich zagubionym w podlaskich borach.

Tego dnia nie dotarli do Konnego, choć to było zaledwie parę wiorst. Dopełdził ich zmierzch w Ogródniczkach. Po ciemku zdolali dotrzeć do przyklasztornej karczmy na Psiej Górze. Jeszcze koni nie zdążyli rozkulbaczyć, gdy doszło do awantury z rosyjskimi żołnierzami wcześniej rozlokowanymi tam na noclegu.

Kto pierwszy ruszył cyngla... Bogu tylko wiadomo... a że kompani Plicickiego byli starymi wygami w różnych ogniach ogorzaleni, nie dali Moskałom żadnych szans. Chwila, moment i wyparli ich z kwatery.

Przeglądając sakwy Rosjan znaleźli zniszczoną monstrancję zrabowaną z jakiegoś kościółka, który miał nieszczęście stanąć na drodze rabusi.

Noc zeszła spokojnie. Rano wsiedli na konie i ruszyli w stronę Konnego. Wcześniej Plicicki wszedł do bazyliki i położył zniszczoną monstrancję na *obiedni*.

Zakonnicy odprowadzili mszę, gdy nadjechał większy oddział moskiewskiego wojska prowadzony przez wyrzuconych z kwatery Rosjan. Wtargnęli do świątyni, zobaczyli monstrancję i wzięli odwet za wczorajsze pranie. Zabili kapłana przy ołtarzu i splądrowali bazylikę. Uznali, że zakonnicy byli w zмовie z grasującymi na pograniczu maruderami i dezertierami z różnych wojsk, za jakich uznali żołnierzy Plicickiego.

Po odejściu Rosjan zakonnicy pochowali w katakumbach zamordowanego brata, a zbezczeszczoną monstrancję umieścili pomiędzy oknami w ścianie renesansowej absydy po wschodniej stronie bazyliki.

Gdy po likwidacji unii zakon prawosławny zawłaszczył klasztor, mnisi usiłowali zdjąć monstrancję, ale zawsze coś im przeszkodziło. Próbowali zabielić, zatynkować. Ale za każdym razem pierwszy deszcz czyścił pobiałkę i odświeżał błyszczącą złotem monstrancję. Była tam ona aż do końca drugiej wojny światowej, do wysadzenia świątyni w powietrze.

JR

## Srebra klasztorne

Po likwidacji unii, podczas zajmowania klasztoru przez Rosjan, bazylianom udało się uratować trochę srebra i naczyń liturgicznych... zamurowali je w piwnicy. Część unickich zakonników została rozesłana po innych klasztorach, a kilku przymusili do przyjęcia ruskiej wiary. Dwóch starszych, Kornelius i Hilarion, będąc samotnymi i nie mając gdzie iść, udało, że przeszli na wiarę wroga, ale do końca życia trwali przy wierze przodków i w tajemnicy chodzili na brzeg rzeki odmawiać różaniec.

Po latach, jak już prawosławne rozpanoszyli się na dobre, odkryli, że jedna ściana jest bardziej świeżą niż pozostałe. Rozebrali mur i znaleźli wszystko, co było za ścianą schowane. Archimandryta kazał zawołać supraskiego handlarza Glazera Hersza i spytał, czy kupi srebra. Hersz srebra oglądał, cmokał... ale do ręki nie brał.

- Nuk, kupić można... ale te znaczki wy najpierw odjąć - tu Żyd palcem pokazał na krzyże zdobiące niektóre sztuki.

Zgodził się archimandryta, ale do transakcji nie doszło, bo zaszedł pewien wypadek. Przy ponownej wizycie Glazera archimandryta posłał dwóch zakonników po srebra do piwnicy. A gdy ich długo nie było, wysłał trzeciego. Gdy i trzeci nie wracał, zaniepokojony udał się wraz z kupcem do piwnicy i tam zastali trzeciego posłańca krążącego po omacku wzdłuż ścian... oczy miał niewidome, białe jak mleko. Dwaj pozostali leżeli martwi przy otwartej skrzyni.

- Nuk... nic tu po tobie, Glazer... - szepnął do siebie Hersz i wycofał się tyłem. Zakonnicy odprawili w piwnicy panichidę i srebra wynieśli. Kupił je ktoś z białostockich ewangelików i odsprzedał. W ten sposób rozeszły się po ludziach i na jakiś czas było o nich cicho.

Po latach w dworcu biskupa Leona Jaworowskiego leżącym tuż nad rzeką, w pokoju od północnego wschodu, tym samym w którym zmarł unicki biskup, zaczęła się ukazywać postać siedząca w fotelu. Najpierw ledwie majaczący mglisty cień, a z upływem czasu stawał się coraz wyraźniejszy. Poproszono ks. Akrajca, żeby to zobaczył. Ksiądz długo modlił się i po skończonej modlitwie powiedział, że trzeba zajrzeć do środka fotela. Po zdjęciu obicia wewnątrz odnaleziono aparaty służące do odprawiania mszy świętej. Oddano je salezjanom do bazyliki i tam służyły aż do wkroczenia sowietów.

*(na podst. opowiadania ks. Dorabiały)*

### **Jak Zachert „Żabiego Ogiera” bryczką woził**

Opowiadała moja babka Helena... przed pierwszą wojną światową mieli Zachertowie lokaja Antona, Antoniego Jasiukiewicza. Supraskie nazywali go „Żabi Ogier”, bo miał szpetną, szeroką od ucha do ucha gębę. Czysta żaba jak się wziąć i przyjrzeć. Dziewczyny od niego uciekały jak od zapowietrzonego, jak od zarazy. A ten za nimi świata nie widział. O czym by nie gadał, to i tak zawsze na babskich tematach kończył. Po nim w Supraślu każdego, kto do bab opamiętania nie miał, nazywali „Żabi Ogier”.

Jednego razu pojechał baron do Białegostoku i zabrał ze sobą Antona. A pod ich nieobecność babka Helena sprzątała pokoje. Patrzy się, a u Antona w szafie spodnie wiszą nie na wieszaku a na gwoździu za szlejki... i coś w nich jest.

Zagłada... a tam w nogawce, w środku, zaczepione obwarzanki wiszą... takie jak na jarmarku na straganie, sprzedają. - Co za choroba? - Poszła baronowej pokazać i spytać się, co to też mogłoby być?

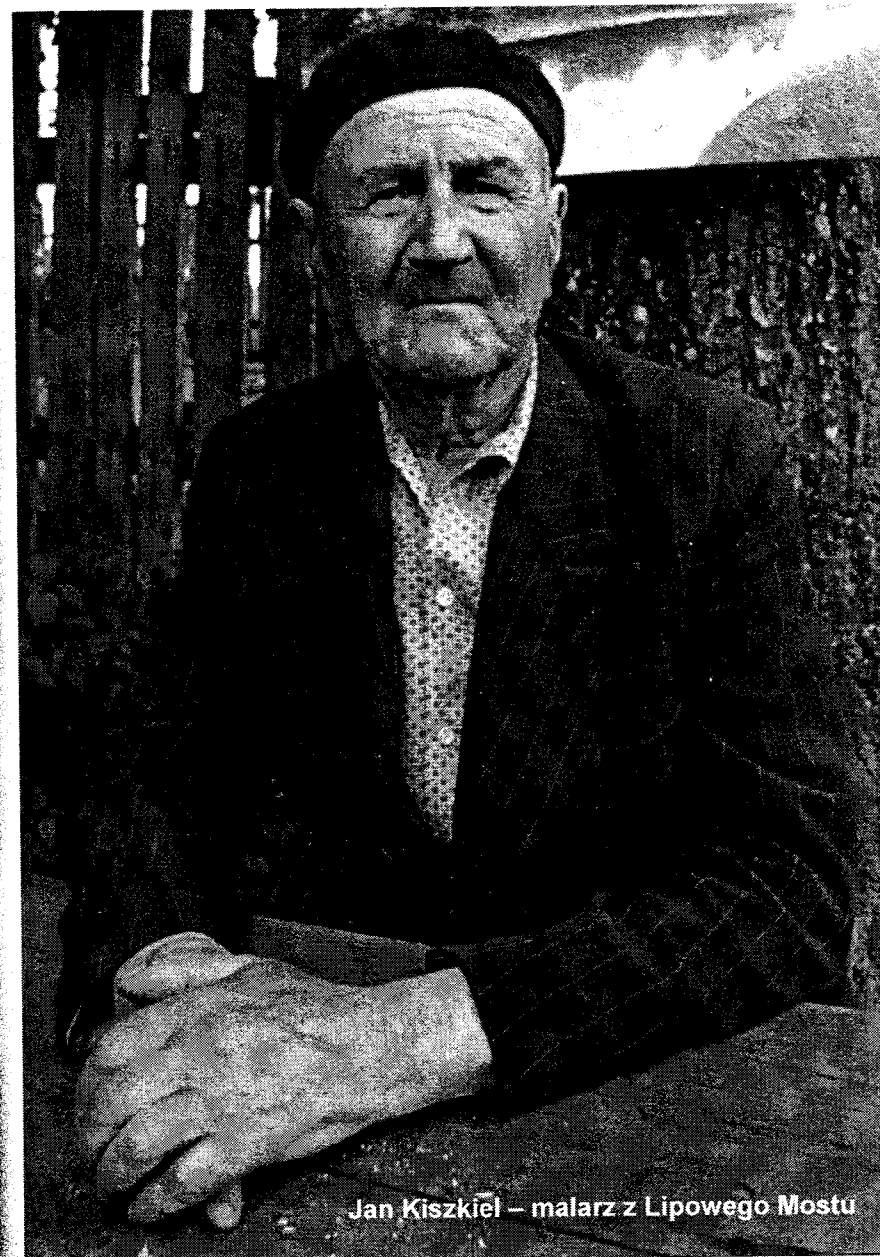
- Niech pani spójrzy, jakie fokusy u Antona w nogawkach wiszą? Co to może być?

A w kuchni Gruszevska Marysia, taka trochu starsza, robiła i nam wytłumaczyła.

- To wiedźmarskie sprawki. On to w nogawce potrzyma, a potem dla jakiej dziewczyny da zjeść, to ta będzie jego. Pójdzie za im jak ślepa.

- No to my dla niego też wiedźmarskiego fokusa zrobimy - powiedziała śmiejąc się baronowa. - Przyprawdź, Helenko, Hektora.

Hektor to taki duży owczarek alzacki. Poszła babka, przyprawdziła Hektora i nakarmiła jego tymi obwarzankami. Na początku nie chciał jeść, ale przyniosły z kuchni sosu z pieczeni, maczały i dawały psu. Zjadł. Tylko



Jan Kiszkiel – malarz z Lipowego Mostu



Aleksandra Filonowicz, Łazisko

zjadł... jak nie zacznie po pokoju latać... od okna do okna, od okna pod drzwi i znowu do okna.

- Teraz, Helenko - mówi baronowa - otwórz drzwi i puść Hektora... niech leci!

Babka wypuściła psa... to tak poszedł, że nim od drzwi do okna podszła, śladu po nim na gościńcu nie było. Znikł.

Opowiadał baron... Przejechaliśmy jazy na stawach w Krasnym. Dopędza nas Hektor, wskakuje na bryczkę, na kolana Antona i dalej go po gębie lizać, a piszczy, a cieszy się. Próbowałem go odganiać, ale Hektor do mnie z zębami. No jak tak do Białegostoku jechać? Musieliśmy zawrócić do Supraśla.

Baron bat, lejce do ręki i wiooo... dalej powozić... I tak baron Zachert bryczką swojego lokaja Antona woził. Przyjechali... to wszystkie mało nie pokonali ze śmiechu. Na koźle baron z batem, a z tyłu Żabi Ogier Anton z Hektorem jak młode do ślubu siedzo.

HG

### Kto zaczął dziejową awanturę

Wiemy, że do upadku imperium zła przyczyniły się słowa papieża Jana Pawła II: - *Nie bójcie się!* - I ludzie przestali się bać. A gdy pokonali strach, odzyskali szacunek do samych siebie, natychmiast obalili komunizm. Przy najmniej tak się im zdawało.

Jednak mało kto wie, że gdyby nie inny Polak, świat nie doświadczyłby czerwonego piekła i być może nie powstałoby nigdy imperium zła. A stało się to dzięki pewnemu, ciekawemu światu, supraślakowi. Nazwisko zmiłcę, jako że po obaleniu komuny historia jego życia przestała stanowić powód rodzinnej chwały i dumy.

Romek odbywał służbę wojskową we flocie bałtyckiej. Właściwie, mógł wraz z setkami dezertków pałających się po trupie imperialnej Rosji wrócić do domu, ale kto mając dwadzieścia lat dobrowolnie zrezygnuje... mówiąc po suprasku... z przyjemności oglądania daremnego teatru?

Niemajętna rodzina nie była w stanie wyreklamować rekruta Romka z objęć carskiej maszyny wojskowej. Wezwany, stawił się na punkt werbunkowy w Białymstoku, gdzie mu obryto głowę na „kolano”, znaczy ogolono na tyso, załadowano do wagonu i z dwudziestoma takimi jak on, ciekawymi świata nieszczęśnikami powieziono w nie mający końca przestwór Rosji... bo Rosja, jako jedyny kraj na świecie, nie ma granic. Nie jedzie się do Rosji, a w głąb Rosji. Przeciętny Rosjanin wie, że Kraj Rad czyli Matuszka Rasijska jest wielka, a to czy się gdzieś kończy mało go obchodzi, bo to są problemy władzy, nie jego. Rosja jest wielka i obojętne, czy to będzie Piotr I, Lenin, Stalin, Rasputin czy Putin, o jej wielkość ma dbać.

Wieźli dwa tygodnie, dali szynel, niekiepskie juchtowe buty i przestał być człowiekiem, Romkiem, Romanem, Romualdem, a stał się cyfrą strategiczną wielkiego imperium carów, własnością państwową i jako taka podlegał dystrybucji osób do tego uprawnionych. A po czym poznać osobę uprawnioną? To proste... jeśli wyzywa, ruga, obsobacza, to znaczy, że ma prawo. Bo kto by się odważył takie sobie uzurpować.

Czy wiesz ilu od tej pory uprawnionych decydowało o losie Romana, niezależnie od tego, czy przeżywali zdradę żony, ból zęba, pominięcie w awansach? Dużo. Bardzo dużo. Niewyobrażalnie dużo. Oni mieli zawsze rację. Zaś najmniej o sobie decydował on sam, ukochany pieścuch swojej matki - Romcio, Romeczek, Romuś.

Mimo to, jak przystało na Polaka, idąc w ślady minionych pokoleń, w ramach tej formy niewolnictwa potrafił stworzyć świat wewnętrznej, nie-naruszalnej wolności. Co dla twórców imperium było zawsze wredną tajemnicą polskich panów, co powodowało, że dobrze urodzony Rosjanin miał kompleks przed polskim szewcem z Wilna.

Tak też był spostrzegany przez architektów jego losu i odpowiednio doceniony. Po roku służby *riadowej* Roman awansował w wojskowej hierarchii i został ordynansem u Spiridiona Radionowicza Kirinina.

Podporucznik Kirinin, marynarz, do poduralskiej jednostki popadł karnie. Oderwanie od morza było szczególnie bolesną i perfidną formą sponiewierania jego marynarskiej, oficerskiej godności. O czym Kirinin bardzo dokładnie informował Romana, ilekroć ten pijanego Spiridiona wyluskiwał z munduru, butów, epoletów, sznurów, szabel, guzów, kutasów, którymi on z całej duszy pogardzał kochając się w marynarskiej prostocie. Kirinin po wyjęciu go z tej ilości mundurowego badziewia przypominał bardziej oskubanego kapłona, niż dziarskiego marynarza floty bałtyckiej.

Ale ubrany na powrót w to wszystko, niczym nie różnił się od innych rosyjskich poruczników rozpetzłych po podbitych ziemiach, okrajach Rosji. Tak jak oni lubił gorzałkę, baby, karty, cygańskie romanse i nie znosił siedzieć w siodle, co było wbrew domieszce krwi górali krymskich, która burząc się w nim, nader często dawała o sobie znać. Kipiąc nagle, obu przyczyniała wiecznych kłopotów.

Po odbyciu kary obaj wrócili do macierzystej jednostki w Pitrze, jak poufale panowie oficerowie nazywali jedyne europejskie miasto w tej części Rosji. Z ulgą oblekł się w marynarski mundur i, po staremu, nurzał w życiu. Roman wędrował przez życie Spiridiona za jego burdy karnie przenoszony z okrętu na okręt.

Obalenie cara i utworzenie rządu Kiereńskiego zastało ich na „Aurorze”, żyjących ze sobą w znośnej symbiozie. Któregoś dnia podporucznik Spiridion Radionowicz Kirinin nie wrócił na okręt. Albo w pijanym widzie ruszył do domu na Krym, albo gdzieś w sobie tylko znanych spelunkach Peresburga z okrzykiem - *napłwał' na wsio!* - zakończył barwny i nikomu niepotrzebny żywot.

Kirinina uznano za dezertera, a Romana z całą jego bezsensowną wiedzą ordynansa skierowano pod pokład, do maszyny. Robotą podła, ciężką i to czego najbardziej nie lubił... brudna. Ale, że zawsze w nieszczęściu miał szczęście, nie tknął łopaty z trzech powodów. Po pierwsze nie było węgla. Po drugie z powodu pierwszego odholowano „Aurorę” na nadbrzeże, gdzie stał jako hotel dla wojska i zaplecze argumentów dla polityków. Trzeci powód był ojcem poprzednich. Jako że prawdziwą przyczynę braku węgla znało wielu, korzyści z tego stanu czerpało niewielu. Dlatego, mimo tak wielkiej liczby donosicieli w Petersburgu, zamykały się szczerlnie usta *syszczykom*. Co było ponurym zwiastunem rodzącego się nowego systemu.

Wolny czas w maszynie, a ten był przez całą dobę, palacze rozcierścili grą w karty, żłopaniem piwa i jeśli się trafiła, gorzałki. Żyli ciężkim, leniwym snem nieroba.

Roman odsypiał zaległości z czasu gdy do rana, jak przezorna panna, oczekiwiał podporucznika Spiridiona z zapaloną lampą w ręku. A gdy te noce odespał, spał na zapas. Z ilości snu wynikało, że czeka go bardzo długie i bezsenne życie. Przespali zawieruchę rewolucyjną, carską abdykację i aresztowanie tego, o którego ochronę wołali dzień w dzień do Pana. Pod pokładem czas płynął obojętny na stojące naprzeciw siebie historyczne racje, społeczne idee, stare prawdy i nowe nie sprawdzone myślenia.

Na ich oczach wypracowano do góry nogami świat w imię szczęścia osoby ludzkiej. Robiono tak zawsze, gdy chciano jednostki zebrać do kupy i popchnąć przeciw sobie, bo kiedy nawzajem przegryzają gardła, można spokojnie popijać dobre wino, przyglądając się światu przez zmrużone powieki, przytykając do nosa chusteczkę z wodą kolońską. Mając jednocześnie ową jednostkę ludzką za nawóz, mierzwę i pogardzając nią do głębi duszy.

Ulepiaczy szczęścia mieli ostatnio na pęczki i przestali na nich reagować. Jedni przychodzili z nakazem władz najwyższych - pal w kotłach i wychodzimy w morze. Zaraz drudzy kazali gasić kotły i ostrzeliwać Instytut Smolnyj.

W takich razach kumple klepali Romana po plecach chwając jego przezorność. Kiedy stali na redzie, świeżo skierowany do maszyny ordynans podporucznika Kirinina z nawyku brzydząc się taką pracą, poradził cały zapas węgla zabunkrować do wody.

Napracowali się solidnie. Romanowi zlecieli organizację pracy i dogłębne, czy wyładunek idzie sprawnie. Ale za to teraz nastał dla nich czas błęgiego odpoczynku, z czego korzystali pełnymi garściami.

#### OPOWIADA NAOCZNY ŚWIADEK:

W tym dniu, po raz siódmy w miesiącu, wypadły urodziny Fiedki Kiereńczyka „Katakota”, jak nazywali zapiewając ze względu na jego donośny

głos. Fakt, że „urodził” się po raz siódmy, był wynikiem losowania... bo pić bez zakąski i przyczyny to nałóg, a losowanie powodowało przyczynę. Z zakąską bywało różnie.

W połowie urodzin wygnali nas na wiec, na górny pokład. Wyległa cała maszyna zataczając się, mrużąc oczy jak ślepe krety... bo od normalnego światła odwykli. A tam, na śródkręciu, na skrzynce od naboji stoi żółtawy na gębie kurdupel z chytrymi oczkami, małą czarniawą bródką, w prawej ręce miętosi czapkę i wrzeszczy coś o radach robotniczo-chłopskich, o bolszewikach, o kraju rad i szczęśliwości, jaka dzięki niemu zapanuje. No raj zapowiada. Ale jak zaczął obsobaczać Kiereńskiego, „Kałakoł” się rozpląkał.

- Bracia, za co? Tak nie można. Nie ma już w Rosji rzeczy świętych. Kto chce bierze cię i wlecze do łóżka jak najgorszą dziewczkę! - Nagle przypomniał sobie co opowiadał kumplom, że jest nieślubnym synem Kiereńskiego i dlatego zapisano go jako Kierieńczyka. Przypomniał sobie i zaszlochał. - Braciszku... ojca mi padalec znieważa! Marynarze, pozwolicie żeby waszemu bratu, którego pot się z waszym potem mieszał, znieważano tatę?!

- Nie pozwolimy! - zawołał któryś z kumpli, a „Kałakoł” teatralnym gestem otarł łzę rękawem.

Jednak głosy były podzielone, szczęściem nie po równo i mała grupka zebrała się koło agitatora. A ten ręką zaciśniętą na czapce wskazywał na zachodzące słońce tłumacząc jego krwawą barwę jako znak, zapowiedź nieuchronności nadciągającego losu imperializmu i Rosji. Zanosilo się na potężną awanturę. Po raz pierwszy stanął marynarz przeciw marynarzowi. Na szczęście odezwał się Roman.

- Chłopcy podurnieli wy... czy co? Pić się chce... życie jest krótkie, a wy za takiego padalca chcecie dać sobie po mordzie? Pierdoły wam plecie, a tam na dole stygnie gorzałka. Won z kurduplem... i do stołu, bracia!

Marynarze chwycili agitatora za ręce i nogi, rozbujali i zakończyli wiec. Padalec wyleciał szerokim łukiem w *kiedryni babuszki* i piasnął w fale Newy. A był z niego lepszy pływak niż agitator.

Wszyscy wrócili pod pokład, przez co imieniny stały dużo liczniejsze, bo część marynarskiej braci hasło Romana potraktowało jako zaproszenie na bal. Wysuptywali z kieszeni co do kopiejki, ale mało tego było... no kropla w morzu. Więc wystali kilka patroli uzbrojonych w karabiny i czerwone opaski na ulice miasta, aby zaopatrzyć przyjęcie w trybie kontrybucji.

#### DALEJ WYPADKI POTOCZYŁY SIĘ TAK:

Rano Roman ocknął się pierwszy, bo mimo że stali przy nabrzeżu, miał klasyczne objawy choroby morskiej. Wybiegł na górny pokład. Miękkie nogi odmawiały posłuszeństwa. Ręką zaciskał usta. Potknął się o coś. Za-

toczył w prawo, potem w lewo. Odbił się od barierki, wałnął w coś boleśnie łokciem, puścił usta. Rozległ się potworny huk, odpowiedział mu daleki wybuch w mieście i nagła, gęsta palba karabinowa. Rozjazgotały się „maksymy”. Zamek armaty szczeknął i po pokładzie potoczyła się mosiężna łuska. Roman zwymiotował.

- Bija się - doszło do jego świadomości przez potworny ból głowy. Popatrzył na dymiące jeszcze działo, które on, zataczając się, odpalił łokciem.

- Zaraz, zaraz, po której stronie my są?

Za chwilę w kabinie radiotelegrafisty zaczął stukać telegraf. Roman zszedł do kabiny, wziął taśmę i przeczytał:

\* PAŁAC ZIMOWY DZIĘKI WAM WZIĘTY BEZ STRAT \* DARUJĘ W CZORAJSZĄ NIESUBORDYNACJĘ \* PODPISANO \* LENIN

- Jasna cholera, co ja narobił. - Roman miętosił taśmę telegramu w dłoniach. Zaraz, zaraz... o co ja się wczoraj potknął? - Wybiegł na pokład.

Przy schodach na wieżę pierwszej baterii leżała zmiętoszona czapka agitatora.

Roman potężnym kopem wyekspediował ją z okrętu. Leciała nadnaturalnie długo, aż wylądowała pośrodku Newy. Sprawca nieszczęścia ludzkości, Roman, niedowierzając przetaił oczy i z natężoną uwagą obserwował kołyszącą się na wodzie czapkę. Leninówka płynęła w górę rzeki...

- Toż to przeciw rozumowi - powiedział sam do siebie. - Ona płynie pod prąd.

#### Po śmierci nie ma nic... nawet wieczności

Kiedy po Bitwie Warszawskiej legioniści gnali bolszewika aż do Niemna, gdzie rozegrał się końcowy epizod wojny polsko bolszewickiej, Supraśl, leżący tradycyjnie na poboczu historycznych zdarzeń, jak zwykle nie został dotknięty wrednym paluchem losu. W związku z tym niezbyt wiele zapisało się w pamięci mieszkańców, poza tymi którzy bezpośrednio brali udział w wywalczeniu nam niepodległości. A o tych co poległ nie wiemy nic poza nazwiskami wypisanymi na skromnym pomniku wolności w „Ogrodzie Saskim”.

W siedzibie Zachertów gospodyni wydała obiad dla sztabu kwaterującego, podobno, jedną noc w Supraślu. W tę właśnie noc ponoć zdarzył się taki wypadek. Młodszy oficerowie i żołnierze, którym zabrakło miejsca przy głównym stole, posilali się w refektarzu. Gdy już dobrze nadwężyli zapasy fundatorki, a fantazja kawalerska górować zaczęła nad rozsądkiem, pomiędzy porucznikami Romanowiczem, Zachsem i Domańskim wywiązała się dyskusja na wyższym poziomie... duchowości.

Zachss, z wychowania ewangelik, wyedukowany ateista, wespół z Romanowiczem socjalistą z wyboru, atakowali Domańskiego, katolika z urodzenia, negując istnienie życia pozagrobowego.



Aby udowodnić, że nic, ale to nic, po śmierci nas nie czeka... Zachss zdeklarował się spędzić całą noc na czuwaniu przy trumnie poległego kolegi, ustawionej na katafalku w klasztornej bazylice.

Jak postanowili, tak zrobili. Zachss wziął ze sobą niedopitą flaszkę wina i udał się na posterunek. A w ów czas zegar w wieży bramnej nie był jeszcze atrapą, co wskazuje ciągle za pięć dwunastą, tylko uczciwie odmierzał odcinki wieczności... nawet wydzwaniał godziny i połówki. Gdy zegar bramny zaczął wybijać północ, jakoś tak nieswojo zrobiło się porucznikowi, choć jako ateista obawiać się nie miał czego... bo przecież nic tam nie ma. Jak to mówił: po śmierci nic nie ma, nie ma nawet wieczności.

Drżące światło płonących przy marach świec wydobywało z mroku niepokój i wrednie drażniło wyobraźnię. Zachssowi zaczęły się pocić ręce. Wysoko, gdzieś na chórze stuknęło coś głucho, rozchodząc się echem aż pod kopułę świątyni. Skóra na plecach zrobiła się jakaś krótka.

Właśnie zza grubych murów dobiegało kolejne, przytłumione bam... bam... bam, gdy z trumny zsunęło się wieko i z hukiem grzmotnęło o posadzkę. Porucznik błyskawicznie sięgnął do odpiętej na wszelki wypadek kabury. Chłód rękojeści rewolweru na chwilę przywrócił mu spokój, ale gdy z trumny wysunęły się nogi i nieboszczyk usiadł na jej skraju... Zachss zmartwił. Czuł, jak zamienia się w skałę, w drewno... jak niemożliwe staje się poruszenie głową, oderwanie wzroku od zabitego kolegi, który choć martwy i zimny, wbrew logice zeskoczył na podłogę i wolnym krokiem, podkreślanym stukaniem podkutych obcasów i pobrzękiwaniem ostróg, szedł w jego kierunku.

Zamarłe sopłem lodu serce ruszyło nagle... fala gorąca przemknęła od czubka głowy ku stopom i uczyniła ciało na powrót sprawnym. Porucznik nie mierzając strzelił raz, drugi, trzeci. Nieboszczyk nie reagował, szedł. Strzelił znowu i znowu. Zmarły szedł wolno. Był już dwa kroki od niego. Zachss znowu poczuł drewnienie ciała. Tamten wyciągnął przed siebie pięść, otworzył... Na rozwartej dłoni leżały wszystkie wystrzelone pociski! Ateistyczna świadomość Zachssa zagłębiła się do środka... a może znikła w mroku bazyliki.

Porucznik stracił świadomość, osunął się na posadzkę i być może, doświadczał istnienia zaświatów.

Z hukiem rozwarły się drzwi świątyni. Do wnętrza, świecąc latarkami, wbiegła grupa wojskowych. Z góry, z chóru schodził Domański. Z bocznej nawy przynieśli trumnę z prawdziwym nieboszczykiem i ustawili na katafalku. Niedawny trup, Romanowicz, pochylał się nad leżącym, ujął go za nadgarstek i zbadawszy puls odetchnął z ulgą.

- Chwała Bogu... żyje.

Zabrali się do cucenia Zachssa... *nota bene* święconą wodą. Porucznik otworzył oczy i wodził nieprzytomnym wzrokiem po otaczających go twarzach.

- No... Henryczku - zapytał słodziutkim głosem Domański. - To jak? Jest tamten świat ... czy go nie ma? Jest wieczność?

## Jak Piłsudski europatą został

- Słyszał - mówi do mnie jakiś czas temu szwagier Czesiek - że za niedługo Piłsudski ma się na ziemi wrócić? - A daję słowo, chłop nie był przy tym nic ale to nic wypity.

- Do Polski, Czešku? - spytał się ja jego.

- Rzetelnie mówiąc... tego nie słyszał. Ale musi, co tak. Komu on w Europie potrzebny? A tu ktoś ten bardak musi naprawić. Nie?

Nie szło ostatnio Dziadkowi gdzie w niebie miejsca zagrać. Niszprował po niebieskich kątach, szerszenił się, czegoś szukał, ostrogami brząkał i coraz szablą z irytacji tak trzaskał, że raz po raz grzmoty po nieboskłonnie przetaczały się jakby kto pustę beczki po kociających łbach na Brzozówce kaczał, albo Eliasza w ognistej koleśnicy za szatanem po czarnych chmurach pędził. Ludzie spoglądali w niebo, żegnali się szeroko i mówili z pokorą:

*wiosenne grzmoty,  
jesienne omloty...  
Daj Panie Boże  
szychowało zboże.*

Ale on tych głosów nie słyszał. Nie zauważał, że małych niepokoi na ziemi, że... jak kto głupi... sam ze sobą gada.

- Do czego te mendy garnizonowe mamulke Polskę doprowadziły? Żeb się byle kalikatura, byle taborowy trep nad nią wytrząsał... i żeb po pysku takim nie miał kto dać? Ot masz syny, mamulko... co za czasy nadeszły? Nikt o honor Rzeczypospolitej nie stoi!

- Dobry Boże - westchnął i podniósł oczy w górę - całkiem nie rozbiezresz kto tam bolszewik, kto swój, kto łachudra, a kto rzetelny, kto pan, kto cham, kto baba, kto chłop? Wszystko wszystkim się tam popierniczyło, że nie odróżnisz kto prawdę mówi, kto łże... Zginota!

Znowuż, Panie Boże, partyjne kundle mamulkę żywcem do grobu kładą. A ja co? Muszę patrzeć, jak cała moja robota na nice się obraca. Żeb choć jeden tym francawatym szurgańcom kota popędził albo w Berezie Kartuzkiej uzdrowisko roztworzył. A tu? Co ja mogę? Ja tu cień człowieka. Siedzę jak bałda i szlag mnie jaśnisty trafia na te wyskrobki, te bradziażne dekowniki patrzając!...

Słyszając te okropne przekleństwa, przerażone aniołki wtykały w różowe uszka wskazujące paluszki i rozpaczliwie machając przykrótkimi skrzydełkami rzucały się w kłębiące dokoła obłoki. Uchodziły w najdalsze kąty nieba, a ten z marszałkiem pustoszał w tempie zawrotnym.

- Zaraz, zaraz - oczy Dziadka rozbyły nowym blaskiem i nadzieją - Ty Panie Boże wszystko możesz... dla Ciebie nie ma rzeczy raz na zawsze



ostatecznych. Proszę Cię, błagam... przylej, choć dla postrachu, której kanalii w ucho, żeb się nogami nakrył... żeb mu stołek od zadka odleciał, a do głowy rozum nżad wrócił. Co to dla Ciebie? Toż nawet Chrystus cierpliwosć stracił widząc kupczącą w Twoim domu hałastrę, kramy powywracał i przepędził hadztwo won... na ulicę!

Bądź tak dobry, Panie, ulituj się nad mizerią ojczyzny mojej, wygnaj z niej hołotę! Wiem, wiem... wszyscy jesteście na Twojej głowie. Wiem, wiem... nie sposób się byle głupstwem zajmować. To szepnij słówko Gabrielowi. Ooo! A może poszlij Jurka? Co?

A jak i to niemożliwym... to może Żeligowskiemu daj wychodne. Chłop zasłużył na trochę urlopu? Skoczy do Warszawy na parę dni i już...

Molił Piłsudski Pana Boga, napraszał się tak długo, aż nadojadło Najwyższemu jęczenia słuchać. Zdegradował go do rangi brygadiera i kazał świętemu Piotrowi wyguzić z raję.

- Wywal go z nieba na zbitą twarz, Pietrze! Wywal, żeby mnie z oczu zeszed i przestał się pod oknami niebieskiej kancelarii bałwanić! Wwon na ziemię! A tam niech się kołtuni, jęczy, do woli zębami zgrzyta na ziomki durnowate spoglądając!

Tak rozsierzonego Pana święty Pioter od rewolucji październikowej nie widział. Powiało chłodem, białe dotąd chmury ściemniały i zaczęły groźnie mruzcęć. Skinął niebieski klucznik na sześć Cherubinów pełniących służbę. Ułożyli śpiącego brygadiera na kumulusie i delikatnie sfrunęli w sam środek podlaskiego miasteczka. I tak to Piłsudski opylił się w Supraślu pod drzwiami sławnej na cały kraj „Jarzębinki”. Pewnie tamtędy droga do raję prowadzi.

Ulica 3-go Maja tonęła w mrokach. Od zachodu niebo raz po raz rozświetlały dalekie błyskawice i z daleka dolatywał głos gromów. Drzwi gospody rozwarły się na oścież, ale zaraz je przeciąg z hukiem zaparł.

Przez to mgnienie z rozgrzanego przytulnie wnętrza wydostał się na zimną ulicę kłęb pary, przesyconej bukietem zapachów. Dziadek bystro otworzył oczy, wciągał nosem haust powietrza. Powracające do ziemskiego żywota zmysły zaczęły selekcjonować schwymane w nozdrza aromaty. Piwo - zgadywał nos brygadiera - majeranek, grochówka na wędzące, kiszka ziemniaczana, listek bobkowy, ziele angielskie.

- Ulnik! - wykrzyknął radośnie - Baba ziemniaczana z cebulką i skwareczką. Jeden Bóg raczy wiedzieć co jeszcze było w tym błękitnym obłoczku pary, ale wszystko to pobudzało wolę życia i potrzebę działania.

Cielesna powłoka Dziadka zaskuczwała pożądaniem, jako że życie powracało przez uczucie głodu. Kto jest w stanie wyobrazić sobie to gigantyczne ssanie w dołku po siedemdziesięciu latach niejedzenia?

Wszedł do baru zdecydowanym krokiem i... stanął pośród przepelnionej gwarem „furmańskiej sali” zupełnie bezradny. Rozglądał się bezskutecznie, usiłując zlokalizować wywęczone na ulicy niebiańskie zapachy.

W kątku chłopcy z batami wetkniętymi za gumofilce, podochoceni piwem, machali czapkami uszankami w takt śpiewanej piosenki:

*Jeduć wozy kolorowe hablanouki  
Jeduć wozy od Studzianek do Bagnouki  
A kto piwa z nam nie wypije!  
Nie pożyje se... jej Bohu nie pożyje!*

Przed każdym bywalcem baru stał kufel piwa lub setka wódki, a na talerzyku spoczywała odarta ze skóry połówka śledzia. Bardziej ekskluzywne towarzystwa siedziały wokół obłupionego ze skorupki pół jajka na twar-do, typiającego żółtym okiem, lub pokrajanych w kostki „zimnych nóżek”. Grochówki nigdzie!

- Z drogi!... stara pierdoto! - ryknął w ucho Dziadkowi świński blondyn o niebieskich oczkach, drab słusznego wzrostu, niosący w dwu rękach... raz, dwa, trzy, osiem kufli piwa. - Wwon pryku... bo nadepne!

- O... ooo królu złoty... Ooo, szanuj siwy włos ty stu... studziańska gamoło! - stanął w obronie Dziadka żylasty bywalec, cieszący się tu wyrażnym mirem. - Oooo, tędy stary mo... mookasynie! - z galanterią wskazał Piłsudskiemu drzwi obite polakierowaną obficie dyktą, na których wisiata tabliczka:

#### SALA BEZALKOHOLOWA

- Tam dziadku, ta... taam podajo la lepszych goooci! - zmęczona głowa kiwnęła się żylastemu w przód, w tył... w przód w tył... i usypiając opadła pomiędzy kufle, setki i leżące na stole czapki.

Świński blondyn wziął opróżniony kufel śpiącego, przez chwilę manipulował nim pod stolikiem i kto miał dobry słuch mógł wyłowić dobiegający stamtąd odgłos ciurkania. Twarz świńskiego blondyna przybrała wyraz błogości, na usta wypłynął uśmiech zadowolenia. Postawił kufel przed śpiącym, trącił go w ramię i przedrzeźniając ykatego powiedział: - Na... napij się ooooo królu!

Śpiący podniósł niewidzącą głowę, oblał oburącz kufel, zbliżył do ust i... znieruchomiał. Odstawił. Znowu zbliżył do ust, powąchał...

- Oooo żesz fachu! Ty wy... wyliniały kojocie! O bij kto spra... sprawiedliwy! - zawołał i wylał zawartość kufła na łeb świńskiego blondyna. Ten chwycił krzesło, cisnął w „szklany ołtarz”... znaczy bufet. Wszyscy porwali się do kufli i kto tam co miał pod ręką ciskał, albo lał na oślep... Tchórzliwi wyskakiwał oknami.

Dziadek ruszył przez zgiełk bitewny w kierunku „bezalkoholowej”, a tam w otwartych drzwiach stał tłumek anielic. Jedne w białych niegdys fartuchach, inne w kusych spódniczkach i małych fartuszkach z szerokimi

falbankami, w dziwacznych diademach na głowach. Zrobili Dziadkowi przejście, a jedna nawet zaprowadziła go do wolnego stolika. Co prawda na „bezałkoholowej” wszystkie stoliki były wolne.

Odgłosy bitwy dobiegające z „furmańskiej sali” zdawały się dla ucha brygadiera czymś sympatycznie znajomym, ale nie były w stanie zagłuszyć narastającego nie do wytrzymania głodu. Nie łagodził go nawet widok kuprów podkasanych kelnerek. wypiętych w jego kierunku... wręcz odwrotnie... pobudzały w nim agresję.

- Hola! - zawołał - panienki... do stu piorunów... karmi tu kto głodnego!?

Spomiędzy kuso odzianej widowni śledzącej losy bitwy na „furmańskiej” wyszła czarniawa, krótkonoga dziewczyna. Podała jadłospis w lepkich, plastycznych okładkach i spytała:

- Co podać?

- Grochówkę! Byle prędko!

- Nie ma! Wyszła... ale są flaczki po warszawsku?

- Dobrze, podaj, słodziutką, flaczki z kajzerką.

Piłsudski poczuł nagle zapach świeżego pieczywa i ślina zaczęła wypełniać mu usta.

- Z jako kajzerko? - zdziwiła się dziewczyna przywracając Dziadka rzeczywistości.

- Z bułką, panienko. Zwyczajną pszenną bułką.

- Niechaj odraz tak gada... flaczki z pieczywem. Czytać nie umie? - Tu krótkonoga podsunęła pod nos brygadiera wymiętoszony maszynopis, tycając palcem odpowiedni ustęp.

Na ulicy, jak trzaskanie z bąta, zapiszczały hamulce i dwa radiowozy zajechały z fantazją przed gospodę. Kominiarze, bo tak w myślach nazwał ubranych na czarno funkcjonariuszy, sprawnie oczyścili „furmańską” i zapnowała cisza, którą zakłócał tylko głos kelnerki.

- O, jak wół, stoi napisane wyraźnie! Tu gospoda, nie piekarnia!

Prawda. W jadłospisie pod pozycją 24 „stało jak wół”: Flackkipowarszaskuzpieczywem6z140gr.

- Co - zdziwił się - sześć złotych i czterdzieści groszy? Za to u „Bata” można eleganckie lakiarki dostać.

- Dziadku, dziadku... lakiarki? Niechaj się cieszy, jak samemu uda się za sześć złote skarpetki kupić. A dostać to można tutaj najwyżej batem... hi, hi, hi... - Zaśmiała się krótkonoga ze swego dowcipu i znikła w długim korytarzu... skąd dobiegał gwar kobiecych głosów, szcęk statków kuchennych i woń butwiejącej sierki.

Przy sąsiednim stoliku dwaj mężczyźni szwargotali po niemiecku. Piłsudski w magdeburgskiej twierdzy siedząc poznał szwabski perfekt. Dlatego teraz pochłaniając grochówkę z konieczności uczestniczył w ich rozmowie. Tym łatwiej, że Niemcy będąc w gościach mają paskudny obyczaj głośniego

mówienia. Dzięki temu dowiedział się, że prowadzący dialog spędzają tu urlop, że jest im tu dobrze. Chwalili Polskę jak mogli, Polaków wynosili pod niebiosa... tak im tu dogadzają, tak ich doglądają.

Od tego Piłsudskiemu w piersiach pocieplało.

- Nie wszystko widać na marne poszło - pomyślał - jakoś sobie radzą. Nawet kelnerka jakby mniej wredną mu się zdała i nogi jakby jej urosły. Odłożył łyżkę, podkręcił węża, oburącz wsparł się na głowni szabli i chciwie słuchał.

- Co pomyśle, jest! - mówi mały, rudawy blondyn w skórzanych majtkach z szarotką na szelkach. - Sznapsa zechce... stoi. Panienke spodoba się mieć... już na kolanach siedzi. Tylko wiesz co, Helmut? Mam do ich jeden żal... W czterdziestym czwartym w Białymstoku na rynku dziadka mnie powiesili. Jak mogli?

- Co powiesz? Ot tak sobie... zupełnie bez nic? - zdziwił się Helmut, mulat ubrany w granatowe spodnie i białą marynarkę plażowego łodziarza.

- Nie wierze. To takie miłe ludzie. A za co jego... tego?...

- Dziadek był we wojne w Białymstoku.

- Co robił?

- Pracował... nooo... robił w gestapo.

- W gestapo, mówisz? To paskudnie. Hitler kazał gestapo brzydkie rzeczy robić. To przykre Ginter mieć takiego dziadka.

- Czemu? Ja znam jego tylko z fotografii. Zreszto on był tylko inżynier samochodowy i doglądał naprawy aut na holtzgas. Niedawno mnie nawet przeprosili.

- No widzi... umiejo sie znaleźć, to elegancki naród....

- Nawet swoje dzieci na roboty obiecali mnie podesłać.

- I co ty od nich chcesz?

- No nie wiem, czy warto?

- Prawda... wyżywienie teraz kosztuje...

- Nie. Na wyżywienie i kieszonkowe im dadzą...

- To w czym rzecz?

- Też na Prusach miał nieduży majątek. Raz przywieźli na stację praktykantów z Generalnej Guberni i on z licytacji wybrał paru i uczciwie za każdego dał po trzydzieści marek. A teraz rząd im płaci rekompensaty za niewolniczą pracę. Przecież dziadek ich karmił, dał dach nad głową. A w zimie to palili w piecu ile chcieli...

- Ja, ja, to niesprawiedliwie i to, że ci dziadka powiesili, masz Ginter prawo mieć do ich żal. Dla oficera to bardzo nieelegancka śmierć. Ale ja nie powiem... mnie tu dogadzają niekiepsko, mam wszystko co chce. Na koniec mnie hotel z plażą i jeziorem podarowali.

Ta część rozmowy przestała się Piłsudskiemu podobać. Podsunął bliżej talerz i już bez zapału wziął się do jedzenia podstudzonych flaczek... z pieczywem.

- Co? Tak sobie o... podarowali? Niemożliwe!  
 - No sprzedali. Ale za tak nędzne pieniądze, że u siebie w Diseldorfie budki z gazetami bym nie kupił. Można powiedzieć, darmo dali. - Zamiłk i po chwili milczenia dodał - Jeszcze prosili się żeby ich do interesu przyjąć. Nawet na ich koszt dzwoniłem do mojego adwokata żeby powiedział, czy jaki haczyk prawny się tu nie kryje.  
 - I co adwokat?  
 - W porządku. Mówiłem, to uczciwe ludzie. Tylko trudno nimi rządzić.  
 - E... Bismark pokazał, że i nimi da się kierować, tylko ta słowiańska fałszywość zawsze z nich wylezie.  
 - Co ty znowu?  
 - A co z pomnikiem dobrodzieja Bismarka zrobili? Wysadzili w powietrze!  
 - Ale teraz na pewno go odbudują, żeby ich Europa za barbarzyńców nie miała.

Tego już Piłsudski nie zdzierzył... flaczki z kajzerko zaparli się jemu w gardle. Bryznął tyżko o stół i wyleciał na ulicę. Chwycił pierwszego, co się mu nawinał, za kłapy marynarki... i zgłupiał.

- Chłop to czy baba? Kto się mnie w ręce popadł? Co to jest? W portkach to - to, ale w zadku szerokowate, do tego ma cycki i głowe obryto jak kolano... łysą. Musi to na tyfus chorowało. Tylko czego się w ojca odzieniu, bez chustki, po ulicy płacze?

No to kłapnął inną babę... taką czarniawą z warkoczykiem, kilogramem srebrnej biżuterii w uszach, w brwiach, w łapie. Zadzźwięczały wszystkie ozdoby, zadzwoniły...

- Gdzie tu najbliższy odwach? - spytał brygadiera tę żywą choinkę.  
 - Jaki odwach? - baba do niego basem.  
 - Gdzie wojsko stoi, kobieto... albo żandarmeria, policja?  
 - Policja? A co z jo mam wspólnego... stary zgredzie? Spadaj! Ciąg się łachu, bo strzele w glace, to ci z miechami na ziemi spadnie!

Piłsudski, choć nic z tego nie pojął, odskoczył jakby kto na jego ukropem luchnął. - Znowu musi na cudzoziemca trafił, bo mówi niby po polsku... ale nie po polsku.

Dookoła ludzie zaczęli przystawać, tłum się zrobił. Dziadek słucha i nic nie może zrozumieć. Aż podeszła starsza kobieta i ludzką mową spytała:

- Zabłądziliśmy, dziaduniu... co? Zgubiliśmy się biedaczku... tak? A może zapomnieliśmy, przy jakiej ulicy stoi nasz śliczny domek?  
 - Jaki śliczny domek kobieto?  
 - Starców... dziaduniu. Noooo... przypomnijmy sobie... Nie w Łazniach przypadkiem wasz domek? Na wiosce?  
 - Na wiosce? W Oleandrach, kretynko! - wrzasnął Piłsudski i wyprostował jak sprężysta szpicruta. - Pardon... Przepraszam, prowadź kobieto na odwach!

- Gdzie?  
 - Na kordegardę, posterunek, na policję, na pocztę... gdzieś, gdzie znaję jakiegoś mundurowego, może się z nim dogadam?

Akurat drugą stroną ulicy szedł oficer. Kobieta ucieszyła się na jego widok, podskakując machała ręką i wołała:

- Halo, halo! Panie oficerze! Panie wojskowy! Halo, halo!... Prosimy do nas, bardzo pan potrzebny!

Oficer odwrócił się i ruszył w ich kierunku. Piłsudski przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Oficer, mówi pani? Te toto, ten dekonnik... to wojskowy? - powiedział zdławionym głosem. - Ten wymiętoszony kurdupel w wykłyndanych pantoflach z żydowskiej chanajki ze starzyzną. Te czuczate bez pasa, koalicyjki, bez bocznej broni - to tera polski oficer? A może gajowy? Eeee... jaki gajowy pokazałby się na ulicy ubrany jak łachudra?

- O co się tu rozchodzi? - eunuszym dyszkantem spytał oficer kobietę.  
 - Słuchaj synu - odezwał się cicho Piłsudski i mówił coraz głośniejsze - nawet jeśliś jest kiepski gajowy, czy flejtuch kolejarz, albo listonosz zarpiatek... stań na baczność przed szarżą! - RYKNAŁ. - A starszemu stopniem i wiekiem honory oddaj! Nie uczyli cię, w ta pora, grzeczności w domu gówniarzu... aaa...!?

Oficer, zaskoczony, wypuczył brzuch, zasalutował niechlujnie trzema palcami, jakby brał wiśnie. Dziadkowi hadko się zrobiło na ten widok. I nim przemógł dławiącą w gardle kulę, przez tłum przepchała się do niego wielka, wyszminowana, utleniona blondyna, objuczona stertą tobołów z uwieszonym do nich malutkim, czarniawym jak Turek chłopem. Podsunęła pod wąsy brygadiera wymiętoszony papier zapisany ruskimi bukwami i spytała:

- Pan! Pan! Skaży gdzie u was bazar? Panimajesz pan... bazar... baaa zaaar.  
 - Zdzieś adries! - zapiszczał mały chłop rasy kaukaskiej, trzymający się jedną ręką tobołów, palcem drugiej ręki tycający w trzymany przez babę papier. - Milicjonier! Kuda jęti bazar?

Piłsudski poczuł, że serce w jego piersi coś wyrabia. Tuktukało szybko niczym maksim jego legionistów wzięty na sowietach pod Pyszkami nad Niemnem. Wieczór w oczach zapadł mu nagle. Widział tylko wielkie i czerwone jak sztandar nacierających bolszewików usta blondyny i złote zęby przemieniające się w złoty sier i młot. Zza zębów wyglądał mały chłop i spod obwisłych wąsów natarczywie pytał:

- Bazar, pan milicjonier? Nam nada na bazar!  
 Zapadła noc.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że siedzi na zydelku pod Niebieską Bramą. Nad nim pochyla się święty Pióter i jak w dzień „cudu nad Wisłą” podaje manierkę, o zgrozo, znowu z rumem.

- Machnij, Ziuk. Wiem, że obrzydliwe to w smaku, ale cię chłopie raz dwa na nogi postawi!

Łyknał Dziadek z manierki potężnie... aż mu w oczach pojaśniało. Zaczęły się ze wszystkich stron zlatywać anioły w legionowych, szarych mundurach. A uśmiechają się serdecznie. Brygadier każdego poznaje. Widzi każdą bitwę, w której który poległ, i każdą bolesną śmierć swoich chłopców z osobna. Czuje, jak go opuszcza chłód samotności.

- Już ci lepiej stary capie? - spytał święty Pioter, klepiąc go „po pagonach”. - Nie rób nam wienc takich kawałów.

Brygadier zamrugał oczami na znak, że do siebie doszedł, ale głos z piersi nie może dobyć. Niebieski klucznik pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

- Powiem coś w sekrecie. Tylko nikomu nie mów... sza. Bo to przeciek z kancelarii niebieskiej.

Dziadek ręką pokazał na usta, że głos mu odjęło i nawet gdyby chciał sekret zdradzić... to nie da rady.

- Ziuk... - święty Piotr zrobił efektowną pauzę - wczoraj Najwyższy postanowił ciebie znowu zamknąć w twierdzy w Magdeburgu.

Piłsudski zerwał się na równe nogi. Znowu pociągnął tęgo z manierki. Kolory wróciły mu na policzki, siwe włosy pociemniały jakby naraz zmierzch zapadł, na czole zmarszczki wypogodziły się.

- Do Magdeburga mówisz, święty Pietrze!?

- Do Magdeburga brygadierze, niemieckiego się poduczyc! - święty Piotr przymrużył porozumiewawczo oko.

- Piotruś! - Piłsudski objął Świętego ramionami i klepiąc po plecach ucałował wąsate usta. - Piotruś... znaczy zaczynamy wszystko na nowo... od Magdeburga?! A potem do Polski?!

- Tak jest, brygadierze! - zaszalutował do łysiejącego czoła święty Pioter - Ale... I tu się zacukał, milczał dłuższą chwilę, łzy jemu w oczach stanęły. - Ziuk... tego tam... ale bo wiesz... - Przemógł się i zakończył: - Do Polski nie wrócisz... zostaniesz w Europie! W Brukseli!

- Jezusie Nazareński! - wyrwało się aniołowi, co z twarzy Wieniawę - Długoszowskiego w szczenięcym wieku przypominał. Złapał się za usta i przez palce mówił - Jezu! Ziuk europato sie został? Wielkie nieba!... Panie Boże, za co!?

Piłsudski, ręce rozłożwszy, stał w chmurach pośród całego świata i patrzył w okno Panu Bogu bezradnie. Wąsy mu zwisły żałośnie jak u martwego sumy, a przeżyte lata garbem zaczęły wyłazić na plecy.

- Niezbadane so wyroki Pana - próbował pocieszyć go święty Pioter. - Czy Pan zrobił kiedy coś co by nie było w finale pozytykiem? Widać brygadierze względem ciebie i Polski ma jakiś ważny plan. Chyba próbuje Europie honoru i godności dobawić.

## Istotą bytu jest jego trwanie

Tatarskim gościńcem od wschodu, ciężkim, znużonym krokiem szedł człowiek. Ogorzała, pokryta pyłem drogi twarz świadczyła, że przybywał z daleka. Przed rozwianymi połami białego szynela umykały ważki o zielonych i niebieskich odwłokach, polatywały z terkotem szare pasikoniki migocząc rubinowymi skrzydłami. W dużej dłoni silnego człowieka, zdałoby się starością ułożonej już do jałowcowego kostura, niósł fajkę.

Przystanął na szczycie wzgórza i wyraźnie wzruszony spoglądał na ulegle rozciągniętą u jego stóp wieś. Przypominała mu psa leżącego na grzbiecie przed panem w pozycji dobrowolnej rezygnacji.

Podszedł do kruszni kamieni od wieków wytyczającej granicę między puszcza a chłopskimi polami i ciężko usiadł na czerwonym granicie. Zza pazuchy wyjął brązową skórzaną maszonkę, zaczerpnął szczyptę żółtego tytoniu i powoli, jakby od tego zależały losy świata, nabijał fajkę.

Zapałił, cmoknął szybko kilka razy z czarnego ustnika i denkiem zapalniczki, reklamującej firmę ORTDRUK, ucisnął żar w cybuchu. Nad głową człowieka w białym szynelu zawisła błękitna chmura dymu, a w duszny, suchy zapach wrzosowiska i żywicznej sosny wplotła się woń wędzonych śliwek i holenderskiego tytoniu „Amphora”.

Znał tę wieś... dobrze znał. Rozpoznawał dom po domu, zagroda po zagrodzie, studnia po studni. Tu mieszkała pulchna Paraska, tu smukła jak sarna Anastazja, a przy tej dzikiej gruszy stała chata pracowitej, zwinnej Anny. Z niektórych domów pozostały tylko kamienne obrysy fundamentów. Ale jego pamięć bez trudu odtwarzała kształty chałup i zaszele w nich niedyś wydarzenia.

W rozwidleniu dróg za wsią mieszkała piękna Aleksandra. Nie ma już tego domu. Przypominał sobie, jak zazdrosny o nią mąż, Fiodor, rozrąbał drzwi... jak wszedł do kuchni... jak Paraska z Jewdokią łapały go za poły kamizelki... jak usiłowały powstrzymać... jak gad się im wyrwał... jak za mną, uciekającym oknem, rzucił siekierą... ta wbiła się w futrynę obok mojej głowy. Jeszcze dziś czuje oddech tamtej śmierci... bliskiej śmierci. Wtedy wszyscy doświadczyli cudu.

- Nie ma tej chaty - myślał mężczyzna w białym szynelu - nie ma mnie, nie ma Fiołki, Paraski i Fiodora. Nie ma Anny, która co wieczór adorowała wbitą przy oknie siekierę i kwieciła fantazyjnym kwieciami z kolorowych bibulek. Kto dziś pamięta tamten cud, tamten tłum wypełniający izbę, cisnący się, tratujący... by choć dotknąć uświęconej siekiery.

Patrzył na pustą drogę teraz tchnącą melancholią, a wtedy tętniącą życiem... na której wszystko się działo... na której toczyło się ich życie. Ludzie wychodzili z domów odprowadzani znakiem krzyża i pełnym obaw wzrokiem bliskich. Wychodzili na drogę i ginęli w świecie. Czasem powracali starsi, odmienieni... nie zawsze na dobre. Niekiedy wyłaniali się z pyłu

gościńca jacyś obcy w zakurzonych mundurach i tak jak on zajmowali przy stołach puste miejsca po zaginionych domownikach...

W zielonych sadach na wiotkich gałązkach kołysały się niedojrzałe jeszcze jabłka. Człowiek w białym szynelu patrzył chciwie i tęsknił do smaku papierówki... już żółknącej, z brązową plamką po robaku.

Lubił te sady wypełnione po brzegi brzęczeniem pszczół. Zwłaszcza wiosną, która pachnąca piersiami Paraski, napelniała spokojem nakrochmalonej pościeli, a kipąca za oknem biel kwiecica przywodziła na pamięć uroczystą świętość życia.

Tym radośniej robiło się w sercu, im więcej drzew sypało płatki na runiejącą trawę, i im na świecie było cieplej... tym cieplejsze miała dłonie zwinna Anna.

- Ech... te pijane wieczory w wiśniowych sadach... te baby o naiwnych oczach zdradliwie zielonych, podejrzliwie piwnych, uwielbieniem błękitnych mgłą oddania... Te noce... coraz krótsze, jak czas kolejnej ruskiej smuty, bolszewickiej rewolty i zdżiczenia.

Gdziekolwiek się pojawiał rozpoznawano w nim Imperatora Wszechrusi... Wielkiego Mikołaja Aleksandrowicza... cara surowego sprawiedliwości, ojczulka - batiuszkę.

Wyjmował wtedy ukradkiem z kieszeni srebrnego rubla i przyglądał się swojej podobiznie na rewersie. Dobry portrecista go sporządził, są jak dwie kropki z tej samej wody... on i Mikołaj Aleksandrowicz.

- Pogoda była jak dziś - rozmarzył się człowiek w białym szynelu. Chłopska furka zajechała przed cerkiew w Gródku. W środku było cicho, tak cicho jakby tutejszy świat zamknął się w mydlanej bańce. Stał i patrzył w migdałowe oczy oliwkowych świętych. Poczut się wolny, bezpieczny... aż zapomniał wszelkiej modlitwy, wszelkiej wdzięczności i proszącej nadziei. Stał pod kopułą gródeckiej świątyni i był. Ciągle był. Cieszył się istnieniem... kiedy tam płonąła dusza Rosji, gdy za chwilę miał zapłonąć cały świat. Tu nic mu nie groziło.

Żywot bańki mydlanej jest tak krótki jak osiągnięcie szczytu radości. Ze środka ciszy wyrwał go głos woźnicy.

- Pane... mene pora u chatu jechati...

- Tak ujeżdżaj... Boh z taboju czelawiecie.

- A hroszy?

Pogmerał w zakamarkach ubrania i nic nie znajdując rzucił chłopu ostatnią srebrną rublówkę ze swoją podobizną, tę którą pierwszą wybito w mennicy, a która, jak mawiał, miała przynieść monarsze szczęście.

- Na! - i niby do chłopca dodał żegnając rubla - idi w kidreni babuszki.

Wyszedł przed cerkiew. Przed nim stał tłum bab i chłopów poprzetykanych zszarganymi, wyblakłymi mundurami żołnierzy. Któryś krzyknął gromko:

- Stroiiiiis! Smiiiiirrmno!

Krzyk poderwał tłum. Mężczyźni wyprężyli się, urosli, wypięli piersi i unosząc lekko twarze patrzyli mu w oczy psim wzrokiem. Kobiety skuliły się w sobie, ale co młodsze zerkaly kątem oka, zuchwale zalotne.

Ten sam żołnierz, głosem marszowego zapiewajły, zapodał tłumowi zaniechaną ostatnio pieśń... I poniosło ulicami Gródka... *Boże cara chrani silnyj dierzawnyj...*

Setka gardeł podjęła ... *carstwuj nam sławnyj wielikij car...*

Gdy pieśń przebrzmiała, z głębi, z ponurych wnętrzości gródeckiej ulicy doleciał go krzyk:

- Kagda padochnie heta bielaja sabaka?

Zaraz też zrobił się tumult, podniósł wrzask...

- Adjebiś skatina ad jewo wielicestwa!

- Fiedia bij Jewreja! Spasaj Rasieju!

Człowiek w białym szynelu odwrócił głowę. Takich scen naoglądał się w Rosji co dnia.

Żydzi znikli z ulic jak zdmuchnięta świeca. Pośpiesznie stukwały zamykane okiennice, z chat dobiegło szurgotanie podsuwanych pod drzwi szaf. Tylko głuchy Wieriemiej zwinął dłoń za ucho i pytał sąsiada Szłomo: - Powiedz mnie Szłomo, że to nie fakt. Powiedz mnie, że to nieprawda. Co ja mówie - mnie powiedz?... ty im powiedz. Ty im powiedz, że to nie my zabili Hawryłke.

- Oj głupi ty, Wieriemiej! Oni wiedzo... ale oni nie uwierzo... oni nie chco uwierzyć.

Człowiek w białym szynelu wiedział, że na tłum ma wpływ. Jednak nie do końca nad nim panował... wiedział, że tak jak w całej Rosji tłum staje się krwiożerczym tworem, co może w każdej chwili, wymykając się spod kontroli, podjąć samodzielny destrukcyjny byt.

Bał się tego. Ale... Dziś zrobią co chce, pójda za nim gdziekolwiek ich poprowadzi. Rzecz w tym, że nie bardzo wiedział, dokąd? Więc postanowił pozostać wśród tego z pozoru łagodnego ludu.

Wędrował z grupą obwiesi od wsi do wsi, od obejścia do obejścia rozpalając w jednych uwielbienie i miłość, w drugich niechęć i nienawiść, zwłaszcza że opuszczali gospodarza i jego zagrodę dopiero wtedy, gdy nic już w niej nie było do zjedzenia.

Któregoś dnia czmychnął im i skrył się w cieniu sławy miejscowego bohoolca. Ten, ogłoszony wbrew swojej woli „świętym mężem” i uznany za ponownie przyszedłego na świat proroka Ilji, został okrzyknięty cudotwórcą, na kszałt sławnego Jana Kronsztackiego.

Pobudzeni ciekawością i nadzieją na odmianę parszywego losu ciągnęli w okolice Krynek ludzie, przerażeni hiobowymi wieściami ze świata i frontu, przynoszonymi przez dezertarów z różnych formacji i zarażonych różnymi politycznymi teoriami. Szukając ukojenia nieśli do stóp proroka Ilji swój strach, dostatki, często dorobek całego życia.

Tymczasem on, ich prawowity władca, zarabiał na życie szyciem butów chłopom. Dola jego poprawiła się znacznie, gdy zaczęli układać hymny na cześć Stwórcy świata i proroka Ilji.

Dziś, siedząc na czerwonym glazie oddzielającym pola od lasu, człowiek w białym szynelu zastanawiał się - gdzie popełnił błąd? Przecież dość szybko od kultu proroka zaczął się oddzielać kult „Mikołaja Regisa”. Malutki, na początku, strumień wszelkiego dobra oddzielił się od ekonomicznego nurtu fenomenu Ilija i popłynął do rozwartych dłoni cara. Zaraz też odnaleźli go dawni wyznawcy. Zjawili się tłumnie, ze sztandarami, aby oddać „ojczulkowi” pokłon i wieść „żywot pasożytów i tajdaków” - jak mawiał o nich prorok Ilija.

- Niewątpliwie lud ten w swej prostocie i łatwowierności nie wymaga wielkich zachodów... da się z niego żyć. Może zbyt lekką ręką marnotrawiłem to co mi znosili... ale oni tego chcieli, tym się różniłem od Iliasza i za to mnie kochali. Modlitwa musi być krótka i prosta, a radość i płynąca z niej uciecha długie. Pieniądze deprawują nawet mnie... cara.

Do rewolucji pieniędzy nie tykał. Nie musiał. Wielka armia umundurowanych urzędników dbała o to, by wszelkie dobra świata miał na wyciągnięcie ręki. O tym, że bez pieniędzy nie da się żyć, dowiedział się późno... zbyt późno. Zaś do anarchistycznej myśli, że pieniądze są po to, by je szybko wydać, doszedł sam wędrując przez upodloną bezhołowień Ruś. - Tyle mego ile wydam na siebie.

Tutaj odkrył dziwną prawidłowość, można rzec, lokalne prawo ekonomiczne - im więcej wydawał, tym więcej do jego rąk wracało. Co potwierdzało inny tutejszy fenomen - im bardziej nimi pogardzał, pomijał, obrażał, tym więcej go kochali i tym większą otaczali czcią.

- Walić? Łupić u mordy? Takij u jeho zakon...

To, że znosili mu rzeczy, żywność, pieniądze, że kobiety oddawały się mu ze wszystkim, że rujnując rodziny, przepisywały na niego domy i ziemię, przyprawiało go czasem o mdłości. A jednocześnie narastało w nim poczucie niższości i niechęć do człowieka, w cieniu którego egzystował.

To był cień groźny, bo czysty. Ten nawiedzony dureń planował naprawę świata przez moralną odnowę, wstrzemięźliwość, budowanie szkół... Nie korzystał z darowanych mu dóbr, a budował im cerkiew, domy. Ten analfabeta nie potrafiący rachować upokarzał jego... „Cara Mikołaja Regisa” nawet milczeniem.

W swoich eksperymentach posunął się tak daleko, że oddający mu cześć musieli go błagać, by przyjął to, co przynieśli w dani. By dokuczyć „Iliji” deformował zasady wiary. I ze zdziwieniem spostrzegł, że to przysparza mu zwolenników. Więc przyznał sobie cząstkę mocy Trójcy Świętej i z wybranymi matkami boskimi pódził zbawiciela. Kiedy mu się kolejna nudziła... rzucił ją związaną odjeżdżającym pątnikom na furę, mówiąc:

- Kińcie jeo gdzie u reczku... jana nieczystaja.

Pątnicy zabierali wypadłą z łask nieszczęśnicę. Chwała Bogu, miękkie serca kobiet nie dopuściły nigdy, aby Sokołda czy Supraślanka stały się

powiernicami grzechu „Mikołaja Regisa”. A on tymczasem podnosząc pijany łeb nad suto zastawionym stołem bluźnił, że zmartwychwstanie:

- W nadchodzącym roku minie mnie trzydzieści trzy lat... i wy psy, ścierwojady, gnojoroby przyjdziecie rozlać moją krew serdeczną... i ukrzyżujecie mnie... i ja zmartwychwstanę.

Siedzący na kamieniu zobaczył tamten koszmarny dzień. Z południa nadciągała wielka gromada, na furze wieźli dziesięciometrowy dębowy krzyż. Nieśli drabinę, włócznię z gąbką i octem we flaszcze, koronę cierniową, czerwoną szatę, na poduszce cztery gwoździe, wszystko co było potrzebne, by się „dokonało” to, co im w swej głupocie obiecał. Szedł z nimi nawet Cygan, który w odpowiedniej chwili miał ukraść jeden gwóźdź, aby go przybito trzema, nie czterema.

Szczęściem ostrzeżony w porę „Regis” czmychnął, a pątnicy nie bardzo rozróżniając obu świętych mężów, poszli ukrzyżować proroka Ilię. Szczęściem i Iliasz uniknął losu daremnej ofiary, chowając się w jamie po ziemniakach.

O awanturach, jakie rozegrały się tutaj, dowiedział się dużo później z gazet, rozpraw niewiele pojmujących marksistowskich socjologów i głupawych sztuk teatralnych.

Rozpiął biały szynel... pod nim miał ciemniejszą, również białą bluzę mundurową wypuszczoną na sukienne, granatowe spodnie z czerwonym podwójnym lampasem. Zdjął generalską czapkę i delikatnie złożył na sąsiednim kamieniu. Wyjął z ust fajkę... popiół wystukał o obcas. Palcami przecesał gęste ciemne włosy poprzetykane białymi pasmami. Plecami oparł się o białą brzozę. Wyciągnął zza pazuchy lusterko, przyjrzał się sobie uważnie.

- Schamiałeś Mikołaszka... schamiałeś. Ale za to żyjesz - powiedział i wystawił twarz do słońca.

Czuł, jak ciepło rozluźnia skórę na policzkach. Dzioby po przebytej ospie pociemniały. Zamknął wolno oczy. Cykady umilkły, tylko z odległej zagrody dobiegło skrzywienie żurawia i odgłos pustego wiadra tłukącego się o kamienne ściany studni.

Z cienia lasu wyszli Bazyl i Fiodor. W rękach nieśli po koszyku, pięknym jak senne marzenie, borowików i kraśniaków. Natknęli się na śpiącego w białym szynelu człowieka i zmartwieli. Potrząsnęli głowami i nic... jak siedział tak siedzi. Potarli kulkami oczy. Nic... widzą go. Podeszli na palcach bliżej, jeszcze bliżej. Prawdziwy tak jakby...

Bazyl szczypał policzek... Nic. Fiodor wyjął z koszyka nóż i z rozmachem dźgnął się w zadek.

- Auuu! - zawył.

Śpiący błysnął węglem oka, zacisnął powieki i spał dalej.

- Bazyl... sam widzi to co ja? - spytał szeptem Fiodor pokazując brodą śpiącego



- Widzi.  
 - Ojczulka widzi?  
 - Ojczulka.  
 - Bazyl - mówił szeptem Fiodor przełykając ślinę - Niechaj postawi koszyka i leci na wioske. Niechaj chłopcy w try miga komitet powitalny wybioro i brame budujo. Baby niechaj gotujo, pioko, robio tam... co która ma...  
 - A ty co?  
 - Ktoś przy ojczulku musi być jak oczy odplusczy... nie? Aha... Słucha.... U mnie w świronku, przy drzwiach po lewej... odkopie kanke. W jej znajdzie czerwonego transparenta i sztandara. Co gały wytrzeszczył? Ten samy co im w 39. Armie Czerwono my witali. Zapomniał? Transparenta i sztandara... baby niechaj elegancko odprasujo... Drugo kanke odkopio po prawej stronie. W jej jest trochu czemergiesu... Niechaj odkopio i zaprawio samogonke karmelem na elegancko przypalanke.  
 - Zare, zare... A jaki u ciebie sztandar jest? Jak my jego z wojewódzkim sekretarzem w moim świronku zakopali?  
 - A taki! Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, gamoło! W czterdziestym pierwszym jeszcze jego chowali. Aha, niechaj słucha... żeb do komiteta choć Kracika nie wybrali, bo to najgorszy had, zaprzaniec, niepewna gnida i za inteligienta zrobił sie.

Człowiek w białym szynelu słuchał uważnie. Przyglądał się im spod opuszczonych powiek i myślał:

- Tym razem skurczybyki wam nie popuszczę. Najpierw z Fiedźki zrobię Trockiego. Na Dzierżyńskiego nada się Kracik, bo widać niezła gnida i choć zayka, umie ludźmi kierować... A do posprzątania po nich jakiegos Berię na pewno sobie wyhoduję.

Przerażone mrówki zatrzymały swój uparty marsz, gąsienicy w gardle utkwiał kawał liścia, a biedronka odleciała do nieba machając gwałtownie skrzydłami. Ultramarynowy żuk gnojek leżał na plecach w końskim łajnie i przebierał bezradnie łapami. Przez wieś... środkiem ulicy, znaczy końską ścieżką, pędził co sił w starych nogach, sfatygowany wiekiem Bazyl i wrzeszczał wniebogłosy:

- Luuuuuuuudzie! Niechaj wychodzo! Wszystkie wychodzo! Wróci! On! Nasze słonko... nasz Ojczulek Wissarionowicz sie wróci!

### Koniunktura, czyli idzie nowe

Przyszło sie mnie trzy dni temu na wioske wybrać do kuzyna Stacha. Dawno u ich nie był, to i z ochoty pojechał.

Pomieniało sie tam... oj, pomieniało. Ulico idziesz... cichjuško, pies nie zabrecha, wiadro z cembrowino nie zagada, dziecko sie nie zaśmieje, nie

zableje awieczka. Same stare baby pod chatami siedzo i jak słoneczniki pestki, zwiędło urodo do słonka wystawiajo. Nawet sie im gadać nie chce. Bo i o czym... po tylu latach?

Zrobili my ze Stachem rachunki i podliczyli.  
 - We wiosce jest wszystkiego: cztery ludzi, koni dwa, trzy krowy, pare parszuki, trochu ptastwa, dziewięć bab i wsio...  
 - Cała wioska? - zdziwił sie ja.  
 - Cała. Tyle zostało - westchnoł Stacho. - Kotów nie licze, bo to fałszywce.  
 - A psy? Co tak psy ścichli?  
 - Takie stare, że z bud nie wychodzo.  
 - Ale jedno Stachu musi sie po staremu zostało, co? - tu ja kciukiem przeciągnął po szyi. - Czemergies.  
 - O, widzi jak... gość w chacie gospodarze kołowate. Nawet gości przyjmować odwykli. Czeka niechaj... Samo mnie z kredensa gorzałka wyszła. Skocz do sadku nakopać i zrobim haczka.

Większego specjalisty od samogonki nad Stacha w życiu ja nie poznał. Weźmie kaple na język i od raz wie: - Ten z Borek od Aleksandra bez nogi. Ten z Łazien. To Łysy w Zasadach gnał. Ta gryząca i słabieńka od Makarychy. Zaraza, żeb mocy dobawić, indyczym łajnem jo doprawia. Tej barbeluchy Ababrańca z Talkoszczyzny nawet do gęby nie bierz, jak chcesz sie jeszcze trochu po życiu poplątać.

Wrócił Stacho z sadku. Fłaszeczkę w rękę podnios do góry pod światło z okna.

- O, jaka... krynica. Z pierwszego gonu. Zare jo zaprawie. Przypalił na łyżce cukier i wlał karmel do gorzałki. Zasyczało. Kciukiem zatkał flaszkę, zabełtał. Samogonka nabrała koloru mocnej herbaty. Zrobili po chapluczku.

- Powiedz mnie - pytam sie - jak z tym wszystkim dajecie sobie rade?  
 - At, żyjem bo przywykli. Za komuny ziemie za rente zdali. Pieniędzy starcza na sól, ocet, zapalki. Baby chleba napioko, masła zrobio, kury jajek nanioso, ziemniaki so. Z ziarek gorzałki wygonim i jakoś ciągniem. Najgorzej jak przyjedzie Sitko, przekłety bajstruk od Anišków. Wie, który?

- Nie.  
 - Oj, pamięta... kurpicz taki, zawzięty kurdupel. Na inżyniera sie wykierował.

- Wiem... mocno nakrapiany, ryży i piegowaty.  
 - No, no. Sitko, abo Perliczek.  
 - To ty dla jego poradził piegi czerwono cegło starć.  
 - No i star. Tak tar, że cało gębe pocarapał.  
 - O to, to, to. A wie jak jego jeszcze wołali? „Gdzie jest kupa!”

- Jak?  
- Gdzie jest kupa!?  
- A czego tak?  
- Poszli sie raz kapać, a żeb kurczy w wodzie nie brali, trzeba było sie przódzi wykasztać... No tak my dzieciaki wierzyli. Siądli sobie rządkiem w malinach... naraz Sitko sie obrócił, spójrzał pod zadek... a tam nic nie ma. Kupe zerznął a jej nie ma. To sie pyta nas - chłopaki gdzie jest moja kupa? Prawda, pod każdym jest, a pod Sitkiem nie ma.

- Musi ci kto wziół. Eeeeeee... który Perliczku kupe ukrad? - rozder sie Prończyk.

Sitko podnios sie i z podwiniętego podołka wypad na ziemie klocek. Cholernik narznął sobie w koszule. Od tych por wołali za im - gdzie jest kupa!?

- Niekiedy z Białegostoku had do tatki przyjedzie pobyc. Jak pobędzie, nie mozem przez pare dni do siebie przyjść.

- Co on wam robi?

- Europejsko ekonomie. No... nowe porządki. Rodzielił wioske na dwie części. I tak... Dziś prawa strona robi samogonke, a lewa jo kupuje. Kupujo pokąd tydzień nie zejdzie i pieniędzy so. Przejdzie tydzień, lewa połowa bierze sie do roboty, a kupuje prawa.

- Tym sposobem Perliczek nieustajaco koniunkturę i wieczne baliki wam zafundował.

- Można by tak powiedzieć. Jak jest, tak jest, ale ludzi choć robote majo, wiedzo, czego sie po tym świecie płaczo i pańskich myśli nie dostajo. Bywa, zejdo sie baby z prawej strony... jedna przed drugo chwali sie, ile dziś zarobiła. Te z lewej strony kłno na czym świat stoi, bo im chłopcy rzeczy z chaty na gorzałke wynoszo. Prawda, jak pieniędzy zbraknie, to na kreche albo pod zastaw pijo. Żonki kłno, ale zacier stawio, żeb za tydzień nazad swoje rzeczy odzyskać. A tak sie ponarabialo, że dziś nikt we wiosce nie wie, co jest czyje.

Zamyślił sie Stacho chwilke i dalej gada.

- Z ubraniem też biedy nie ma. Tu po wioskach każdy, jak nie w milicji syna, to brata w wojsku miał. To nawieźli daremnych chałatów... Niekiedy zdarzalo sie, wyjdo na ulice wszystkie naraz, to jakby wojsko manewry robiło. Ale tera hameryckie łachi wiozo. Wie jako komedie pare dni temu odprawili? Prończaka chłopak wielko paczke z Kanady przysłał. A w jej same szmaty i to musi gdzie je w jakim cyrku podebrał? Prończak sie wściek i wygruził wsio na podwórek. Zeszli sie wszystkie i zaczęli to na siebie ubierać. Jak my sie poubierali... Żeb ty zobaczył starego Chomczyka, jak w żółtym garniturze w niebiesko kratke Smoliszke z wygoną gna... albo jak w różowej sukni z welonami Czabanicha nad rowkiem chrabust świniom rwie, to ty by ze śmiechu i skończył sie. Baby po pare razy na dzień łachi mieniajo. Jedna przed drugo sie pindrzy, żeb pokazać co jej Mariuszek przysłał, albo co Maryś gdzie z darów nakrad.

- A co z Perliczkim? - przerwał ja Stachu.

- Ze Sitkiem? A co ma być? Cukier i drożdzy z miasta wozi. Drożdzy... nie powiem, potrzebna rzecz, ale cukier? Jaki przyzwoity człowiek z cukru samogonke robi? Tylko taki... Gdzie jest kupa!? Nie dosiść, że firme spaprał, bo cukrówka żeśz hadka jest, to jeszcze całe środki płatnicze z wioski wywozi, od czego my biedniejem i całkiem na dziady schodzim.

- Jakie środki płatnicze?

- Ty co? Do szkół nie chodził? Co tu jest napisane? - podsunął mnie banknota pod nos. - Że dziesięć złote to jedyne sprawiedliwe środki płatnicze w Polsce.

Jak sie had nazad do miasta zabiera, to w bagażniku nie tylko chabanine, jajka, palcówke, ziemniaki i śmietane wywozi, ale w portfelu nasze jedyne sprawiedliwe środki płatnicze z wioski wyprowadza.

Zwyczaję przez to upadajo, gospodarka idzie w ruine, bo nie majo ludzie za co czemergiesu kupić. Prawda, można sąsiadu pożyczyc, jak ma mus, ale wiadomo, tylko dureń gospodarke na pożyczkach buduje, i tylko skacina musu nie ma.

Nadprodukcja zrobiła sie. Ile zamrożonych środków płatniczych w kanistrach, butelkach pochowane po świronkach, sklepiskach, stodołach? A ile zakopali do ziemi? Tera gdzie szpadła utkniesz, tam jak nie na amunicje, obrzyny z wojny, to flaszki samogonki trafisz. Nadzieja tylko, że sie zare czarne jagody, a jesienio żółte grzyby sypno i dziure w budżecie zatajajo.

Świat do starego porządku sie nie wróci, bo na kajet to za sanacyjnej Polski u Niomki było. Tera Niomko sam na kajet bierze i sprzedaje za środki płatnicze... Ale środkow coraz mniej.



Ostrów Zachodni, kapela

## Notka wydawnicza

Zanotowane w postaci dźwiękowej, niniejsze opowieści były nagrywane przez kilkanaście lat. Wykaz nazwisk osób opowiadających znajduje się na s. 4. Do zasygnalizowania pozostają niektóre formy językowe i sposób graficznego oddania zróżnicowanych właściwości wymowy. Zasadą obowiązującą był możliwie wierny ich zapis. Widać to w odniesieniu do m.in. do takich cech fonetycznych, jak zanik nosowości w wygłosie („gorąco wodo”) czy jednakowej postaci zaimków dzierżawczych (jego, ich) i osobowych (do niego, o nich - w praktyce „do jego”, „o ich”, co na początku może być małym utrudnieniem w lekturze, ale później ma już tylko swój wdzięk). Wariantywne kształtowanie głosek w takich samych sytuacjach artykulacyjnych zostało odzwierciedlone dwójakim ich oznaczeniem („wyszedł” i „wyszedł”, „sie” oraz „się”, „Wierzchlesie” - „Wierchlesie”). Uproszczenia są chyba najczęstszym zjawiskiem. Często stosowane „wienc” odpowiada literackiemu „więcej”, „odraz” to „od razu”.

Co do gramatyki, trzeba wspomnieć o tym, że:

- rodzaje gramatyczne bywają traktowane swobodnie (o sowie pójdźce „ten pójdźko”, kruki „siedzieli”, „żyły ludzie”);
- charakterystyczny kształt przyjmują czasowniki w trybie rozkazującym - weźmi, spoglądni;

- już tylko tu można się delectować <prawdziwym> użyciem rusycyzmu „dla”, rozpoznawanego w Polsce jako specjalność kresowa: „Coże dla jego stało się”, „nie wierzyli dla jego”. (Dla odmiany w tzw. literackiej polszczyźnie obserwuje się ucieczkę od nawet zasadnego użycia „dla” ku konstrukcjom w rodzaju <oferta klientom>, <mieć wykład studentom> i jeszcze zabawniej <konkurs skierowany w stronę>);

- jako specjał nad specjały poleca się, wprawdzie nieczęsty, czas zaprzeszyły, np. „była została”, „mieszkali byli”.

Co bardziej osobliwe wyrazy znalazły swoje objaśnienia pod tekstem, w którym wystąpiły; znacznie bogatszy wachlarz leksyki i frazeologii czeka na zainteresowanych w „Z supraskiego na nasze” (W. Załęski, Supraśl 2005, „Supraski Raport”1).

T. Jabłońska



## O ludziach świata „Hecz precz...”

Ten wielki – wolny – nikomu poza Panem Bogiem niepodległy świat „Hecz precz...” jest wspólnym światem opowiadających i Wojciecha Załęskiego. Większość spisanych opowieści swój finalny kształt zyskała w jego redakcyjnym opracowaniu, inne są wyłącznie jego pióra (nieopatrzony inicjałami). W świecie opowieści najstarszych supraślów rządzi czas, naturalnie, przeszły, ale w opowiadaniach W. Załęskiego to on rządzi czasem.

„Rzec” - powiedzieć, stąd „rzeczy” to coś, co zostało rzecone, czyli powiedziane; i tak opowiedziane - „rzczone” - spotyka się z „rzczą” - zdarzeniem, przedmiotem opowiadania. Jak daleko, jak blisko jest od zdarzenia do jego kolejnego działania się w słowie? Tu zyskuje ono nowe istnienie. Kolejnym wcieleniem jakiegoś (nie byle jakiego!) zdarzenia - „rzeczy”, co stała się „hecz precz...” przybywa odmian, dopowiedzeń...

Słychane i niesłychane historie, z powracającymi nazwiskami autentycznych postaci, zaskakują obfitością i różnorodnością, jeśli zważyć niewielki obszar, na którym weszły i wyrosły: skrawek podlaskiej ziemi, z ulicą Cegielnianą Supraśla - pępkiem świata, obwiedziony Puszcza Knyszyńską.

Po tych, którzy opowiadali, pozostał zatrzymany na taśmie magnetofonowej głos, w sercu ich rozmówcy - serdeczna o nich pamięć. Dyskretną nić sentymentu widać zwłaszcza w opowiadaniu „Koncert na studnię, siedem psów i trąbkę”

z rozdziału ostatniego, którego bohaterami są zarówno mieszkańcy ulicy Cegielnianej, urokiem wspomnień z prozy bytowania przemienianej w rzeczywistość zarazem nadrealną, jak i postaci „ze świata”, niemi historycznej egzotyki z Supraślem związane. Razem z początkowym rozdziałem „A czas wyprzedził człowieka”, też pióra Wojciecha Załęskiego, obejmują one całość literackim komentarzem, przydając „Hecz precz...” nieoczekiwanych akcentów i refleksyjnego, niezwerbalizowanego wprost, wydźwięku.

Czegóż to Autorowi się nie zawdzięcza:

- na przykład „Tykania słonecznego zegara” (1999), że tylko uważnie ucha nadstawiać, żeby usłyszeć,
- perfekcyjnego w znajomości historii, wciągającego w sposobie jej prezentowania przewodnika turystycznego „Spacerem po Supraślu” (2002),
- „Fotoczasów”(2005) - rewelacyjnej humoreski o kolejnych okupacjach Supraśla,
- powstałego z upodobania do języka, którym mówili starzy supraślanie, mini-słownika „Z suprańskiego na nasze” (Supraski Raptularz 1, 2005),
- dokumentalnych, przygotowanych z pietyzmem „Strat wojennych Supraśla” (Supraski Raptularz 2, 2006).

Teraz Wojciech Załęski podarowuje nam skarby „wydobyte z kufra pamięci”.

„Hecz precz stała się rzecz” jest zbiorem opowieści autorstwa ponad trzydziestu osób, najstarszych mieszkańców „dawnego” Supraśla. Bez pasji zbieracza i pieczołowitości dokumentalisty owe wielkoludy, wiedźmary, łojmy i mniej egzotyczne, a do kompletnego obrazu świata konieczne, istoty przepadłyby w niepamięci. Z niejako dwutorowej narracji powstał jednorodny, urzekający świat „Hecz precz...”

Ciągle aktualnej, niekoniecznie chlubnej maksymie „Cudze chwalicie, swego nie znacie” kolejna, trzecia już książka z serii „Supraski Raptularz” zaprzecza w fantastycznie prawdziwym stylu.

Tytuł urzeka i obiecuje wiele.

Znajdź tu Czytelnik o wiele więcej niż się spodziewa.

T. Jabłońska

## Spis treści

Opowiadali .....	4
A CZAS WYPRZEDZIŁ CZŁOWIEKA .....	5
BYŁO TO PRZED POTOPEM .....	11
To tobie, Boże... to mnie, Boże	
Ostatnia zmiana kaszy	
Wielkoludy	
Kiedyś ludzie czarne i włochate byli	
Wielkie koście	
Kamienne łzy	
Wesele w chlebnej pieczone	
Od czego naród taki plugawy zrobił się...	
Czego my tatu głodne chodzimy	
Jak siedmiu pod makitro młóciło	
Miodu dla nas nie starczy	
A BYŁO TO HECZ PRECZ... ..	16
Jak łojmy po lesie chodziły	
Jak łojma w rozmaite hadztwo się przemieniła	
Jak łojma studziańskie dziecko podmieniła	
Jak łojma ojca kochała	
Jak ojciec w Święty Jan łojme przewalił	
BIBLIA LESUNÓW .....	19
Do księżycy po różańcu	
Grzeszne rodzice	
A... bo Ewa nie ma tego co ma Adam	
Kogo Pan Bóg zrobił z psiego ogona	
Kain i Abel	
Po potopie	
Ognista koleśnica Eliasza	
Diabły się kryją gdzie pioruny biją	
Pokąd nie zagrzmie, lesun się nie przeżegna	
TOPIELNIK .....	23
Miała być a nie ma	
DOMOWIK .....	24
CO, SKĄD I DLACZEGO .....	25
Czemu kobieta wiecznie nie ma czasu	

Od czego kobieta taka mądra jest Oj, niedobrze Pana Boga poprawiać Czego Żydzi nie jedzą świńskiego mięsa Czego koń wiecznie głodny Jak Pan Bóg stworzył bociana Bohomolec bocianem Myślny zamieniony w bociana Skąd się wziął skowronek Szczygiełki małego Jezusa Jak kukułka szukała Jakubka Skąd on taki mądry? Jak panna młoda ptaszko się została Dlaczego wąż nie ma powiek Skąd się wzięli wilki Za co wilk nienawidzi psa Wilki i głupia owca Głodny wilk... bo głupi Jak lis wilkowi uszył buty Cztery tapy wilka	
UCIECZKA DO EGIPTU .....	40
Od czego osika w lesie dyga To było jak ja żyto siał	
O MĘCE PAŃSKIEJ .....	41
Skąd we łbie szczupaka Męka Pańska? Jak osika się nie dała Dlaczego Cyganka nie ma grzechu Cyganski goźdz	
KIEDY ŚWIĘCI PO ZIEMI CHODZILI .....	43
Bogacza czerci w smole bołboczo Jak baba świętego Piotra nawaliła Skąd się grzyby wzięły? Jak chleb zaczął rosnąć Jak zwierzęta ludzkim głosem mówio	
O MATEŃCE BOŻEJ .....	47
Jak Matka Boża swoje Dzieciulko karmiła Od czego kamieni rosno Jak Święta Panienska kamienie zakłęta... Jak Matka Boża krasnym jajkiem Józefa i Chrystusa nakarmiła Jak Matka Boska pisanke krasila	
CZERCY GRASUJO KOŁO NAS .....	51
Jak się do ojca diabelskie pieniądze przyczepili Gdzie dzieci jest tam diabła nie trzeba Wypity leży jak z diabła skóra Wypitemu z diabłem sprawa Jak czarci z ludźmi tańcowali	

Jak „Ślepek” chore oko stracił Jak Kozłowski diabła podkuł Jak diabeł podjadał parobków Jak Krepkostoj śmierć ochmilił Jak Krzywda Prawdzie oczy wykałupała	
MUZYKANTY .....	59
Jak grajek grajka spotkał i kapele założyli Jak muzykant diabłom przygrywał Jak Kraśnicki z diabłem grał Muzykant Kiszycki Jak Żyd z Krynek opętanego poskromił Muzykant Minko	
WIEDZMY I SZEPTUNY .....	64
Weselne czary i uroki Wiedźmarskie pieniądze Matyl Jak z Kisielichy zły duch wyszedł Matylicha Pulicha Na czary dobre jest cedziłko Jak Onożko Rajzmana od prusaków wybawił Żuk rajfurem Skąd Żuk wiedział, że na woła wołali Rabcie Córki Żuka Cięśła Daszuta Jak Daszuta dał konkurencji żaru Jak Daszuta trafił na swego Jak Malienda z Daszuto się próbował Wiedźmarz co jakiś czas musi z siebie zło zrucić	
WILKOŁAKI .....	85
Wilcze wesele Raz do roku skarb się czyści Jak Marianna dostała się spadku Jak „Jasiek Beznogi” żono orał	
O CYGANACH .....	89
Klątwa Cygana Chitrość cygańska Spowiedź Cygana	
ŻYDZI .....	92
Jak krawiec Jelczyk burkę szył Potargane pieniądze Jak Gamza za dwie kopiejki do domu przyjechał Jak drwał z Żydem wędrowali Sądna noc Jelczyka Kupiec wezwany przez zmarłego na sąd rabinacki	

PRZECHODZĄCY CZŁOWIEK .....	100
Jak przechodzący człowiek czmuta w oczy puszczał Człowiek ze świata Zaparte drzwi od uroku nie chronio Złe języka za zębami nie trzymać Pięć złote to nie dziesięć Znowusz polecisz jak zawoła Śmierć prośalnego dziada Jak jeden w karczmie w Krasnem nocował Dusze pokutujące Podpaleniec Jak Sokolda nie stała się siedzibą rodu Skorochodów Po co ty moja głowa pobit Biały koń i czarny pies Łzy ciężarem dla duszy Jak szeptucha księdza z Szudziałowa leczyła	
PRZYCHODZĄ WIECZORNĄ PORĄ .....	117
Koncert na studnię, siedem psów i trąbkę Czarna procesja Ostatni raz widział ich Malewicz Braciszek Efre Monstrancja w ścianie Srebra klasztorne Jak Zachert „Zabiego Ogiera” bryczką wozit Kto zaczął dziejową awanturę Po śmierci nie ma nic... nawet wieczności Jak Piłsudski europatą został Istotą bytu jest jego trwanie Koniunktura, czyli idzie nowe	
Notka wydawnicza .....	162
O ludziach świata „Hecz precz...” .....	163

### **Dotąd w serii „Supraski Raptularz” ukazały się:**

1. „Z supraskiego na nasze” – słownik supraski zebrał i opracował W. Załęski
2. „Straty wojenne Supraśla” – zebrał i opracował W. Załęski

### **W przygotowaniu:**

4. „Supraśl i okolice w prasie przedwojennej” – zebrał i opracował W. Załęski